1/2019

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik styczeń–luty 1 (63) / 2019 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)

GRALIŚMY W PIERWSZEJ LIDZE

Radosław Sikorski

Rosja: koniec złudzeń

Edward Lucas

Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie

Wojciech Górecki

Konferencja paryska 1919 a Europa Wschodnia

Serhij Żadan

Internat – fragment nowej książki

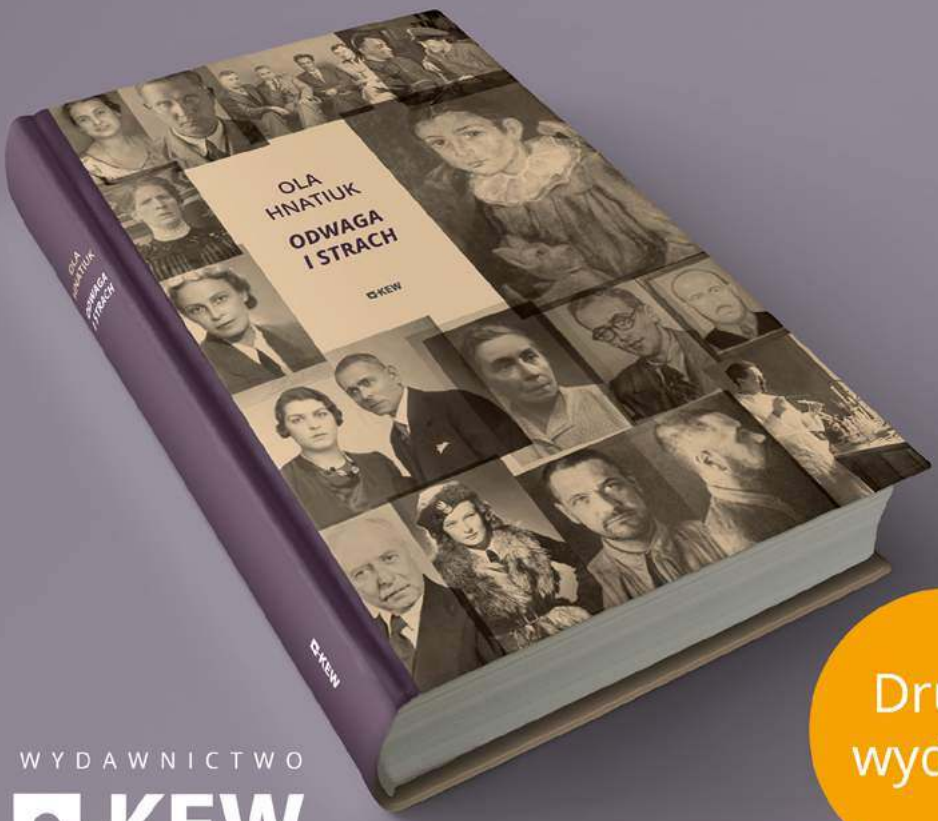
eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA

Nowa Europa Wschodnia

- POLECA KSIĄŻKĘ-

Ola Hnatiuk
ODWAGA I STRACH



Drugie wydanie

WYDAWNICTWO C-KEW

Jest to historia Lwowa, Polaków, Ukraińców i Żydów, opowiedziana w niezwykły sposób. Piękne i ciemne strony historii narodowych, heroiczne chwile i potworna tragedia wojny, etnicznych czystek, Holocaustu zyskują tu ludzki wymiar, by przemawiać tym mocniej i bardziej boleśnie. Nie jest to kolejna opowieść o tolerancji, nostalgiczny portret minionych czasów ani celebrowanie tragizmu utraty. To przekonujące studium pluralizmu, znajdującego odzwierciedlenie w konkretnych uczynkach, w konkretnym mieście, wśród przyjaciół, w rodzinie czy choćby we własnym umyśle.

To książka napisana na literackim poziomie najlepszych wspomnień, a zarazem traktująca źródła z równym krytycyzmem, jak czynią to monografie naukowe.

Timothy Snyder

KSIĄŻKI DOSTĘPNE W NAJLEPSZYCH KSIĘGARNIACH ORAZ SKLEPIE INTERNETOWYM WWW.KEW.ORG.PL

eprasa.pl/e1b7d3698

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl ec1b7d5698

Niepodległość Polski i Ukrainy są wzajemnie uwarunkowane

OŚWIADCZENIE
Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa
Przyjęte na posiedzeniu w Kijowie 1 grudnia 2018 roku

W dniu 1 grudnia my, członkowie Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa, spotkaliśmy się w Kijowie w celu omówienia najważniejszych problemów dialogu społecznego oraz planów i perspektyw.

Posiedzenie Forum miało miejsce w symbolicznym dniu – w dwudziestą siódmą rocznicę historycznego referendum, które potwierdziło deklarację niepodległości Ukrainy, jak też w przededniu dwudziestej siódmej rocznicy uznania niepodległości Ukrainy przez niepodległą Polskę, która uczyniła to jako pierwsza spośród państw całego świata.

Pragniemy podkreślić, że w tym roku Polska i Ukraina obchodzą stulecie odrodzenia niepodległości. Oddajemy hołd bojownikom o wolność obu narodów i pragniemy wskazać na godny naśladowania przykład tych Polaków i Ukraińców, którzy solidarnie walczyli w obronie przed obcymi zakusami i agresją.

Podkreślamy, że podobnie jak sto lat temu, również i dziś Ukraina i Polska znalazły się w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa zewnętrznego.

Tradycja solidarności i wzajemnego poparcia każe nam zdecydowanie potępić agresję Rosji wobec Ukrainy, która doprowadziła do wielu ofiar i wskutek której Krym i niektóre regiony Donbasu znalazły się pod okupacją. Potępiamy nową falę wrogich wobec państwa ukraińskiego prowokacji, skutkiem których były niedawne wydarzenia na Morzu Azowskim i Cieśninie Kerczeńskiej.

Pragniemy wyrazić solidarność z Ukrainą, przeciwstawiającą się obcej agresji, która stanowi zagrożenie zarówno dla Ukrainy, jak i dla Polski oraz całej Europy. Apelujemy do wszystkich europejskich i euro-atlantyckich partnerów o jedność i wsparcie dla Ukrainy.

Pragniemy wyrazić radość z powodu nadania przez Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej nagrody „Pro Dignitate Humana" ukraińskiemu reżyserowi Olegowi Sencowowi i apelujemy do wszystkich partnerów zagranicznych o wywieranie dalszej presji na Rosję, tak długo, aż wyjdą na wolność wszyscy ukraińscy zakładnicy i jeńcy więzieni przez Kreml.

Pragniemy także wyrazić radość z długo oczekiwanej decyzji Rady Miejskiej Kijowa o nadaniu ulicy imienia Jerzego Giedroycia w centrum ukraińskiej stolicy. Wyrażamy nadzieję, że również w Warszawie oraz innych polskich miastach pojawią się miejsca, upamiętniające wybitnych Ukraińców, jak też liczymy na to, że podobne upamiętnienia wybitnych Polaków staną się dobrą ukraińską tradycją.

Pragniemy zachęcić urzędników, polityków oraz działaczy społecznych obu państw do podejmowania i do kontynuacji inicjatyw, pogłębiających wzajemne zaufanie, poszerzających obszary współpracy oraz umacniających nasz sojusz. Pragniemy uczynić wszystko, co możliwe, by nie utracić daru jedności naszych narodów i nie dopuścić do sporów i prowokacji, w tym także tych inspirowanych przez wrogie nam siły.

Nasze Forum jednoczy głębokie przekonanie: historia nie raz już dowiodła, że niepodległość Polski i niepodległość Ukrainy są wzajemnie uwarunkowane, natomiast rozbiory czy podległość jednego z krajów grozi zniewoleniem drugiego.

Przewodniczący
polskiej części
Polsko-Ukraińskiego Forum
Partnerstwa

Jan Malicki

Przewodniczący
ukraińskiej części
Polsko-Ukraińskiego Forum
Partnerstwa

Witalij Portnikow

POLSKO-UKRAIŃSKIE FORUM PARTNERSTWA

УКРАЇНСЬКО-ПОЛЬСЬКИЙ ФОРУМ ПАРТНЕРСТВА

eprasa.pl ec1b7d5698



Grażyna Makara

Armenia wybrała

Podczas gdy Rosja dokonuje kolejnych aktów agresji wobec swoich niepokornych sąsiadów, gdy Unia Europejska traci powab – albo tak się niektórym wydaje – Ormianie próbują pożenić ogień z wodą, czyli pogodzić walkę z korupcją, demokratyzację państwa, reformy gospodarcze z sojuszem z Rosją. Nie mamy ambicji wejścia do NATO – zapewnia lider Ormian Nikol Paszinjan, którego ugrupowanie wygrało wybory do Zgromadzenia Narodowego na początku grudnia ubiegłego roku.

Ukraina i Gruzja po swych rewolucjach objęły bardziej prozachodni kurs, otwarcie mówiły o członkostwie w Unii Europejskiej i NATO. Oba państwa musiały za to zapłacić wojną i utratą części terytoriów. Ormianie twierdzą, że wyciągnęli wnioski z kłopotów Ukraińców i Gruzinów. Ale nie chodzi tylko o to, że Kreml może zareagować agresją, lecz także o to, że w chwili naprawdę kryzysowej na realną pomoc Zachodu nie ma co liczyć. Zachód jest daleko, Rosja bliżej. I to Rosja jest gwarantem pokoju na Kaukazie Południowym – jednak równie dobrze może być inicjatorem walk.

Armenia to mały kraj – niemniej warto śledzić wysiłki Ormian w budowie demokratycznego państwa. Dziś Nikol Paszinjan uosabia marzenia Ormian o lepszym, godnym życiu. W 2019 rok kraj wchodzi już z zupełnie nowym parlamentem. Oczekiwania społeczne są ogromne. Poza ułożeniem sobie relacji z Moskwą, innym ważnym tematem jest kwestia pociągnięcia do odpowiedzialności tych, którzy stali za rozlewem krwi w przeszłości albo „tylko" okradali budżet państwa. Paszinjan zapewnia, że nie ma w nim chęci odwetu. Ta chęć jest jednak w części społeczeństwa, które może poczuć się rozczarowane kolejnym „układem", za jaki mogą uznać kompromis między nową władzą a oligarchami.

Większość rewolucji na poradzieckim terytorium mimo początkowej euforii kończy się rozczarowaniem społecznym, utratą zaufania do liderów politycznych i często gorszącymi walkami między dawnymi sprzymierzeńcami. Wypada życzyć Ormianom, by ich eksperyment się powiódł – wtedy będzie to dobry przykład dla innych społeczeństw.

Andrzej Brzeziecki

eprasa.pl ec1b7d5698

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Radosławem Sikorskim **Graliśmy w pierwszej lidze**. 7

Publicystyka

Maciej Jastrzębski **Niech już wreszcie będzie *happy end*…** 24
Zbigniew Rokita **Ile dywizji ma patriarcha** 34
Wojciech Wojtasiewicz **Po staremu, po nowemu** 40
Rozmowa z Tinatin Chidaszeli **Gruzińskie błędne koło** 46
Paweł Kost **Niebezpieczna decentralizacja?**. 56
Michał Kędzierski **Między sankcjami a Nord Stream 2** 62
Mateusz Kubiak **Gra o Nord Stream 2** 72
Aneta Strzemżalska **Uśpiony analityk** 77

Rozmowa

Rozmowa z Edwardem Lucasem **Ostateczny koniec złudzeń**. 80

Historia

Konferencja paryska 1919 a Europa Wschodnia
Rozmowa z Markiem Kornatem **Wersalskie oblicze Europy**. 87
Ankieta NEW: Jan Jacek Bruski, Maciej Janowski,
Janusz Mierzwa, Piotr Nehring, Jan Pisuliński,
Krzysztof Popek, Przemysław Żurawski vel Grajewski 96

Reportaż

Wojciech Górecki **Semipałatyńsk. Sprawy nieludzkie** 117
Piotr Pogorzelski **Trudny powrót, trudne przyjęcie** 127
Magdalena Chodownik **Cyrk, prawda i stan wojenny** 135

Konteksty

Aleksandra Zdeb **Mostar: prawdziwi Ikarowie skaczą na główkę** 148

eprasa.pl ec1b7d5698

Kultura

Rozmowa z Kubą Snopkiem **Destalinizacja, restalinizacja, dialog** 157

Prezentacje

Serhij Żadan **Internat (fragment)** 165

Recenzje

Maciej Falkowski **Zrozumieć Azję** 170
O książce Wojciecha Góreckiego *Buran. Kirgiz wsiada na koń*
Piotr Bajor **Jaka powinna być Polska** 173
O książce Radosława Sikorskiego *Polska może być lepsza. Kulisy polskiej dyplomacji*
Maciej Robert **Kresy, czyli Polska A1** 176
O książce Agnieszki Rybak i Anny Smółki *Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP*
Jan Pisuliński **Zagłada dawnego Lwowa** 179
O książce Damiana Karola Markowskiego *Anatomia strachu. Sowietyzacja obwodu lwowskiego 1944–1953. Studium zmian polityczno-gospodarczych*
Krzysztof Popek **Tatarskie korzenie Mickiewicza** 181
O książce Adama Balcera *Turcja, Wielki Step i Europa Środkowa*
Arzu Alijewa **Więzienna zemsta** 183
O książce Lejli i Arifa Junusów *Iz sowietskogo łagiera w azerbejdżanskuju tiurmu*
Dariusz Rott **Slawiści w Odessie** 186
O książce *Odessa i Morze Czarne jako przestrzeń literacka*, red. Jarosław Ławski i Natalia Maliutina
Andrzej Szeptycki **Kolejne kręgi noworosyjskiego piekła** 189
O filmie *Donbas*, reż. Siergiej Łoźnica

eprasa.pl ec1b7d5698

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane przez
MIASTO WROCŁAW

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni sobie swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Andrzej Brzeziecki (redaktor naczelny),
Sonia Knapczyk, Małgorzata Nocuń
(zastępca redaktora naczelnego),
Krzysztof Popek, Sławomir Popowski,
Zbigniew Rokita, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ
Piotr Andrusieczko, Adam Balcer, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Bohdana Kostiuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski, Andrzej Zaręba (rysunki)

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice,
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
e-mail: office@kew.org.pl
www.kew.org.pl
Prezes Zarządu: Jan Andrzej Dąbrowski

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Szlak 26/12A
30-001 Kraków
redakcja@new.org.pl
www.new.org.pl

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)
Nakład 2400 egz.
Druk: Media Studio Reklamy Drukarnia,
Aleja Kołłątaja 73, Będzin 42-500

eprasa.pl ec1b7d5698

Graliśmy w pierwszej lidze

Z Radosławem Sikorskim, byłym ministrem spraw zagranicznych Polski i byłym marszałkiem sejmu RP, rozmawia Andrzej Brzeziecki

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Gdy był Pan ministrem spraw zagranicznych, oskarżano Pana o chęć odesłania idei Jerzego Giedroycia do lamusa i zamienienia jagiellońskiej idei na piastowską.

RADOSŁAW SIKORSKI: To nie były mądre zarzuty. Krytycy zamiast zaproponować coś ciekawego, co mógłbym zastosować jako minister, szukali dziury w całym. Tymczasem definiowałem naszą politykę zagraniczną jako jednoczesne realizowanie polityki piastowskiej – to jest zakorzenienia się w kulturze, procedurach i systemach prawnych Zachodu – i polityki jagiellońskiej, czyli dzielenia się tym dorobkiem ze Wschodem przy użyciu nie tylko naszych skromnych zasobów, ale zasobów całej Unii Europejskiej. To był taki Giedroyc na europejskim turbodoładowaniu.

Co zaś się tyczy obecnych czasów, ekipa rządząca w ogóle nie prowadzi polityki wschodniej. Proszę mi powiedzieć, jakie umowy podpisała obecna władza ze wschodnimi krajami?

Antoni Macierewicz, gdy był szefem MON, podpisał polsko-ukraińską umowę o zacieśnianiu współpracy w dziedzinie obronności.

Tę umowę wypracował jeszcze jego poprzednik z Platformy Obywatelskiej Bogdan Klich. Jednak dziś ciężko wskazać wymierne efekty funkcjonowania tejże umowy. Tak samo rząd PiS chwalił się polsko-ukraińsko-litewską brygadą, ale prace nad nią zaczęły się jeszcze za naszego rządu. Zresztą byłem sceptyczny wobec tego pomysłu. Nie potrafię wyobrazić sobie takiego konfliktu, w którym te trzy kraje jednocześnie zgodziłyby się użyć owej brygady. Obawiam się, że pewna liczba oficerów będzie chodzić do pracy w budynku przeznaczonym dla tej formacji, ale niewiele z tego wyniknie dla obronności tych trzech krajów.

Banki narodowe obu państw podpisały umowę swapową, której celem jest pomoc Ukrainie w stabilizacji systemu finansowego.

Podpisał ją jeszcze pod koniec 2015 roku Marek Belka, który był prezesem Narodowego Banku Polskiego bynajmniej nie z nadania PiS. Nie będę się sprzeczał, że to jest dobra inicjatywa, ale trzeba by dokładnie wiedzieć, jakie ryzyko niesie dla nas taka umowa.

eprasa.pl ec1b7d5698

Zgadza się Pan z tym, że nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy?

Oczywiście, że może być wolna Polska bez wolnej Ukrainy – pytanie tylko, na jak długo? Ukraina jest naszym buforem, przedpolem. Może zabrzmi to cynicznie, ale chyba lepiej, że Władimir Putin zajmuje się Donbasem niż przesmykiem suwalskim.

Giedroyc przekonywał, że nasza pozycja na Zachodzie zależy od naszej pozycji na Wschodzie.

Jest dokładnie odwrotnie. Dziś nie mamy jednak żadnej pozycji ani na Zachodzie, ani na Wschodzie. Przynajmniej jedną z tych strategii wypadałoby realizować…

Czy ludzie, którzy zajmują się Wschodem, nie mają lekkiego hopla na tym punkcie? Politycznie i gospodarczo najważniejsze są dla nas relacje z krajami Unii Europejskiej, z Niemcami na pierwszym miejscu, my tymczasem znacznie większe znaczenie przypisujemy relacjom z Kijowem, Mińskiem itp.

Wschód to region, gdzie możemy grać w pierwszej lidze. Wiemy więcej, graniczymy z kluczowymi państwami i prowadząc zręczną politykę, możemy kierować pracą całej Unii Europejskiej na tym odcinku. Ponadto stamtąd płyną, i zawsze płynęły, zagrożenia dla nas. Trzeba się zabezpieczać, ale także szukać szansy na Wschodzie. Nie widzę w tym, jak Pan mówi, hoplu niczego negatywnego. Żeby jednak Polska mogła owego hopla przekuć na skuteczną politykę, musi być wiarygodna i atrakcyjna dla innych, a nie egzotyczna. I Polska może ją prowadzić, tylko mając silną pozycję w Unii.

Pana najnowsza książka *Polska może być lepsza* rozpoczyna się od opisu pamiętnych dni w Kijowie w 2014 roku, gdy mediował Pan między Wiktorem Janukowyczem a opozycją. Był to dla Pana najważniejszy moment kariery jako szefa MSZ?

Misja w Kijowie to był moment, gdy Polska zagrała nie tylko w lidze europejskiej, ale i światowej. Misja w Kijowie zmieniła stosunki między Rosją i Ukrainą, zmieniła bieg historii ukraińskiej, zmieniła stosunki między Rosją a Europą. Porozumienie, które pomogliśmy wynegocjować, zostało zatwierdzone przez Radę Majdanu w stosunku 35 do 2.

Ale nie weszło w życie.

Weszło na kilka godzin, jednak i tak miało skutki polityczne w postaci rozszczelnienia reżimu Janukowycza, który zgodził się na pociągnięcie do odpowiedzialności osób winnych za masakrę. W rezultacie porzucił go wschodnio-ukraiński Berkut i to było początkiem końca reżimu. To prawda, że już wtedy się pakował, ale planował tylko wyjazd na wschodnią Ukrainę. Nie wiedział, że zostanie to przyjęte jako ucieczka i zupełnie go pogrąży.

eprasa.pl ec1b7d5698



Materiały wydawnictwa ZNAK

Radosław Sikorski: Z Rosją nie rozmawiamy, w Unii jesteśmy na cenzurowanym, a i Ukraińcy za wprowadzających w Brukseli wolą Niemców. Mimo że jako jedyny kraj Unii graniczymy z oboma stronami konfliktu, próby rozjemstwa prowadzą inni. Okazuje się, że rozwiązanie sporu o to, czy lepiej być silnym na Wschodzie, czy na Zachodzie, jest zaskakujące: gdy jesteśmy słabi na Zachodzie, to i na Wschodzie niewiele możemy.

Po Euromajdanie stosunki polsko-ukraińskie powinny kwitnąć. Tymczasem zaczęły się psuć jeszcze za rządów Platformy Obywatelskiej – nie dało się tego uniknąć?

Nad szczuciem Polaków na Ukraińców i odwrotnie bardzo ciężko pracowały i pracują rosyjskie agentury osobowe i cybernetyczne. A w Polsce, zwłaszcza na południu, pada to na podatny grunt, bo w tych rejonach pamięć jest bardziej osobista. Pamiętam debaty na temat zbrodni wołyńskiej, jakie miały miejsce w sejmie za naszych rządów. Już wówczas część posłów chciała, by wprost powiedziano w specjalnej uchwale o ludobójstwie. Przestrzegałem przed tym, mówiąc, że taka uchwała może utrudnić europejską perspektywę Ukrainy. Wtedy jeszcze słuchano głosu rozsądku. Zresztą także Instytut Pamięci Narodowej stał na stanowisku, że była to zbrodnia mająca znamiona ludobójstwa, ale nie mówiono wprost o ludobójstwie.

Po roku 2015, w sejmie zdominowanym przez Prawo i Sprawiedliwość, puściły wszelkie hamulce i w 2016 roku sejm stwierdził, że na Wołyniu miało miejsce ludobójstwo. Co się zmieniło w tamtym czasie? Otóż Ukraina zaczęła finalizować rozmowy o umowie stowarzyszeniowej z Unią Europejską i ważyły się losy tejże umowy. Komuś bardzo zależało na tym, aby wywołać wojenkę o historię, żeby zrównać Ukraińców z hitlerowcami i przeszkodzić w zbliżaniu się Ukrainy do Europy.

Historii nie zmienimy. Żadnej z ofiar polskich pacyfikacji czy Wołynia nie przywrócimy życia. Możemy jednak działać tak, aby to się już nigdy nie powtórzyło i abyśmy nie dali silniejszemu mocarstwu, nieprzyjaznemu wobec obu krajów, pretekstu do skłócania nas.

Czy mówienie o rosyjskich inspiracjach – których nie neguję – nie jest jednak łatwym usprawiedliwieniem? Wszak te prowokacje, jeśli są, to padają na podatny grunt, a w Polsce i na Ukrainie nie brak ludzi złej woli, którym żadne inspiracje nie są potrzebne.

Durniów i nacjonalistów nie brakuje w żadnym kraju, ale problemem jest, gdy zdobywają oni władzę.

Polskie Stronnictwo Ludowe, wasz koalicjant, który konsekwentnie popierał ostre projekty uchwał w sprawie zbrodni ukraińskich, boi się konkurencji ze strony ukraińskiego rolnictwa, za to lobbował sprzedaż naszych produktów rolnych do Rosji. Może nie chodzi więc o rosyjską inspirację, ale po prostu o zdrowy chłopski pragmatyzm?

Może. A może nie… Powtarzam, od tego jest Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, żeby sprawdzać, kto jest inspirowany z zewnątrz. Czy aby naprawdę w kwestii handlu żywnością mamy takie sprzeczne interesy z Ukrainą? Ostrzejszą konkurencję

eprasa.pl ec1b7d5698

w dziedzinie rolnictwa mamy ze Słowakami i Czechami, ale czy to jest powód do kłócenia się z tymi krajami? Konkurencja na wolnym rynku to normalna rzecz.

Jedno jest pewne: przestaliśmy być adwokatem Ukrainy w Europie. Może to i dobrze, bo sama Ukraina chyba sobie tego nie życzyła.

Adwokat, by dobrze pełnić swoją funkcję, musi coś umieć, móc i chcieć. Tymczasem, gdy głównym tematem dialogu polsko-ukraińskiego są przygadywania sobie dyrektorów Instytutów Pamięci Narodowej, to partner przestaje widzieć, że zależy nam na wspólnej przyszłości. Kijów zrozumiał, że PiS bardziej interesuje przeszłość. I widzi, że dzisiejsza Polska nie może Ukrainie nic załatwić w Brukseli, więc grają na Berlin.

Wielu Pana kolegów z rządu Platformy trafiło po 2015 roku do Kijowa jako doradcy tamtejszego rządu. To przez władze PiS było odbierane jako pewna prowokacja i gest wrogi ze strony Ukrainy – czy był on potrzebny?

Niby z jakiej racji postrzegano to jako wrogi gest? To miałoby sens tylko w pisowskiej logice plemiennej, zgodnie z którą ludzie spoza PiS nie są Polakami. Polskie doradztwo na Wschodzie – podobne jak niemieckie czy szwedzkie – niesie duże korzyści dla kraju. Robią tak wszystkie państwa, dlaczego my mielibyśmy tak nie robić? Ukraińcy przekształcają państwowe instytucje, tworzą samorządy i słusznie, że proszą o pomoc Polaków. Muszą też gdzieś zakupić infrastrukturę, systemy komputerowe, więc dobrze, jeśli Polacy podpowiadają im polskie firmy.

Jak ocenia Pan reformy na Ukrainie?

Zrobili w ostatnich trzech latach więcej niż przez poprzednie trzydzieści. Owszem, to wciąż za mało, ale nie była to jednak taka mała rzecz – zreformować rynek gazu, zrestrukturyzować nierentowne banki, zmienić strukturę i sposób finansowania samorządu. Rok temu byłem w Iwano-Frankiwsku i rozmawiałem z merem. Opowiadał, że do czasu reformy powinien być zainteresowany głównie tym, aby mieszkańcy jak najwięcej pili, bo miał procent od akcyzy. Teraz samorząd ma procent od podatku CIT i jego motywacje są już inne. Widać także pewne postępy w walce z korupcją. Opublikowano na przykład sprawozdania majątkowe polityków, choć opóźniło się powołanie sądu antykorupcyjnego.

Ukraińcy, wdrażając umowę stowarzyszeniową z Unią, zdecydowali się na wyjście z cywilizacji prawnej posowieckiej i wejście do cywilizacji prawnej zachodniej. Europa bowiem sięga tak daleko, jak sięga europejskie prawo. To jest najważniejszy element całych reform na Ukrainie.

eprasa.pl ec1b7d5698

Jaka jest realna przyszłość Krymu?

Dopóty Władimir Putin jest prezydentem, Rosja Krymu nie odda. Putin by tego nie przetrwał.

A który rosyjski polityk przetrwałby oddanie Krymu?

Czy my wiemy, co będzie w Rosji po Putinie? Rosjanie mieli już smutę, może jeszcze kiedyś będą mieli kolejną… Wiele rzeczy można sobie wyobrazić. Anszlus Krymu był bez sensu, bo przecież Rosjanie i tak tam rządzili. Mogę jednak udowodnić, za pomocą ujawnionych depesz amerykańskich, że przewidziałem taki rozwój sytuacji. Stworzyłem na Krymie jedyny unijny konsulat i go odwiedziłem. Podróż po Zatoce Sewastopolskiej, z okrętami wojennymi rosyjskimi i ukraińskim zacumowanym obok siebie, kojarzyła mi się oczywiście tylko z jednym – z Wolnym Miastem Gdańskiem. To nie mogło trwać wiecznie.

Dzięki temu konsulatowi, gdy Rosjanie zajmowali półwysep, Polska była najlepiej poinformowanym krajem. Nasz konsul, Wiesław Mazur, raportował do centrali godzina po godzinie o tym, co się dzieje na Krymie, a my rozsyłaliśmy to do sojuszników.

Zatem nie tylko mieliśmy przewagę informacyjną, myśmy po prostu mieli monopol na informacje z kluczowego miejsca na ziemi. Tak się buduje pozycję kraju w świecie. Życzę kolegom z obecnego rządu, aby też odnosili takie sukcesy.

Wróćmy do przyszłości półwyspu. Kiedy Europa powróci do *business as usual* z Rosją?

Oczywiście nikt nie pójdzie na wojnę z Rosją o Krym, ale to, że statki zawijające do Sewastopola, nie mogą rozładować się w portach Unii Europejskiej, ma swoje znaczenie. Sankcje nie są pustymi gestami. Zachód na przykład nie uznał nigdy aneksji państw bałtyckich, choć przecież na co dzień handlowano ze Związkiem Sowieckim i zawierano z nim przeróżne umowy. Jednak w chwili konstytucyjnej dla porządku światowego to nieuznanie okazało się kluczowe, bo państwa bałtyckie w oczach Zachodu zachowały ciągłość państwową, i to im pomogło potem szybko wyrwać się z kontroli sowieckiej i dołączyć do Zachodu. Prawo międzynarodowe, choć tak często łamane, miewa swoje skutki.

Jak Pan ocenia polską reakcję na kryzys wokół Morza Azowskiego?

W sensie oczywistych ruchów dyplomatycznych Warszawa zachowała się poprawnie. Dobrze, że minister Jacek Czaputowicz odwiedził Kijów oraz że wręczył tam nagrodę Pro Dignitate Humana na rzecz Ołeha Sencowa, który jest przetrzymywany w Rosji pod sfabrykowanymi zarzutami o terroryzm. Rozmawiali prezydenci, Polska upomniała się o przedłużenie sankcji.

eprasa.pl ec1b7d5698

Ale polityka zagraniczna to nie tylko prowadzenie dyplomacji, lecz wpływanie na bieg wydarzeń. Kryzys jest testem, który pokazuje, kto przewidywał i się przygotowywał, a kto marnował czas.

Podczas poprzedniego kryzysu ukraińskiego, masakry na Majdanie w 2014 roku, Polska mogła interweniować, gdyż latami wypracowała pewne atuty: Polak jako ambasador Unii w Kijowie, konsulaty w Doniecku i Sewastopolu, doskonałe relacje z obydwoma stronami sporu. Ponadto miała w Unii renomę kraju odpowiedzialnego, który jest na ścieżce pojednania z Rosją i którego ocenom tejże można zaufać, a przynajmniej poważnie ich wysłuchać. Tylko dlatego mogłem w kilka godzin skrzyknąć do Kijowa misję ministrów spraw zagranicznych Trójkąta Weimarskiego z poparciem całej Unii.

Dzisiaj z Rosją nie rozmawiamy, w Unii jesteśmy na cenzurowanym, a Ukraińcy za wprowadzających w Brukseli wolą Niemców. Mimo że jako jedyny kraj Unii graniczymy z oboma stronami konfliktu, próby rozjemstwa prowadzą inni. Okazuje się, że rozwiązanie sporu o to, czy lepiej być silnym na Wschodzie, czy na Zachodzie, jest zaskakujące: gdy jesteśmy słabi na Zachodzie, to i na Wschodzie niewiele możemy.

Zbliża się dziesięciolecie Partnerstwa Wschodniego. Jak Pan dziś ocenia ten projekt?

To są już miliardy wydane na pożyteczne rzeczy: na lepsze zarządzanie granicą, na programy nadgraniczne, zachowanie infrastruktury turystycznej czy ochrony środowiska, na małe granty dla firm, na wdrażanie prawa europejskiego… Poprawa ochrony granic sprawiła, że możliwe stały się umowy o ruchu bezwizowym. To nie jest mała rzecz, nie tylko większa dogodność podróżowania dla Ukraińców, Mołdawian i Gruzinów. Umowy te były obwarowane litanią warunków, takich jak stworzenie nowoczesnych baz danych, wprowadzenie biometrycznych paszportów, efektywna kontrola granic. Te państwa musiały udowodnić, że potrafią stosować europejskie standardy w kwestii przepływu ludzi, czyli jedna część ich państwowości została zeuropeizowana. Nie muszę chyba też tłumaczyć, że w tych regionach na pograniczu Europy tożsamości i lojalności państwowe są dość płynne. Jeśli, dajmy na to, w Mołdawii paszport mołdawski zaczyna być użyteczniejszy od rosyjskiego, ma to skutki nie tylko dla wygody podróżowania, ale też polityczne.

Niemniej Partnerstwo Wschodnie chyba wytraca impet.

Jeśli kraj, który je wymyślił, o nie zabiegał i był jego motorem napędowym, przestał to robić i sam się zmarginalizował, trudno się spodziewać, że inni będą popychać ten projekt.

eprasa.pl ec1b7d5698

Są też chyba inne przyczyny. Cały czas o sobie przypomina południowe sąsiedztwo.

Dlatego tak bardzo walczyliśmy, aby Unia Europejska zagwarantowała to, że pieniądze między wschodnim i południowym sąsiedztwem będą dzielone według parytetu ludnościowego. Wcześniej na Południe szło znacznie więcej środków.

Chodziło mi o to, że wojna w Donbasie jest daleko i już spowszedniała, tymczasem uchodźcy z Południa szturmują serce kontynentu. Dla społeczeństw zachodniej Europy to znacznie większe wyzwanie. To wiąże się z ekspansją islamu.

Nie jesteśmy na pierwszej linii zagrożenia z Południa i powinniśmy dbać o swoje najbliższe otoczenie. Tego jednak nie robimy. Nie rozumiem dlaczego.

Obecny rząd zdaje się większą wagę niż do Wschodu przywiązywać do krajów Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej. Jak Pan ocenia projekt Trójmorza?

Pomysł Trójmorza jest uprawniony jako grupa nacisku wewnątrz Unii Europejskiej. Już wcześniej uważaliśmy, że należy uczulać Brukselę na potrzeby infrastrukturalne południowo-wschodniej Unii. I to robiono. Powstawały połączenia gazowe, autostrady, wzmacniano sieci elektroenergetyczne. Wszystkie rządy to popierały i cieszy mnie, że obecny rząd podtrzymuje tę politykę.

To pozytywna ewolucja, bo wcześniej można było mieć obawy, że PiS chce tworzyć sojusz z krajami unijnymi i nieunijnymi, dzięki któremu Polska miałaby blokować Rosję, równoważyć Niemcy, a przede wszystkim budować alternatywę dla Brukseli. I wielce się zdziwiono, że nie było chętnych na taki projekt. W Trójmorzu widzę też element zastępowania Grupy Wyszehradzkiej, co ma pewien sens w obliczu rozszerzania się Unii Europejskiej na Bałkanach. Zatem Trójmorze jako wewnątrzunijna grupa, która koordynuje stanowiska w kwestiach infrastrukturalnych i niektórych politycznych, jak najbardziej się broni. Tam, gdzie w regionie się zgadzamy co do tego, żeby uczulać resztę państw Unii na nasze potrzeby, nie widzę problemu w inicjatywie obecnego rządu, ale – powtarzam – pod warunkiem że nikt sobie nie wyobraża, iż to jest jakaś alternatywa dla Unii.

Nie brakuje Panu Ukrainy w Trójmorzu?

To byłby wtedy zupełnie inny projekt i nie wiem, czy lepszy. Nie sposób jednak nie przypomnieć, że Partnerstwo Wschodnie było atakowane przez ówczesną opozycję, a obecną władzę, po pierwsze za to, że jakoby był to projekt niemiecki, a po drugie za to, że niby było alternatywą lub opóźnieniem dla

eprasa.pl ec1b7d5698

pełnego członkostwa Ukrainy w Unii. Tymczasem, jak widać, PiS zapomniał o staraniach o pełne członkostwo Ukrainy i w zamian za to skupił się na budowaniu sojuszu z państw tylko członkowskich.

Z krajów Trójmorza najbliżej nam chyba do Węgier. Nie dziwi Pana przyjaźń PiS z ostentacyjnie prorosyjskim Viktorem Orbánem?

Łączy ich przecież ta sama nacjonalistyczna zapalczywość. Jednego koledzy z PiS jednak nie przepracowali. Otóż najgłębszą motywacją Orbána i sporej części elit węgierskich jest ich realna trauma spowodowana traktatem w Trianon. Gdy Węgrzy walczyli o granice, ich stolica zamiast wesprzeć wojska, pogrążyła się w rewolucji. W rezultacie Węgrzy swoją wojnę o granice przegrali i z dużego kraju stali się tym, czym my byśmy się stali, gdybyśmy przegrali bitwę warszawską. Rozumiem tę traumę, ale ona czyni z Węgier kraj rewizjonistyczny. Przypominam słynne słowa Orbána, że Węgry są jedynym krajem w Europie, który graniczy sam ze sobą. Czy to jest zgodne z polskim interesem, aby podważanie granic w Europie stało się normą? Nie sądzę.

Wracając do Partnerstwa Wschodniego: widać wyraźnie, że jest to projekt dwóch prędkości. Musiało tak być?

Zawsze tak było. Od początku do projektu były zaproszone kraje, które aspirują do Unii i które do niej nie aspirują. W odniesieniu do państw, które nie zgłaszały woli, by integrować się ramach Unii Europejskiej, zyskiwaliśmy platformę, dzięki której można było się tym krajom przyglądać, sprawdzać, czy są zdolne do współpracy. Partnerstwo Wschodnie nie może sprawić, że Armenia przestanie być wasalem Rosji, tak jak Białoruś. Oba państwa są w trudnej sytuacji. Partnerstwo je wzmacnia, trochę pomaga w relacjach z Moskwą, ale bez żadnych nierealistycznych oczekiwań.

Obecny rząd próbuje ocieplenia z Białorusią.

Życzę powodzenia…

Pan też to robił. Próbował Pan namówić do współpracy Aleksandra Łukaszenkę, aby trochę poluzował reżim. Nie wyszło.

Przestał mordować i w końcu wypuścił więźniów politycznych. No i nie mówiłem o Łukaszence, że to ciepły człowiek! To raczej on mówił o mnie, że jestem przebiegły, co w jego ustach uznałem za nie lada komplement.

Jak można efektywnie poprawić relacje z Mińskiem?

Rosja jest tam od trzystu lat. Militarnie oba kraje to w zasadzie jeden organizm. Nie ma co się łudzić, że Rosjanie pozwolą Białorusi się zdemokratyzo-

eprasa.pl ec1b7d5698

wać i zeuropeizować. Pozostaje jedynie pytanie, czy Łukaszenka będzie miał możliwość manewru i będzie można z nim załatwiać pomniejsze praktyczne sprawy typu Kanał Augustowski, Związek Polaków na Białorusi, mały ruch graniczny i różne konsularne kwestie. Chyba przemiany na Białorusi nastąpią tak, jak nastąpiły poprzednio: w wyniku przemian w Moskwie.

Czyli starania obecnego rządu można wyrzucić do kosza?

Trzeba próbować, ale, tak jak poprzednicy, bez złudzeń. Trzeba realizować Partnerstwo Wschodnie. Państwowość białoruska działa, jakość dokumentów, wykonywanie ustaleń były bez zarzutu. Państwowość ma to do siebie, że po jakimś czasie tworzy też odrębność. Białoruskość była stłamszona w Związku Sowieckim, ale dzisiaj, gdy przychodzą nowe pokolenia, umacnia się. Odrębne instytucje tworzą odrębną świadomość.

Innym państwem na Wschodzie, z którym mamy skomplikowane relacje, jest Litwa. Niby to już niezupełnie Wschód, bo formalnie to nasz sojusznik w Unii i NATO, ale nie poprawia to naszych stosunków. Pan też brał udział w polsko-litewskim sporze, groził nawet, że pańska noga nigdy na Litwie nie postanie, jeśli nie uregulowane zostaną sprawy żyjących tam Polaków.

Nigdy tak nie powiedziałem, to medialne przekłamanie. Przecież trzykrotnie odwiedziłem Litwę. Pojechaliśmy tam w pierwszą podróż zagraniczną premiera Donalda Tuska. To ja namówiłem go, żeby tak zrobić. Uważałem, że trzeba wykonać gest szacunku wobec Wilna, ale jednocześnie powiedzieć wyraźnie: panowie, jest przecież konwencja dotycząca traktowania mniejszości – czas ją wypełniać.

Według niektórych planów NATO, jedna trzecia naszych wojsk w razie napaści na Litwę powinna ruszyć Litwinom na odsiecz. To teren nie do obrony w konflikcie z Rosją. Czy naprawdę mamy tam słać żołnierzy? Jan Parys, szef gabinetu politycznego pańskiego następcy, wyraził wątpliwość, czy rzeczywiście nasi żołnierze mają ginąć za kraj, który źle traktuje Polaków, i za te słowa spotkała go ostra krytyka.

Traktat waszyngtoński mówi, że powinniśmy zareagować, ale nie precyzuje jak. Uważam, że w przypadku napaści na Litwę powinniśmy zareagować w równej proporcji do zaangażowania wszystkich innych członków NATO.

A czy Amerykanie zareagują w przypadku napaści na Polskę? Według Pana, to jedynie kwestia nadziei, a nie pewności.

A jakie można mieć nadzieje związane z prezydentem Donaldem

eprasa.pl ec1b7d5698

Trumpem? Decyzja o pójściu na wojnę leży właśnie w gestii prezydenta USA. Trump, jak sam twierdzi, bardziej ufa Putinowi niż FBI. Zalecam wielką ostrożność. Przypominam o moim proroctwie: jeśli PiS dojdzie do władzy, to skłócimy się z Rosją i z Niemcami i będziemy szczęśliwi, bo zrobiliśmy łaskę Amerykanom.

Ale to Trump występuje przeciw Nord Stream 2, którego chcą Rosja i Niemcy. Nawet opór Warszawy w sprawie rurociągu zelżał – jeśli wierzyć wypowiedziom prezydenta Andrzeja Dudy. Pan ostro krytykował pierwszą nitkę tego rurociągu, nawiązując do paktu Ribbentrop–Mołotow – dalej widzi Pan zagrożenie w tej rurze na dnie Bałtyku?

Rurociąg szkodzi głównie Ukrainie, bo przez to może ona stracić pozycję głównego kraju tranzytowego dla rosyjskiego gazu. My szkodziliśmy sobie najbardziej w 2003 roku, gdy zgodziliśmy się na wykreślenie klauzuli o budowie drugiej nitki gazociągu jamalskiego. Dzięki zbudowanemu przez rząd PO-PSL gazoportowi oraz połączeniom z Niemcami, Czechami i Słowacją w kolejnych negocjacjach cenowych z Rosjanami będziemy już na lepszej pozycji. Nord Stream oznaczał porozumienie Niemiec i Rosji ponad naszymi głowami, na co mamy zrozumiałą alergię, ale straty udało się ograniczyć.

Prawo i Sprawiedliwość szło do władzy jako siła antyrosyjska, która przede wszystkim odzyska wrak tupolewa. Dziś prawica werbalnie jest wroga Rosji, ale faktycznie nasze stosunki z Moskwą wcale się nie pogorszyły. Nie poprawiły się też. Są właściwie żadne.

Mało tego. Obecny rząd jest krytykowany przez Brukselę, Waszyngton, Radę Europy. Nie słyszę tylko krytyki z Moskwy… Prawdziwym cierniem dla Rosji był nasz rząd. Bo miał wpływy w Unii Europejskiej i potrafił przeforsować sankcje przeciw Rosji. Polski rząd, który werbalnie jest antyrosyjski, ale nic nie może, jest dla Kremla bardzo wygodny.

W książce pisze Pan, że Rosja była gotowa przystać na modernizację państw takich jak Białoruś czy Ukraina, bo te kraje ją za dużo kosztują, dlatego zgodziłaby się na przykład na wolny handel. Ale wolny handel też wymaga reguł, przejrzystości, a to Rosjanom już nie może się podobać, gdyż potrzebują schematów korupcyjnych dla swoich interesów. Czy Pana rozumowanie nie jest więc naiwne?

Przypomnę, że do mniej więcej lat 2009–2010 sama Rosja negocjowała umowę o pogłębionej strefie wolnego handlu z Unią Europejską. To było korzystne dla Polski, bo dopóki Rosja chciała się integrować z Zachodem w dziedzinie handlu, Polska była dla

eprasa.pl ec1b7d5698

niej ważna. Kreml zdał sobie bowiem sprawę, a było to za poprzedniego rządu PiS, że Polska uzyskała prawo weta. Kanclerz Angela Merkel pokazała wówczas w Samarze, że Unia stanie też w obronie polskich interesów. To było źródło zmiany w rosyjskiej polityce, Rosjanie byli gotowi do dialogu i trzeba było tę gotowość przetestować – stąd reset we wzajemnych stosunkach.

Nie żałujecie z Donaldem Tuskiem tego resetu?

Absolutnie nie. Gdybyśmy tej gry nie podjęli, stracilibyśmy wiarygodność na Zachodzie. To Barack Obama pierwszy podjął decyzję o resecie z Rosją. Jeśli my byśmy chcieli konfrontacji z Rosją, a Zachód resetu, wylądowalibyśmy na marginesie. Zmiana nastawienia do Rosji i decyzja o dialogu nie gwarantowały generalnego przezwyciężenia wszystkich rozbieżności między Polską a Rosją, ale umożliwiały pomniejsze sukcesy. Powstała wspólna publikacja polskich i rosyjskich historyków, dokument Kościołów o potrzebie pojednania, nastąpiło odblokowanie eksportu żywności do Rosji, zawarto umowę dotyczącą Cieśniny Piławskiej, uruchomiono mały ruch graniczny. Przy tym wszystkim nie odstąpiliśmy od żadnego polskiego interesu. Udało się nawet zacząć robić porządek z rosyjskimi nieruchomościami w Polsce, bo wypowiedzieliśmy umowę z czasów PRL o wymianie nieruchomości, której Rosjanie nie wypełniali. W efekcie oni mieli w Warszawie dwanaście budynków, a status polskiej ambasady w Moskwie był niepewny. Udało się tę kwestię załatwić bez robienia skandalu.

Może obecny rząd, właśnie dlatego, że jest postrzegany jako antyrosyjski, byłby w stanie doprowadzić do porozumienia z Rosją?

To niech doprowadzi. Na razie mamy wygrażanie wszystkim przez dziurkę od klucza. Chciałbym zobaczyć jakiekolwiek praktyczne rezultaty tego „wstawania z kolan", bo do tej pory cierpi tylko nasza reputacja. Zgadzam się, że każdy kraj czasem może zdecydować się na kontrowersyjne ruchy, które prowadzą do utraty części reputacji, jeśli to się opłaca. Generalnie lepiej jest mieć dobrą reputację, ale czasem można ją poświęcić. Rosja straciła reputację, ale ma Krym, Korea Północna jest w izolacji, ale ma bombę, Chińczycy są pod presją USA, ale mają umocnione wysepki na Morzu Południowochińskim. Co my mamy w zamian za utratę reputacji?

Zwolennicy rządu powiedzieliby, że suwerenność i dumę.

Czyli nic, bo naszej suwerenności nikt nie podważał, a powodów do dumy było więcej. Choć jak PiS wprowadził ustawę o IPN, to pod naciskiem USA i Izraela na chybcika ją poprawiał – to była ta słynna podmiotowość? Za naszych czasów nie uzgadnialiśmy treści polskich ustaw

eprasa.pl ec1b7d5698

w budynkach Mosadu. Nie jestem też dumny z opowieści prezydenta o żarówkach, ze zdjęcia w Białym Domu czy kolejnych uchwał Parlamentu Europejskiego, który zajmuje się praworządnością w Polsce.

Często mówi Pan o zagrożeniu hybrydowym z Rosji i o agenturze w środowiskach radykalnych. Jak duże jest to zagrożenie?

Nie musimy dywagować, wiemy przecież z doświadczenia, że Rosjanie uwielbiają środowiska skrajne zarówno prawicowe, jak i lewicowe. W Grecji popierają i faszystów, i lewaków. W Wielkiej Brytanii popierają neomarksistowską lewicę, Nigela Farage'a i Brexit. Analogicznie jest na pewno w Polsce. Proponuję nie mieć złudzeń, że jak jesteśmy antyrosyjscy, to jesteśmy niepodatni na prowokacje rosyjskie i inwigilację służb ze Wschodu. Dzisiejsza Rosja nie chce, aby ją kochano, jej zależy na krzewieniu chaosu, na wzmacnianiu skrajności, bo jej interesem jest zburzenie zachodniego porządku: NATO, a przede wszystkim Unii Europejskiej. Tego niestety koledzy z PiS nie rozumieją i powtarzają antyunijne bzdury, które są kalkami rosyjskiego trollingu. Tacy niby sprytni, a się na to nabierają…

Środowiska skrajne wchodzą dziś do mainstreamu.

Tak, i trzeba spytać, kto na tym zyskuje. Zgadzam się z polską prawicą, że Unia Europejska trzeszczy w szwach, ale pytam, jaki jest nasz interes w rozpadzie Unii. I czy te 7 procent akcji, jakie mamy we Wspólnocie, rzucimy na szalę w celu ratowania biznesu, czy mnożymy problemy i dosypujemy do nacjonalistycznego pieca?

Jak dziś bronić się przed Rosją?

Po pierwsze, wzmacniając jedność Unii Europejskiej. Jako Unia jesteśmy wobec Rosji potęgą, jako pojedyncze państwa jesteśmy karłami. Zaś na czarną godzinę trzeba wzmacniać obronność. To Bronisław Komorowski jako szef MON zaproponował specustawę zwiększającą budżet na obronę. Mając dwudziestą piątą gospodarkę w skali światowej, mamy osiemnasty budżet obronny na świecie. Polska zachowuje się więc poważnie, choć ostatnio nasze wojsko zostało zdezorganizowane.

Zagrożenie hybrydowe wymaga nie tylko czołgów i dział, ale przede wszystkim nowoczesnych służb specjalnych. Tu chyba ponieśliśmy klęskę.

Skoro służby nie potrafiły rozpoznać rosyjskich powiązań pana Marka Falenty, to trudno mówić o sukcesach. To dziennikarze dowiedzieli się więcej od naszych agentów. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego powinna naprawdę zająć się łapaniem szpiegów, a nie gości palących trawkę.

eprasa.pl ec1b7d5698

Tymczasem stosunkowo mało tych rosyjskich szpiegów łapiemy.

A przecież wiemy z doświadczenia innych krajów, że aktywność rosyjska jest nawet większa niż za czasów zimnej wojny.

Ale tak było i za Platformy, i za wcześniejszych rządów.

Wtedy też mieliśmy problem z ABW. Szefostwo Agencji wolało się chwalić aresztowaniami dilerów narkotykowych, bo to wymierne, zamiast prowadzić żmudny, wieloletni monitoring aktywności szpiegów w Polsce i tych, których się da obracać.

Tyle że, jak wiemy z doniesień, nawet Amerykanie i Brytyjczycy nie są tacy dobrzy w łapaniu rosyjskich szpiegów. O ich działalności dowiadujemy się po fakcie. Rosyjski wpływ na wybory w USA badany jest dopiero teraz.

Stawiam tezę, że w Polsce Moskwa też wpływa na proces polityczny. Powtórzę: nagle w procesie negocjacji Ukrainy z Unią Europejską wyskoczyła jak filip z konopi kwestia ludobójstwa na Wołyniu. Pełzający zamach stanu za pomocą taśm uruchomiono po tym, jak Polska odbiła Rosji Ukrainę. To nie były przypadki.

Gdy Pan ostrzega swoich zachodnich rozmówców przed Rosją, słuchają?

Różne kraje mają różne wrażliwości. Nie ze wszystkimi mamy tożsame interesy. Popatrzmy na Wielką Brytanię, którą tak zachwyca się nasza prawica. Londyn niby często się z nami zgadza w sprawie Krymu i Ukrainy, ale jego model biznesowy polega na byciu skarbonką dla brudnych pieniędzy z całego świata, w tym z Rosji. Londyn jest też ulubionym miastem bogatych Rosjan, na pewno wielu z nich to agenci.

My wybraliśmy inną taktykę – nawet wprowadzony przez Pana mały ruch graniczny z obwodem kaliningradzkim został zamknięty, między innymi z powodu podwyższonej aktywności rosyjskich służb. Może Pana decyzja była błędem?

Najrozsądniejszym sposobem rozeznania intencji partnera jest wykonanie jednego pozytywnego ruchu i zaczekanie na reakcję. Przywrócenie małego ruchu granicznego byłoby takim testem, który nas nic nie kosztuje i który byłby korzystny dla obu krajów. Gadanie o aktywności służb, które jakoby przenikały, to wynik obsesji. Rosyjscy agenci otruli polonem Aleksandra Litwinienkę w Londynie, próbowali otruć Siergieja Skripala nowiczokiem w Salisbury i inwigilowali Międzynarodową Agencję do spraw Broni Chemicznej w Hadze – i jakoś pozyskanie dokumentów i wiz nie sprawiło kolegom z GRU najmniejszego kłopotu. Mimo że Rosja ani z Wielką Brytanią, ani z Holandią nie

eprasa.pl ec1b7d5698

ma małego ruchu granicznego… Rosja to trudny partner, ale jesteśmy na tyle poważnym krajem, że nie musimy reagować nieracjonalnym strachem. Stać nas na pewien stoicyzm. Nie powinniśmy trafić do tej samej kategorii co państwa bałtyckie, które na wszystko reagują alergicznie. Ich opinie bierze się w nawias. Mamy na tyle wagi gatunkowej, żeby czasem móc mówić „nie", a czasem „tak". Zależnie od naszego interesu.

Czy łatwo prowadzić grę z rosyjską dyplomacją, która słynie ze skuteczności…

Jakbyśmy mieli bombę atomową i zasoby Syberii, też mielibyśmy taką skuteczną dyplomację.

…i arogancji. Przytacza Pan w swojej książce anegdotkę o spotkaniu ministrów spraw zagranicznych Polski, Niemiec i Rosji zaraz po aneksji Krymu. Rozmowy były ciężkie, ale Niemiec w pewnym momencie stwierdził, że widzi światełko w tunelu, co Ławrow skwitował powiedzonkiem: „widzę światełko w tunelu, powiedziało gówno, wychodząc z dupy".

No i ma Pan tę swoją świetną dyplomację. O Siergieju Ławrowie mogę powiedzieć tyle, że nawiązaliśmy nić sympatii opartą na opowiadaniu sobie nawzajem dowcipów z czasów sowieckich. I wspólnie przekonaliśmy Unię do zgody na mały ruch graniczny.

Pana zdaniem Ławrow nie jest kreatorem rosyjskiej polityki zagranicznej?

Był nim, ale tylko do pewnego stopnia. W Rosji prezydent jest faktycznym przywódcą państwa – chyba że akurat premierem jest Putin, to wtedy premier. Tak czy inaczej, pozycja konstytucyjna polskiego ministra jest silniejsza niż ministra w Rosji. Mam wrażenie, że Ławrow był wpływowy do anszlusu Krymu, a potem stał się jedynie zagranicznym rzecznikiem Kremla. Zapewne mu ta sytuacja doskwiera, ale w systemie rosyjskim nie można sobie tak po prostu odejść z pracy.

Chyba Ławrow nie był przeciw zajęciu Krymu?

Nie wiem, ale zakładam, że nawet on czuje dyskomfort, gdy musi wprowadzać partnerów w błąd i tracić wiarygodność. 10 lutego 2014 roku spytałem go bezpośrednio w obecności poważnych polityków: macie roszczenia terytorialne wobec Ukrainy? On kategorycznie zaprzeczył. Dwa tygodnie później miał miejsce anszlus.

Pomówmy jeszcze o naszych dyplomatach. W Pana książce jest zdanie, że ci zdolniejsi jeżdżą w ciekawe miejsca, a druga liga – na Wschód. To chyba krzywdząca opinia, zwłaszcza wobec naszych ambasadorów.

Miałem na myśli niższe szarże, nie ambasadorów.

eprasa.pl ec1b7d5698

Ci na niższych stanowiskach też się obrażą.

Pisałem o zarobkach w ministerstwie, które na Wschodzie były niższe, więc powinni być zadowoleni. Ambasadorowie zarabiają więcej nawet niż ministrowie spraw zagranicznych i im krzywda się nie działa. Chętnych na te stanowiska nigdy nie brakowało, zwłaszcza jeśli chodziło o państwa zachodnie i bogate. Natomiast dyplomaci jeżdżący na Wschód dostawali mniej, a przecież pracowali w trudniejszych warunkach. Właśnie ja chciałem im wynagrodzić to poświęcenie. Z drugiej strony, bądźmy szczerzy – motywacje ludzkie są różne. Niektórzy chcieli jeździć na placówki u naszych wschodnich sąsiadów, bo z tych położonych bliżej można na weekend wyskoczyć do domu. Niektórzy w Paryżu czy Londynie by sobie nie poradzili, więc chętnie godzili się na prowincjonalne placówki. Bywały niekiedy sytuacje trudniejsze. W Łucku musiałem wywalić całą obsługę konsulatu, bo wydawano tam wizy niezgodnie z kodeksem Schengen i konsulat o tym wiedział.

Po objęciu funkcji szefa MSZ nie odwołał Pan Jerzego Bahra z funkcji ambasadora RP w Moskwie, którego posłał tam poprzedni rząd. Dlaczego?

Są kompetentni Polacy, którzy służyli różnym ekipom, i państwo powinno ich wykorzystywać.

Jerzy Bahr miał wielkie doświadczenie na Wschodzie. Zawsze lubiłem obcować z ludźmi, którzy wiedzą więcej ode mnie i on był jednym z nich. To była wyrobiona marka w Rosji. Odtwarzał po pół wieku nasz konsulat w Królewcu, służył też między innymi na Ukrainie, Litwie, znał cały świat posowiecki. Był nieoceniony i osiągnął wiele. To między innymi dzięki niemu 7 kwietnia 2010 roku nasza dyplomacja odniosła wielki sukces: po raz pierwszy faktyczny władca Rosji złożył hołd Polakom pomordowanym w Katyniu.

Czy posłanie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz do Rosji – kraju, gdzie dominuje twarda męska polityka, nie było ryzykiem?

To samo mi mówiono, gdy posyłałem kobietę na ambasadora do Tokio. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz ma delikatną powierzchowność, ale jestem pewien, że nie chciałby Pan jej mieć za wroga… Zapraszając ją do współpracy, kierowałem się tym, że tak jak w innych krajach powinniśmy sięgać po kadry z najważniejszych think tanków. Katarzyna pracowała najpierw w MSZ, a potem, gdy poznała centralę, zaproponowałem jej wyjazd na ważną placówkę. Większość nominacji z think tanków była udana. Ta również.

Za to nie szczędzi Pan krytyki Leszkowi Szerepce i Witoldowi

eprasa.pl ec1b7d5698

Juraszowi – obaj pracowali na Białorusi. To przypadek?

Tam dyplomaci są pod ciśnieniem agresywnej i profesjonalnej inwigilacji miejscowych służb kontrwywiadowczych. To inwigilacja totalna i nie dziwię się, że nie wszyscy ją wytrzymują. Być może rzeczywiście w takich warunkach trudno zachować zdrowy rozsądek. Leszek Szerepka tuż przed wyborami w 2015 roku zachował się nielojalnie, krytykując w artykule do gazety politykę wobec Białorusi, którą przed chwilą sam jeszcze współtworzył. To potwierdziło moje życiowe spostrzeżenie, że niektórzy tym mocniej wbijają nóż w plecy, im bardziej przedtem się podlizują.

Na koniec: może Pan powiedzieć coś dobrego o polityce wschodniej PiS?

Jest tak słaba, że następcom będzie łatwo ją skorygować. Jeśli przez trzy lata nie odbyło się ani jedno spotkanie na wysokim szczeblu z Rosją, to trudno mówić o polityce wschodniej.

Proszę się wysilić.

Staram się, ale niestety widzę ewolucję w złym kierunku. Lech Kaczyński był kiepskim prezydentem, ale w sprawach ukraińskich działał na rzecz pojednania. Na tyle, na ile miał mocy sprawczej, używał jej do rzeczy dobrych, a nie złych. Tego dziś nie widzę. Teraz Lechowi Kaczyńskiemu stawia się brzydkie pomniki, ale nie pamięta się, że on przestrzegał konstytucji, chciał zjednoczonej Europy, zamierzał też w Katyniu wygłosić pojednawcze przemówienie wobec Rosji.

Tymczasem Jarosław Kaczyński jest coraz bardziej radykalny, nacjonalistyczny i to rzutuje na politykę wschodnią Warszawy. Jest ona coraz gorsza.

Radosław Sikorski jest politologiem, dziennikarzem i politykiem. Minister spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska w latach 2007–2014, później marszałek sejmu RP. Młodość spędził na emigracji w Wielkiej Brytanii. Studiował w Oksfordzie, później był dziennikarzem – w latach osiemdziesiątych XX wieku relacjonował między innymi wojnę w Afganistanie. Współpracował z najważniejszymi anglosaskimi pismami, a także z czołowymi amerykańskimi think tankami. Po powrocie do Polski pełnił funkcje parlamentarzysty, wiceministra i ministra w resortach obrony i spraw zagranicznych rządów centroprawicowych i prawicowych. W październiku 2018 roku nakładem wydawnictwa Znak Horyzont ukazała się jego najnowsza książka *Polska może być lepsza. Kulisy polskiej dyplomacji*.

eprasa.pl ec1b7d5698

Niech już wreszcie będzie *happy end*...

Maciej Jastrzębski

Nie brakowało jej poczucia humoru. Gdy miała osiemdziesiąt dwa lata, potrafiła przyjść na demonstrację w stroju śnieżynki. Wspierającą się na lasce starszą panią w niezwykłym przebraniu bezpardonowo potraktowali milicjanci. Wsadzili ją do radiowozu i zawieźli na komisariat.

Są na moskiewskim Arbacie dwa miejsca, w których marzenia się przeplatają z rzeczywistością: pomnik Bułata Okudżawy i ściana pamięci Wiktora Coja. Obaj byli poetami, obaj kochali swój kraj i obaj, każdy na swój sposób, opisywali przemiany zachodzące w sowieckim społeczeństwie. Dla wielu ludzi w dawnym Związku Sowieckim, współczesnej Rosji i krajach zniewolonych przez sowiecką dyktaturę stali się symbolami walki z reżimem. Bułat Okudżawa w sposób aksamitny rozprawiał się z szarą rzeczywistością, dodając otuchy swoim rodakom, opowiadając im o tym, co drogie każdemu człowiekowi: miłości, rodzinie, ojczyźnie, ukochanym mieście i marzeniach ukrytych w dziecięcym baloniku. Wiktor Coj uderzał w ostrzejsze tony, pobudzając młodych do buntu przeciwko tym, którzy chcieli trzymać ludzi na łańcuchu, kontrolując każdy ich krok.

Kilka metrów od pomnika Bułata Okudżawy, w kamienicy na Arbacie mieszkała pewna staruszka. Codziennie z okna swojego mieszkania patrzyła na barda prężącego się na cokole. Codziennie też przechodziła obok ściany pamięci Wiktora Coja, spoglądała na zdobiące ją malunki i czytała karteczki z wierszami przyklejane do muru przez nastoletnich poetów. Ludmiła Michajłowna Aleksiejewa już nigdy nie spojrzy na pomnik tego, który śpiewał o Arbacie, i nie zobaczy ściany pamięci tego, który napisał pieśń o Kukułce. Obrończyni praw człowieka, sowiecka dysydentka, wychowawczyni kilku pokoleń ludzi walczących o poszanowanie praw obywatelskich odeszła. Zmarła w sobotę 8 grudnia 2018 roku. Nie wiem, jakie myśli towarzyszyły jej w ostatnich chwilach życia, ale z naszych ostatnich rozmów mogę wnioskować, że odeszła spełniona.

Choć nie zobaczyła, jak jej ojczyzna zrzuca jarzmo dyktatury, to zapewne zasnęła w przekonaniu, że pozostawiła wielu młodych następców, którzy równie mocno jak ona będą dążyć do tego, aby w Rosji prawo znaczyło prawo, władza by-

eprasa.pl ec1b7d5698

ła dla obywateli, a nie odwrotnie, i nikt nikogo nie wsadzał do łagrów za głoszone poglądy.

Przemiana

Siwe, krótko przycięte włosy. Duże okulary i uśmiech, którym obdarowywała każdego rozmówcę. Ludmiła Aleksiejewa była osobą zdecydowaną, której wrodzony optymizm często bywał gaszony przez otaczającą ją rzeczywistość.

„Luda wie, czego chce, i zdaje sobie sprawę, jak ciężko to osiągnąć" – tak o znanej rosyjskiej dysydentce mówili jej przyjaciele. Szefowa Moskiewskiej Grupy Helsińskiej marzyła o tym, że kiedyś w Rosji słowa: prawda, otwartość, uczciwość i szacunek, na stałe zagoszczą w życiu społeczno-politycznym. Mówiła jednak otwarcie, że takie przemiany w jej ojczyźnie nie będą możliwe, dopóki z placu Czerwonego nie zniknie mauzoleum Włodzimierza Lenina i doczesne szczątki Józefa Stalina, a ludzie nie zaczną ufać sobie nawzajem. W jej opinii modernizacja polityczna Rosji dokona się tylko wtedy, gdy politycy i prości obywatele będą potrafili uporać się z historycznym bagażem, jaki pozostawił im w spadku Związek Sowiecki.

Ludmiła Michajłowna Aleksiejewa urodziła się w Eupatorii na Krymie, ale jej pierwsze dziecięce wspomnienia wiążą się z Moskwą. Rodzice małej Ludy opuścili czarnomorski półwysep i przenieśli się do stolicy sowieckiego imperium w poszukiwaniu wykształcenia i pracy. Ojciec Michaił Sławiński został ekonomistą, a matka Walentyna Jefimienko – uniwersytecką wykładowczynią specjalizującą się w teoriach matematycznych i autorką wielu podręczników dla studentów.

Od 1960 roku jej moskiewskie mieszkanie stało się miejscem spotkań inteligencji i dysydentów.

Kilkuletnia Ludmiła dorastała pod opieką babci, która wcześnie owdowiała. Nie mając wykształcenia i stałej pracy, za to dwójkę dzieci na utrzymaniu, przez wiele lat musiała toczyć codzienną walkę o przetrwanie. Jej los zmieniła rewolucja październikowa. Babka Ludmiły wielokrotnie powtarzała, że to Związek Sowiecki zapewnił wykształcenie jej dzieciom i na stare lata zapalił światełko dla niej i jej rodziny, co miało ogromny wpływ na postrzeganie świata przez jej ukochaną wnuczkę.

– Jako dziecko rosłam w przekonaniu, że mieszkam w wolnym i najbardziej sprawiedliwym państwie na świecie – wyznała Ludmiła Aleksiejewa w wywiadzie dla Polskiego Radia, który z nią przeprowadzałem, i dodała: – Jest taka piosenka „Mój adres to nie dom i nie ulica. Mój adres to Sowieckij Sajuz". Nigdy tej piosenki nie śpiewałam, ale muszę przyznać, że wychowano mnie w duchu sowieckim, ponieważ

eprasa.pl ec1b7d5698

rodzice byli szczerymi komunistami i wierzyli w te wszystkie bzdury. Choć szczerzy komuniści, to jednak moi rodzice byli uczciwymi i dobrymi ludźmi. Ojciec urodzony w 1905 roku, a mama w 1906 roku. Mieszkali na Krymie, gdzie wojna domowa skończyła się dopiero w 1922 roku. Obydwoje pochodzili z bardzo biednych rodzin i oczywiście opowiadali się za „czerwonymi". Wstąpili do Komsomołu, a później do partii. Naprawdę szczerze w to wszystko wierzyli i nawet nie mieli szansy się dowiedzieć, że to był potworny eksperyment na naszym narodzie. Tragiczny przykład, który pokazał całemu światu, że tak się nie da, że tak nie wolno. A ja należę do pokolenia, które już to zrozumiało, dlatego uważam, że mi się poszczęściło w porównaniu do pokolenia moich rodziców.

Gdy w 1941 roku hitlerowskie Niemcy napadły na Związek Sowiecki, ojciec Ludy – Michaił poszedł na front. „Córko, ja idę bronić sowieckiej władzy" – powiedział. Czternastoletnia dziewczynka została wywieziona z grupą innych dzieci do Kazachstanu. Czytając w gazetach o okropnościach wojny i szybkim marszu armii niemieckiej na Moskwę, postanowiła, że „gdy Moskwa padnie, ucieknie z Kazachstanu i będzie walczyć z faszystami". W 1942 roku Ludmiłę ponownie ewakuowano. Tym razem trafiła do Iżewska, gdzie pracowała jej matka. W tym samym roku nadszedł z frontu ostatni list od jej ojca. Po wojnie okazało się, że zginął podczas próby przerwania przez II Armię blokady Leningradu. W wywiadzie dla Polskiego Radia Ludmiła Aleksiejewa tak wspominała tamte chwile:

– W Iżewsku gnieździłyśmy się z matką w niewielkim mieszkanku, w którym oprócz nas i właścicieli zakwaterowano jeszcze kilka innych osób. To były dziwne czasy. W dzień wszyscyśmy się nienawidzili, bo jeden drugiemu bez przerwy wchodził w paradę, a to w kuchni, a to w łazience. Jednak wieczorem, gdy wracaliśmy z pracy, wszyscyśmy siadali przy jednym stole. Głód wtedy był wielki. Porcje żywnościowe ledwie starczały, żeby przeżyć, a wieczorem każdy z nas kładł na stole to, co dostał lub kupił: konserwę, chleb, jajka, cebulę, herbatę i cukier. Nie wiedziałam wtedy, co się dzieje z moim ojcem, ale po latach się dowiedziałam, że jego oddział wysłano, aby się przebił do Leningradu. Nie dali rady. Znaleźli się w kotle. Trwali wśród bagien, otoczonych lasem wiele tygodni. Z głodu zjadali swoich zabitych towarzyszy i nikt nie przyszedł im z pomocą, bo Stalin miał akurat inne plany.

Aleksiejewa podpisywała się pod wszystkimi apelami do władz Rosji o wzięcie w obronę dziennikarzy i ujawnienie zabójców oraz zleceniodawców zabójstw i pobić znanych publicystów.

W Iżewsku Luda się uczyła i pomagała opatrywać rannych, których codziennie przywożono do miejscowego szpitala. Wiosną 1943 roku dziewczynka wraz z mat-

eprasa.pl ec1b7d5698

ką wróciła do Moskwy. Wtedy też Ludmiła postanowiła wstąpić do Komsomołu. Na front jej nie wysłano, ale przez wiele miesięcy pracowała przy budowie stacji metra. Po zakończeniu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej Aleksiejewa rozpoczęła studia na wydziale historii. Wtedy też zaczęła dostrzegać, że nie wszystko w jej kraju jest uczciwe i dobre. Ludzie, walcząc o stanowiska i władzę, zdradzają jedni drugich i na kłamstwach opierają swoje zawodowe kariery. Aby być jak najdalej od politycznych zawirowań i podejrzeń o wywrotową działalność, Ludmiła przeniosła się z wydziału historii na archeologię, uznawszy, że ten kierunek jest najmniej związany z polityką.

W tym okresie poznała męża Walentina Aleksiejewa i urodziła dziecko. O swoich wątpliwościach związanych z okresem stalinowskim rozmawiała z bratem ojca Borysem, ale jak napisała we wspomnieniach zebranych w książce *Pokolenie odwilży*: „wujek tłumaczył, że w socjalizmie obowiązują pewne zasady, których ludzie nauki nie są w stanie pojąć".

Po zakończeniu studiów jako działaczka Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego wykładała na moskiewskich uczelniach i współredagowała naukowe magazyny. Po śmierci Stalina i aresztowaniu Ławrientija Berii zrezygnowała z obrony pracy doktorskiej poświęconej historii partii i zaniechała dalszej kariery naukowej. Coraz częściej spotykała się z ludźmi kontestującymi sowiecką rzeczywistość.

Związek Sowiecki nie jest wieczny

Od 1960 roku jej moskiewskie mieszkanie stało się miejscem spotkań inteligencji i dysydentów. Często odwiedzali ją zachodni dziennikarze, aby porozmawiać z przeciwnikami systemu komunistycznego, a KGB na stałe wzięło dom pod obserwację. Osiem lat później za udział w licznych demonstracjach i protestach w obronie sowieckich pisarzy i intelektualistów Aleksiejewa została wyrzucona z Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego.

W kolejnych latach coraz częściej można było ją spotkać w gronie obrońców praw człowieka, na demonstracjach i w redakcjach antysowieckich czasopism. W 1976 roku wraz z przyjaciółmi założyła Moskiewską Grupę Helsińską i poświęciła się dokumentowaniu warunków, w jakich sowieckie władze przetrzymywały więźniów politycznych.

Przełomowy w życiu Aleksiejewej okazał się 1977 rok. Oskarżona o antypaństwową działalność, została zmuszona do emigracji. Wyjechała do USA, gdzie była między innymi zagraniczną korespondentką Moskiewskiej Grupy Helsińskiej. W latach osiemdziesiątych XX wieku pracowała nad publikacjami poświęconymi historii sowieckiej opozycji i tak zwanego innego myślenia. Na co dzień współpracowała ze stacjami radiowymi Głos Ameryki i Wolna Europa, pisała dla zachodnich gazet

eprasa.pl ec1b7d5698

i uczestniczyła w konferencjach Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. W okresie rozpadu Związku Sowieckiego apelowała do międzynarodowych organizacji, aby zajęły się nie tylko obroną więźniów politycznych, ale również podstawowych praw obywateli. Wróciła do ojczyzny w 1993 roku, a trzy lata później została wybrana przewodniczącą Moskiewskiej Grupy Helsińskiej. Parafrazując poetkę Annę Achmatową, napisała w *Pokoleniu odwilży*, że obrońcy praw człowieka powinni „być ze swoim narodem tam, gdzie on ku swojemu nieszczęściu akurat się znalazł".

Choć rosyjska obrończyni praw człowieka miała swoje lata i wiele zmarszczek na pogodnej twarzy, to nie zaniechała udziału w życiu publicznym.

Opowiadała mi później:

– Myślałam, że *Sowieckij Sojuz* jest wieczny. Wszyscy tak myśleliśmy. Wtedy nawet najlepsi specjaliści nie przewidywali krachu imperium i dlatego nie wdawałam się w dyskusje, czy powinno ono istnieć, czy nie. Po prostu urodziłam się w takim państwie, podobało mi się, że kraj jest taki wielki i że jak gdzieś jedziesz, to roztacza się przed tobą bezkres. Wyleczył mnie z tego jeden z przyjaciół. Byłam już wtedy na emigracji w Ameryce i w trakcie kolejnej dyskusji powiedziałam do niego: „wiesz, po tym gdy byliśmy obywatelami takiego wielkiego państwa jak Związek Sowiecki, nie mogłabym mieszkać, dajmy na to, w takiej Holandii, gdzie wyjdziesz za próg domu i od razu uderzasz nosem w granicę. Jeśli gdzieś mieszkać, to tylko w Ameryce, bo to też jest duży kraj".

Na co mój przyjaciel zapytał mnie, czy kiedykolwiek myślałam o Związku Sowieckim jako o imperium, które przemocą wchłonęło narody, które wcale nie chcą być w jego granicach, i czy wolę mieszkać w imperium, czy w państwie demokratycznym? Odpowiedziałam, że oczywiście chcę wolności, demokracji, a on oświadczył, że demokracja w imperium nie jest możliwa i dodał: „dopóki nasze państwo będzie imperium, nie będzie w nim demokracji". Szczerze powiedziawszy, choć walczyłam od dawna o prawa człowieka i z tego powodu musiałam uciekać za granicę, to taka prosta myśl mną wstrząsnęła. Powiedziałam sobie wtedy, że jeśli ceną za upadek imperium miałby być rozpad mojego kraju, to niech się rozpada.

Wtedy fontanny były bardziej błękitne, a róże bardziej purpurowe

W 2002 roku prezydent Władimir Putin zaprosił Aleksiejewą do współpracy w komisji do spraw praw człowieka. Rok później Moskiewska Grupa Helsińska pod jej przewodnictwem oraz stowarzyszenie Memoriał skierowały list do prezydenta USA i premiera Wielkiej Brytanii o zaprzestanie działań wojennych w Iraku.

eprasa.pl ec1b7d5698



Vitaliy Ragulin (cc by-sa 3.0) commons.wikimedia.org

Ludmiła Aleksiejewa 1927–2018

„Ta wojna niszczy podstawy współczesnego świata" – napisali rosyjscy obrońcy praw człowieka. W 2004 roku Aleksiejewa wspólnie z Garrim Kasparowem i Georgijem Satarowem utworzyła Wszechrosyjski Kongres Obywatelski, organizację, której naczelnym hasłem jest walka „o demokrację przeciwko dyktaturze". Choć do współpracy w prezydenckiej radzie zajmującej się prawami człowieka zaprosił dysydentkę Putin to, jak mawiają jej przyjaciele, nie był on bohaterem jej ulubionych bajek.

W 2009 roku Aleksiejewa wystąpiła otwarcie przeciwko społecznej polityce rządzącego w Rosji tandemu Miedwiediew–Putin. Aktywnie uczestniczyła w demonstracjach organizowanych przez tak zwaną Strategię 31. Ten ruch społeczny skupia zwolenników wielu organizacji opozycyjnych, które domagają się od władz przestrzegania konstytucyjnych praw obywateli. Chodzi między innymi o artykuł 31 konstytucji Federacji Rosyjskiej gwarantujący wolność zgromadzeń.

Podczas jednej z takich demonstracji w grudniu 2009 roku Aleksiejewa została zatrzymana przez OMON. Wywołało to gwałtowną reakcję na całym świecie. Działania rosyjskiej milicji potępił między innymi ówczesny przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek. Choć rosyjska obrończyni praw człowieka miała swoje lata i wiele zmarszczek na pogodnej twarzy, to nie zaniechała udziału w życiu publicznym. Często można ją było spotkać podczas ulicznych demonstracji i na konferencjach poświęconych rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego. Wciąż nie opuszczał jej optymizm.

eprasa.pl ec1b7d5698

W swoje osiemdziesiąte urodziny 20 lipca 2007 roku wyznała, że wierzy w Rosję i możliwości rosyjskiego społeczeństwa: „W ciągu dziesięciu–piętnastu lat Rosja będzie demokratycznym krajem i państwem prawa. Niezależnie od tego, kto będzie zasiadał na Kremlu, ludzie nie pozwolą traktować się jak bydło. W krajach z rozwiniętą demokracją w rządach także nie siedzą anioły, ale oni tam nie śmieją się tak zachowywać – bo im na to nie pozwalają. Wierzę, że również my będziemy umieli ujarzmić naszą biurokrację. Nie wiem, czy dożyję, ale życzę Wam tego w 2017 roku – datę łatwo zapamiętać. Nie zapomnijcie też o przepowiedni babci Ludy. W 2017 roku będziemy demokratycznym państwem" – życzyła swoim rodakom Aleksiejewa (cytat ze strony internetowej Memoriału).

Gdy podczas różnego rodzaju imprez okolicznościowych wspominało się w Rosji okres Związku Sowieckiego i czciło pamięć „wielkich wodzów" Stalina i Lenina, Aleksiejewa się denerwowała, mówiąc, że to drwiny z ludzi. Po jednej z takich uroczystości, gdzie cytowano słowa hymnu Związku Sowieckiego, wychwalając obu przywódców, Ludmiła Michajłowna oświadczyła: „To gwałt na wszystkich tych, którzy zasłużenie nienawidzą Stalina i stalinizmu. Dlaczego w Niemczech nie odbudowują pomników Hitlera, walcząc o historyczną sprawiedliwość? Ten ludożerca zabił wiele milionów naszych rodaków. I Lenin też nie był aniołem" („Izwiestia" z października 2009 roku).

Gdy rozmawiałem z Ludmiłą Michajłowną o odżywających w Rosji stalinowskich sentymentach, gloryfikowaniu działalności NKWD czy KGB, tłumaczyła, że kremlowska propaganda niszczy w ludziach umiejętność poprawnego wartościowania i powoduje, że świat staje na głowie:

– Osobiście nie tęskniłam i nie tęsknię nawet jednej sekundy za Związkiem Sowieckim. Jestem przekonana, że miałam wielkie szczęście, iż za mojego życia zdarzyło się coś nieoczekiwanego – upadł ZSRS, ponieważ dzięki temu mogłam wrócić z Ameryki do swojej ukochanej ojczyzny. Proszę zrozumieć, że kiedy wyjeżdżałam na emigrację, wyjeżdżałam na zawsze. Zdawałam sobie sprawę, że powrót do Związku Sowieckiego nie był możliwy. A dlaczego dziś ludzie tęsknią i żałują tego rozpadu? Ano dlatego, że starzy wspominają Związek Sowiecki z ckliwością, bo był on ich młodością. Jest taka piosenka: „wtedy fontanny były bardziej błękitne, a róże bardziej purpurowe, bośmy byli młodzi". Inna sprawa, że jest wielu młodych ludzi, którzy żałują rozpadu Związku Sowieckiego. A wie pan dlaczego? Ano dlatego, że im namieszali w głowie ich dziadkowie tęskniący za swoją młodością i ta nasza, obrzydliwa propaganda telewizyjna, która wmawia ludziom, że Związek Sowiecki to było coś wielkiego, coś wspaniałego. U tych młodych ludzi budzi się protest przeciwko współczesności. Oni widzą, że teraz nie ma porządku, jest bałagan, korupcja, wszyscy kradną, są bardzo bogaci i bardzo biedni, a w Związku Sowieckim te-

eprasa.pl ec1b7d5698

go wszystkiego nie było, co oczywiście nie jest prawdą, ale ci młodzi właśnie w ten sposób wyrażają protest przeciwko temu, co teraz się dzieje w Rosji.

Wolność trzeba pielęgnować

Rosyjska obrończyni praw człowieka była laureatką wielu międzynarodowych nagród, między innymi Nagrody im. Andrieja Sacharowa przyznawanej przez Parlament Europejski za wkład w przestrzeganie praw człowieka i walkę o poszanowanie wolności obywatelskich. W jej rozumieniu „przestrzegać praw człowieka to znaczy: szanować, nie okłamywać, nie prześladować i nie zakazywać".

O wolnościach obywatelskich Aleksiejewa mówiła, że są po to, aby obywatele również dla równowagi uświadamiali sobie swoje obowiązki wobec państwa. „Wolności i prawa są dla wszystkich. Dla tych, co wybierają, i dla tych, co rządzą" – podkreślała w wypowiedziach dla Polskiego Radia.

– Za wolność trzeba słono płacić. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku, zaraz po tym, gdy upadł Związek Sowiecki, byliśmy wolnym krajem. Czy myśmy wtedy wywalczyli tę wolność? Nie – ona po prostu spadła nam z nieba. A tak nie bywa. O wolność trzeba walczyć w mękach, nie licząc się z ofiarami. I właśnie tym zajęte jest nasze młode pokolenie. I minie sporo czasu, nim tę wolność ci młodzi ludzie odwojują. Wywalczona wolność będzie już prawdziwa i nikt jej nie odda.

O wolnościach obywatelskich babcia Luda mówiła, że są po to, aby obywatele również dla równowagi uświadamiali sobie swoje obowiązki wobec państwa.

Laureatce Nagrody im. Sacharowa nie brakowało poczucia humoru. Gdy miała osiemdziesiąt dwa lata, potrafiła przyjść na demonstrację w stroju śnieżynki. Wspierającą się na lasce starszą panią w niezwykłym przebraniu bezpardonowo potraktowali milicjanci. Wsadzili ją do radiowozu i zawieźli na komisariat. Później na internetowych forach pojawiły się komentarze, że „chłopy jak byki przestraszyły się drobnej staruszki". Ludmiła Aleksiejewa zabierała głos w różnych sprawach. Przeciwstawiała się wojnie w Iraku i działaniom rosyjskich władz w Czeczenii, w Gruzji, na Krymie, w Donbasie i w Syrii. Występowała w obronie rosyjskiej i białoruskiej opozycji. Broniła dziennikarzy i działaczy społecznych. W ostatnich latach coraz mniej krytykowała Władimira Putina, ponieważ jak mówiła: „współczuje temu człowiekowi, że nie potrafi myśleć inaczej".

– Wierzę w jego szczery patriotyzm. On na swój sposób kocha ten kraj i ja na swój sposób kocham ten kraj. My lubimy ten sam kraj, tylko każdy inaczej – mówiła mi.

eprasa.pl ec1b7d5698

Rosyjska obrończyni praw człowieka wielokrotnie opowiadała się za tolerancją w stosunkach społecznych, politycznych, ale i w modzie. Gdy rosyjska Cerkiew ogłosiła, że Rosjanie i Rosjanki powinni ubierać się skromnie i zgodnie z narodową tradycją, Aleksiejewa nazwała takie wypowiedzi „gwałtem na prawach jednostki".

„Ubranie, fryzura, makijaż to osobista sprawa każdego człowieka. Dyktat w tej sferze to gwałt – działanie żadną miarą niedozwolone" – mówiła proszącym o komentarz dziennikarzom moskiewskich stacji radiowych.

Aleksiejewa przeciwstawiała się wojnie w Iraku i działaniom rosyjskich władz w Czeczenii, w Gruzji, na Krymie, w Donbasie i w Syrii.

Wielokrotnie też zajmowała stanowisko w sprawie zbrodni katyńskiej. W 1980 roku, w okresie najtrudniejszych dla Polski przemian, podpisała się pod listem rosyjskich obrońców praw człowieka do narodu polskiego, w którym zapewniała: „W te pamiętne i bolesne dla Polski dni my, sowieccy obrońcy praw, chcemy raz jeszcze zapewnić naszych polskich przyjaciół, a w ich osobach cały naród, że nikt z nas nie zapomni o tej odpowiedzialności, jaką kraj nasz ponosi za zbrodnię popełnioną przez jego oficjalnych przedstawicieli w Katyniu. Jesteśmy pewni, że bliski jest już dzień, w którym oddamy wszystkim uczestnikom tej tragedii to, co im się należy. Zarówno katom, jak i ofiarom: jednym w miarę ich zbrodni, a drugim w miarę ich męczeństwa" (czasopismo „Kontinient").

Na pytanie o stan relacji polsko-rosyjskich Aleksiejewa odpowiadała:

– Kontakty mojego kraju z Polakami to mój osobisty ból. Gdy tylko zaczynam mówić o Polsce, natychmiast płaczę, bo tak jest mi wstyd. Po pierwsze 1939 rok – praktycznie czwarty rozbiór Polski. Miałam wtedy dwanaście lat, ale pamiętam doskonale, jak nam tłumaczono, że hitlerowcy są źli, a tym czasem my z nimi podzieliliśmy Polskę. To jest dla mnie coś okropnego, niepojętego, nie do wytrzymania. Z tego, cośmy zrobili 17 września w 1939 roku, wziął się później Katyń. I jeszcze zamiast się przyznać do tej zbrodni, to udawaliśmy głupich i zrzucaliśmy odpowiedzialność na Niemców. I jeszcze powstanie warszawskie. Oj – wtedy była wojna i nam wyjaśniali, że nie dało się pójść warszawiakom na pomoc. A okazało się, że nasi stali na drugim brzegu Wisły i mogli pójść, i mogli uratować tych ludzi, i ci ludzie na to liczyli, gdy rzucili się na Niemców… A myśmy nie przyszli im z pomocą. Jestem Rosjanką, nie Polką, ale proszę mi uwierzyć, że ja też od tego wszystkiego przeżywam katusze i cierpię tak, jak cierpią Polacy. Myślę, że za to wszystko nie ma dla nas wybaczenia. Nie mogę prosić Polaków, żeby nam wybaczyli, bo nie zasługuję na wybaczenie. A tym Polakom, którzy jednak mają siłę, żeby chociaż jakiekolwiek kontakty z nami utrzymywać, mogę powiedzieć „dziękuję" i jestem gotowa wam ręce całować za to, żeście nam wybaczyli to, czego wybaczyć nie można.

eprasa.pl ec1b7d5698

Kompromis nie za wszelką cenę

Wypowiadając się o zwycięstwie nad faszyzmem w II wojnie światowej, Ludmiła Aleksiejewa podkreślała w jednej z gazet, że to „nie wynik zasług Stalina, ale męstwa żołnierzy".

Podpisywała się też pod wszystkimi apelami do władz Rosji o wzięcie w obronę dziennikarzy i ujawnienie zabójców oraz zleceniodawców zabójstw i pobić znanych publicystów. Prywatnie przyjaciele nazywali ją „babcią Ludą", za co się nie obrażała i sama wielokrotnie tak o sobie mówiła. Była osobą pogodną i pełną nadziei. Jednak w kwestiach obrony praw obywateli cechowała ją bezkompromisowość.

– Kompromis tak, ale nie za wszelką cenę – zaznaczała w wypowiedziach dla Polskiego Radia. Jej opinię cenili zarówno eksperci monitorujący przestrzeganie praw człowieka, jak i dziennikarze. W Rosji cieszyła się szacunkiem tych, których praw broniła, a także tych, których krytykowała za ich łamanie. Aleksiejewa wierzyła ludziom i wierzyła w ludzi, dlatego wciąż, aż do ostatniego dnia życia starała się dla nich zmieniać świat na lepszy. Jak sama przyznawała, zawsze kochała swoją ojczyznę i dla niej była gotowa wiele znieść.

– Jurij Szewczuk śpiewa: „niech ona będzie potworna, ale to zawsze nasza ojczyzna". Ja wiem, że nasz rząd jest straszny, a klimat jeszcze gorszy, ale ja chcę żyć tutaj, a nie gdzieś tam, dlatego że się tutaj urodziłam – tłumaczyła. – Kocham ten kraj. Powiem panu szczerze: Rosja jest zaskakującym krajem z bardzo tragiczną historią.

Wiem, że mówić o tym Polakowi to grzech, po tym wszystkim, cośmy nawyprawiali z Polską. Historia Polski jest tragiczna na przestrzeni wieków i wydostać się z tych doświadczeń historycznych nie jest łatwo. Proszę jednak choć trochę zrozumieć, że i nasza historia też była i jest tragiczna. Jestem egoistycznie nastawiona do życia.

Chcę, żeby w moim kraju obywatele mogli żyć po ludzku i żeby nasi urzędnicy traktowali ich z godnością, z szacunkiem i z troską, a nie tak jak dziś, gdy przeciętnego człowieka traktuje się jak siłę roboczą i maszynkę do głosowania. Zawsze w naszym kraju byli jak nie car, to pierwszy sekretarz, albo prezydent z nieograniczoną władzą. Ogólnie mówiąc: koszmar, koszmar i horror… A ja chcę inaczej… Niech już wreszcie nastąpi *happy end*.

Maciej Jastrzębski jest od 2010 roku korespondentem Polskiego Radia w Moskwie i autorem książek o tematyce wschodniej.

eprasa.pl ec1b7d5698

Ile dywizji ma patriarcha

Zbigniew Rokita

Rodzi się szesnasty kanoniczny Kościół prawosławny. Autokefalia dla Ukrainy i wyłączenie jej spod jurysdykcji Moskwy to nie tylko rewolucja w trzeciej największej religii świata, ale też jedno z najważniejszych wydarzeń w historii ukraińskiej państwowości.

Kościół Prawosławny na Ukrainie – tak nazywa się samodzielna i jednocząca się na naszych oczach ukraińska Cerkiew prawosławna, która narodziła się na soborze metropolii kijowskiej 15 grudnia. To ważny krok formalny i symboliczny; podobnym ma być zaplanowane na 6 stycznia przekazanie przez patriarchę Konstantynopola zwierzchnikowi ukraińskiej Cerkwi (został nim czterdziestoletni Epifaniusz) tomosu, a więc oficjalne już nadanie Kijowowi autokefalii. Dotychczas istniało piętnaście uznanych powszechnie samodzielnych cerkwi lokalnych (szesnastą jest Rzym, ale z punktu widzenia prawosławnych odłączył się on od reszty wspólnoty tysiąc lat temu): starożytne konstantynopolitańska, jerozolimska, antiocheńska i aleksandryjska, a także rosyjska, gruzińska, serbska, rumuńska, bułgarska, cypryjska, grecka, albańska, polska, ziemi czeskiej i słowackiej oraz amerykańska. Trudno powiedzieć, kto ma prawo do autokefalii, gdyż nie ma jasno określonych zasad jej przyznawania, a w prawosławiu brakuje centralnego ośrodka decyzyjnego na wzór biskupa Rzymu. Patriarcha Konstantynopola jest tylko *primum inter pares*. Siergiej Chapnin pisze w komentarzu dla Carnegie.ru: „Sytuacja jest o tyle trudniejsza, że prawo cerkiewne to zbiór starych i dość pogmatwanych wytycznych. Tworzyło się na soborach powszechnych w czasach bizantyjskich i słabo odpowiada współczesnym realiom. Jasnego i zrozumiałego kodeksu prawa kanonicznego do tej pory nie ma".

Procedurę przyznawania autokefalii chciał przed trzema laty wypracować patriarcha konstantynopolitański Bartłomiej. Między innymi w tym celu zwołał pierwsze od IX wieku zgromadzenie hierarchów. Zależało mu na obecności wszystkich piętnastu cerkwi, aby sobór można było uznać za powszechny – w tym celu przeniósł go nawet ze Stambułu na Kretę, żeby zjawili się na nim Rosjanie (stosunki rosyjsko-tureckie były w tym czasie napięte). Na nic się to zdało: Moskwa wraz z cerkwiami gruzińską, bułgarską i antiocheńską (z siedzibą w Damaszku) zbojkotowały szczyt. Ostatecznie w Grecji nie rozmawiano o autokefalii i wciąż nie istnieje procedura jej przyznania. Moskwie udało się uniknąć trudnego tematu, gdyż boi się cerkiew-

eprasa.pl ec1b7d5698

nych separatyzmów jak diabeł święconej wody. Nie tylko zresztą ona, bo na przykład Serbia obawia się o Chorwację, Macedonię i Czarnogórę, a Gruzja o Abchazję i Osetię Południową.

Średniowiecze, Petlura i rewolucja godności

Prawosławny Kijów uniezależnia się od Moskwy, choć to tylko cofnięcie zegara historii. W średniowieczu istniała już autokefaliczna metropolia kijowska, ale wraz ze słabnięciem Rusi Kijowskiej od końca XIII wieku metropolici kijowscy i całej Rusi rezydowali we Włodzimierzu nad Klaźmą, a następnie w Moskwie. Moskwa stopniowo marginalizowała Kijów: najpierw w XV wieku metropolia moskiewska oddzieliła się od kijowskiej, później w XVI wieku metropolici moskiewscy zostali podniesieni do rangi patriarchów, aby w 1686 roku – po oddaniu przez Rzeczpospolitą Kijowa – wchłonąć Cerkiew kijowską, która odtąd należała do Patriarchatu Moskiewskiego. Sytuacja pozostawała niezmienna przez wieki, aż do teraz.

W międzyczasie pojawiły się dwie ukraińskie cerkwie nieuznawane powszechnie, a ich stworzenie było próbą usamodzielnienia miejscowego prawosławia. Pierwszą jest stworzony przez Semena Petlurę po I wojnie światowej Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny (UAPC). Druga – Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Kijowskiego (UPC-KP) – wyłoniła się w dobie upadku Związku Radzieckiego jako rezultat sporów między UAPC a kremlowską i uznaną powszechnie Ukraińską Cerkwią Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego (UPC). Rewolucja godności sprawiła, że coraz więcej Ukraińców zaczęło identyfikować się z narodową UPC-KP kosztem UPC (choć patriarcha Cyryl był ostrożny: zadecydował, że cerkwie na Krymie wciąż podlegają nie bezpośrednio Moskwie, lecz właśnie miejscowej UPC).

„Petlurowska" UAPC jest spośród tych wspólnot zdecydowanie najsłabsza, przez kilka komunistycznych dekad przebywała na emigracji. Raport Centrum Razumkowa z kwietnia ubiegłego roku pokazał, że na Ukrainie wśród prawosławnych (a ci stanowią dwie trzecie społeczeństwa) 43 procent uważa się za członków nieuznawanych cerkwi narodowych (42,6 procent UPC-KP i zaledwie 0,4 procent UAPC), a 19,1 procent identyfikuje się z moskiewskim UPC. Ponad jedna trzecia respondentów uważa się za „po prostu prawosławnych".

Wszyscy prezydenci niepodległej Ukrainy (poza Wiktorem Janukowyczem) zabiegali o autokefalię i usamodzielnienie się od Moskwy. Wiosną ubiegłego roku Kijów podjął kolejną próbę. Rada Najwyższa na prośbę Petra Poroszenki przychyliła się do wniosku dwóch ukraińskich cerkwi narodowych do patriarchy Konstantynopola w tej sprawie. Spotkania trwały kilka miesięcy: Poroszenki z patriarchą Bartłomiejem, Bartłomieja z patriarchą Cyrylem (bezowocne) itd. Przyniosły one bezpre-

eprasa.pl ec1b7d5698



Andrzej Brzeziecki

Autokefalia wzmocni Poroszenkę, ale sami Ukraińcy nie są w tej kwestii jednomyślni i właśnie dlatego możliwa jest korzystna dla prezydenta polaryzacja – to w Polsce często ulegamy złudzeniu, że nad Dnieprem panuje zgoda wobec uniezależniania się od wschodniego sąsiada.

cedensową decyzję w październiku: Konstantynopol uznał, że Moskwa bezprawnie podporządkowała sobie metropolię kijowską. Stało się jasne, że kwestią miesięcy jest, by Kijów po długich wiekach znowu stał się samodzielną Cerkwią. Bartłomiej postawił jednak warunek: dopiero wspólny ukraiński Kościół prawosławny będzie mógł być autokefaliczny, stąd uznał tymczasowo dwie narodowe cerkwie ukraińskie, aby umożliwić zjednoczenie.

Jarosława Miszczenko, ukraińska publicystka i religioznawczyni, tłumaczy, dlaczego właśnie teraz Bartłomiej zdecydował się na taki krok.

– Nasze źródła na Fanarze [siedziba Bartłomieja – przyp. Z.R.] twierdzą, że decyzja ta nie wynika z żalu do patriarchy Moskwy o to, że nie przyjechał na sobór na Krecie – mówi Miszczenko. – Choć oczywiście Konstantynopol wie o nieustannych próbach Moskwy kreowania siebie na trzeci Rzym, poniżania Fanaru, zdobycia dominacji. Dużą rolę odegrał fakt, że niemal wszyscy przywódcy Ukrainy konsekwentnie zabiegali o autokefalię i że Ukraina walczy, i giną jej obywatele.

Po październikowej decyzji Fanaru hierarchowie patriarchatu moskiewskiego zareagowali ostro: zdecydowali o przerwaniu jedności eucharystycznej z Konstantynopolem, zabronili swoim wiernym przystępowania do sakramentów podczas liturgii sprawowanych w świątyniach patriarchatu konstantynopolitańskiego oraz wezwali pozostałe trzynaście cerkwi do zrobienia tego samego, a więc wezwali do schizmy

eprasa.pl ec1b7d5698

(ruchy moskiewskiej Cerkwi trzeba rozpatrywać jako ruchy Kremla). Zdaniem Moskwy Konstantynopol nie mógł sam ogłosić decyzji o ukraińskiej autokefalii – musi być ona wynikiem jednomyślnej zgody piętnastu cerkwi. Prawosławne kościoły podzieliły się, część poparła Konstantynopol, część Moskwę. Co ciekawe, po stronie Moskwy stanęła między innymi polska Cerkiew, która w 1924 roku odłączyła się od patriarchatu moskiewskiego. Z oświadczenia polskiej Cerkwi dowiadujemy się, że zabroniono polskim duchownym „wchodzenia w liturgiczno-modlitewne kontakty z »duchownymi« tzw. Patriarchatu Kijowskiego i tzw. Autokefalicznej Cerkwi, które w dotychczasowych działaniach uczyniły wiele zła".

Miszczenko uważa, że nie należy spodziewać się schizmy i nie można uważać za nią odcięcia się Moskwy od Konstantynopola. Jednak dlaczego w owym odcięciu nie można dopatrywać się schizmy? Nawet to słowo nie wydaje się na wyrost, gdyż dotychczas kontrolujący znaczną część ukraińskich parafii patriarchat moskiewski był największym Kościołem prawosławnym świata.

Cerkiew-naszyzm

Dla Poroszenki ważny jest aspekt wewnątrzpolityczny. Obecnie, na kilka miesięcy przed marcowymi wyborami, jego notowania są niskie. Liczył, że zaognienie sytuacji religijnej i polaryzacja stanowisk w społeczeństwie może z jednej strony pomóc wprowadzić do drugiej tury kandydata prorosyjskiego, a z drugiej – wykreować Poroszenkę na obrońcę ojczyzny i wiary. W takim starciu miałby on szansę na zachowanie urzędu i uniknięcie przekazania władzy obecnej liderce Julii Tymoszenko. Dlatego dla prezydenta od początku ważny był czas i wywalczenie autokefalii jeszcze przed elekcją. Jego notowania dalej są jednak niskie.

Chapnin pisze: „Polityczny aspekt jest tu bezdyskusyjnie główny. Nie ma przypadku w tym, że zabiegać o autokefalię do patriarchy Bartłomieja jedzie osobiście prezydent. Niewykluczone, że jeśli nie byłoby Krymu i Donbasu, to sprawa autokefalii nie byłaby wysuwana tak dobitnie. Mało tego, w pełni możliwe, że Poroszenko pojechałby najpierw do patriarchy moskiewskiego".

Autokefalia wzmocni Poroszenkę (choć na razie nie jest to wzmocnienie znaczne), ale sami Ukraińcy nie są w tej kwestii jednomyślni i właśnie dlatego możliwa jest korzystna dla prezydenta polaryzacja – to w Polsce często ulegamy złudzeniu, że nad Dnieprem panuje zgoda wobec uniezależniania się od wschodniego sąsiada. Według przywoływanych badań Centrum Razumkowa, wśród wszystkich Ukraińców za utworzeniem samodzielnej Cerkwi opowiada się tylko 35 procent (wśród prawosławnych 41 procent). Kolejne 19 procent jest przeciwnych (wśród prawosławnych 21 procent), 33,5 procent nie jest sprawą zainteresowanych, a 12 procent

eprasa.pl ec1b7d5698

się waha. Różnice nakładają się na znane podziały geograficzne i polityczne. O ile na zachodzie kraju stosunek popierających autokefalię i krytykujących ją wynosi 60,5 procent do 12 procent, a w centrum 41 procent do 15 procent, o tyle już na wschodzie 14 procent do 32 procent.

Rosyjska Cerkiew jest kluczowym elementem zachowania wpływów Moskwy na obszarze poradzieckim.

Istotną kwestią jest też podział wśród ukraińskich biskupów moskiewskiej UPC. Nie wiemy, jaka część z nich przyłączy się do nowo powstałego Kościoła narodowego, ale z pewnością znaczna część tego nie uczyni – a to z powodu przekonań, a to ze strachu bądź mając na uwadze doczesne korzyści. Część ukraińskich wiernych będzie należeć do Cerkwi podporządkowanej Moskwie, a część do uznanej Cerkwi ukraińskiej. Sytuacja będzie więc przedstawiać się podobnie jak dotychczas, ale na odwrót. Postawa kolejnych biskupów UPC będzie budzić szczególne zainteresowanie obserwatorów w kolejnych miesiącach.

Tetiana Derkacz, autorka książki *Moskiewski patriarchat na Ukrainie: anatomia zdrady* (Kijów 2018), wyjaśnia, jakie instrumenty wpływu dawał do niedawna fakt kontrolowania znacznej części ukraińskiego prawosławia.

– Po pierwsze, ukraińskim hierarchom zależało na byciu lojalnymi wobec Moskwy, gdyż wiązało się to z korzyściami finansowymi i statusem, a finansowanie było ogromne – tłumaczy ekspertka. – Po drugie, istniała duża sieć organizacji, które agresywnie propagowały duchowną, historyczną i kulturową dominację Rosji oraz *ruski mir* jako jedyną drogę dla Ukrainy. Po trzecie, w regionach i na wyższym szczeblu struktury patriarchatu zlewały się z państwowymi i siłowymi. Demonizowano inne ukraińskie cerkwie. I wreszcie – obawiano się nad Dnieprem, że na tych, którzy „zdradzą Rosję", znajdą się *kompromaty* – mówi Derkacz.

A czy po decyzji Konstantynopola o przyznaniu autokefalii Moskwa nadal będzie mogła skutecznie naciskać na Ukraińców? Derkacz twierdzi, że zachowa takie wpływy.

– Po pierwsze, może zastraszać wiernych, że w razie przechodzenia do Cerkwi ukraińskiej ukraińscy nacjonaliści czy władze będą ich represjonować – tłumaczy ekspertka. – Po drugie, można spodziewać się fake newsów (w tym w zawierających wirusy SMS-ów czy e-maili) o tym, że gdzieś podpalono świątynię, napadnięto na duchownych, odebrano cerkiew, że ukraińskie służby wywierają naciski na wiernych itd. Po trzecie, będą przekonywać wiernych, że autokefalia to „antychryst" itp.

Trzeba podkreślić, że spora część duchownych i wiernych na Ukrainie wręcz kwestionuje odrębność kulturową Ukrainy.

– Oczywiście, nie ma mowy, aby wszyscy biskupi moskiewskiej UPC poparli autokefalię – mówi Miszczenko. – I nie o to zabiegają nasze władze. Zadaniem Kijowa

eprasa.pl ec1b7d5698

jest sprawienie, by biskupi, którzy nadal podporządkują się Moskwie, nie nastawiali źle ludzi i w kazaniach (w rzeczywistości są to publiczne przemówienia) nie walczyli z nową cerkwią. Myślę, że to cel możliwy do osiągnięcia – zaznacza.

Cerkiew za Krym

Niewykluczone też, że Moskwa użyje siły, choć na stosunkowo niewielką skalę. Dla Władimira Putina to sprawa najwyższej wagi – świadczy o tym chociażby fakt, że natychmiast po ogłoszeniu przez Fanar październikowej decyzji o unieważnieniu moskiewskiego zwierzchnictwa nad Ukrainą Władimir Putin zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa (to również różnica między patriarchami Bartłomiejem i Cyrylem – za pierwszym nie stoi żadne państwo). Według wpływowego ukraińskiego analityka wojskowego Dmytra Tymczuka, Rosjanie są przygotowani na zbrojne „zagwarantowanie bezpieczeństwa" najważniejszym prawosławnym ławrom. Dla Rosji sprawa autokefalii to cios na wielu poziomach. Patriarchat moskiewski posiada na Ukrainie aż 12 tysięcy parafii, podczas gdy dwa pozostałe kościoły łącznie 6 tysięcy. Na Ukrainie znajduje się najpewniej w przybliżeniu co trzecia parafia kontrolowana przez Moskwę. Kontrolując Ukrainę w dotychczasowym kształcie, patriarchat moskiewski jest największy i najbogatszy na świecie. To istotne dla narracji o trzecim Rzymie i centrum chrześcijaństwa, którym nie mogą być już zgniłe i liberalne Rzym oraz Konstantynopol. Rosyjska Cerkiew jest również kluczowym elementem zachowania wpływów Moskwy na obszarze poradzieckim i umacniania projektu cywilizacyjnego, jakim jest *ruski mir*. W ten sposób rozpada się kolejna po Imperium Rosyjskim i Związku Radzieckim ogromna struktura (moskiewska Cerkiew obejmuje terytorium Ukrainy i Białorusi oraz ogromnej części pozostałego obszaru poradzieckiego) – dotychczas symbol stałości, odporna na „geopolityczne katastrofy". W Rosjanach może nasilać się dziś poczucie, że ich kraj kurczy się po raz kolejny. Rosyjskie media ostrzegają nieustannie przed „przelewem krwi", takie głosy słychać także wśród ekspertów ukraińskich. Pytam o to Derkacz.

– Mogą pojawić się rosyjskie oddziały bojowe dla „ochrony Cerkwi i wiary", które urządzać będą prowokacje – wyjaśnia. – Nie wykluczam lokalnych konfliktów o świątynie tam, gdzie wierni będą podzieleni. Moskwa będzie chciała dyskredytować Kijów, ale przecież w rzeczywistości ukraińskie władze nie kontrolują miejscowych radykałów – nie wiadomo, kim są, kto ich finansuje.

To ogromny sukces Ukrainy i porażka Rosji. W pewnym sensie utrata kontroli nad ukraińską Cerkwią jest dla Moskwy bardziej dotkliwa niż utrata kontroli nad Krymem dla Kijowa.

Tekst został ukończony 18 grudnia 2018 roku

eprasa.pl ec1b7d5698

Po staremu, po nowemu

Wojciech Wojtasiewicz

Z jednej strony po wyborach prezydenckich w Gruzji nic się nie zmieniło. Gruzińskie Marzenie zainstalowało na fotelu głowy państwa swoją przedstawicielkę, formalnie niezależną. Z drugiej jednak strony przebieg wyborów pokazał obozowi władzy, że poparcie dla niego znacznie zmalało, a wygrana w wyborach parlamentarnych w 2020 roku stoi pod znakiem zapytania.

Rok 2018 był dla Marzycieli w Gruzji dość ciężki. Obóz władzy nadal borykał się z osłabieniem waluty narodowej – lari, co skutkowało wzrostem zadłużenia społeczeństwa (około 80 procent Gruzinów zaciągnęło kredyty, często na wydatki bieżące), wysokim bezrobociem oraz ubóstwem sporej części ludności. Do tego doszło sporo problemów natury *stricte* politycznej. Wiosną wybuchły protesty społeczne przeciwko najazdowi policji na dwa kluby muzyczne w Tbilisi, sympatyzujące ze społecznością LGBT, pod pretekstem walki z dilerami narkotykowymi. Ponadto Gruzini demonstrowali w sprawie poparcia dla Zazy Saralidzego i Malchaza Maczalikaszwilego, ojców szesnastoletniego Dawida i dziewiętnastoletniego Temirlana, zamordowanych w 2017 roku. Sprawcy ich śmierci nie zostali wskazani i osądzeni, a ich najbliżsi oskarżają rząd o krycie morderców. Do wyjaśnienia sprawy została powołana parlamentarna komisja śledcza, a ówczesny premier Giorgi Kwirikaszwili próbował uspokoić wściekły tłum zgromadzony przed budynkiem starego parlamentu w Tbilisi, jednak został wygwizdany.

Dla każdego, nawet mniej uważnego obserwatora, stawało się jasne, że władza Gruzińskiego Marzenia rozłazi się w szwach. Rządzącym brakuje koncepcji rozwiązywania realnych problemów Gruzinów, a społeczeństwu cierpliwości w oczekiwaniu na realizację obietnic wyborczych z 2012 i 2016 roku przez Marzycieli. Po ponad trzech latach przerwy formalnie do gruzińskiej polityki wrócił założyciel Gruzińskiego Marzenia i były premier Bidzina Iwaniszwili, który ponownie stanął na czele partii rządzącej. Nowym premierem został dotychczasowy minister finansów Mamuka Bachtadze. Roszady personalne na niewiele się zdały.

W poszukiwaniu prezydenta

Obóz władzy miał sporo problemów, żeby wskazać swojego kandydata w jesiennych wyborach prezydenckich. Nie miały one wielkiego znaczenia politycznego,

eprasa.pl ec1b7d5698

ponieważ kolejna nowelizacja konstytucji znacznie ograniczała kompetencje głowy państwa, a nawet ewentualna wygrana przedstawiciela opozycji nie uniemożliwiłaby rządzenia Marzycielom, gdyż mają oni większość konstytucyjną w parlamencie. Na giełdzie nazwisk pojawiało się wielu kandydatów – ministrów, byłych premierów i tak dalej. Sam Iwaniszwili miał być usilnie namawiany przez aktyw partyjny do udziału w wyborach, jednak wzbraniał się przed tym nogami i rękami. Ostatecznie partia rządząca zdecydowała się udzielić poparcia niezależnej kandydatce Salome Zurabiszwili. Marzyciele podkreślali, że rezygnacja przez nich z posiadania swojego prezydenta pozytywnie wpłynie na rozwój gruzińskiej demokracji. Nie wszystkie najwyższe stanowiska państwowe będą pozostawać w orbicie jednej siły politycznej. Jednak, jak się wydaje, był to raczej sposób na wyjście z problemu z wyłonieniem własnego kandydata i zabezpieczenie przed ewentualną przegraną. Zawsze można było stwierdzić, że nie przegrał nominat partii rządzącej, a kandydatka niezależna.

Salome Zurabiszwili w kampanii wyborczej poruszała się jak słoń w składzie porcelany. A to przy okazji dziesiątej rocznicy wybuchu wojny gruzińsko-rosyjskiej oskarżyła byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego i Gruzję o doprowadzenie do konfliktu z Moskwą, za co została skrytykowana nie tylko przez opozycję, ale również przez Marzycieli (musiała się wycofać ze swoich słów), a to zaliczała liczne wpadki językowe (jej przeciwnicy zarzucają jej, że niemiłosiernie kaleczy gruziński), a to znikała na całe dnie, nie prowadząc żadnej aktywności politycznej. Sondaże pokazywały, że jej zwycięstwo wcale nie jest pewne, a do drugiej tury mogą przejść dwaj kandydaci opozycji – Grigol Waszadze ze Zjednoczonego Ruchu Narodowego (partia rządząca w latach 2004–2012), formalnie popierany przez koalicję jedenastu partii pod nazwą Zjednoczona Opozycja – Siła w Jedności, i Dawid Bakradze z Europejskiej Gruzji (ugrupowanie powstałe w styczniu 2017 roku w wyniku rozłamu w ZRN). Pozostali uczestnicy wyścigu prezydenckiego cieszyli się kilkuprocentowym poparciem.

Gruzini są już wyraźnie zmęczeni ostrą polaryzacją pomiędzy obydwoma blokami politycznymi.

Paryżanka w Tbilisi

Salome Zurabiszwili urodziła się we Francji jako potomkini gruzińskich emigrantów, którzy opuścili kraj w 1921 roku z powodu nawały bolszewickiej. Skończyła nauki polityczne w prestiżowej paryskiej Sciences Po i studiowała na amerykańskim Uniwersytecie Columbia. Większość życia przepracowała we francuskiej dyplomacji, stając się w 2003 roku ambasadorką Francji w Gruzji. Rok później nowy prezydent

eprasa.pl ec1b7d5698

Micheil Saakaszwili zaprosił ją do współpracy, powołując na stanowisko ministra spraw zagranicznych Gruzji.

Zurabiszwili udało się wynegocjować z Rosjanami likwidację ich baz wojskowych na terenie Gruzji (Batumi, Achalkalaki, Waziani), po czym popadła w konflikt z ówczesną elitą władzy, została zdymisjonowana, przeszła do opozycji i stała się nieprzejednaną krytyczką rządów Micheila Saakaszwilego, oskarżając go o ciągoty autorytarne i niewypełnianie obietnic wyborczych. Kandydowała bez powodzenia na burmistrza Tbilisi w 2006 roku (niewiele ponad 2 procent poparcia), założyła partię Droga Gruzji, która przystąpiła do Zjednoczonej Opozycji w latach 2007–2008. Zurabiszwili została jej kandydatką na premiera, jednak to Saakaszwilemu udało się utrzymać władzę w wyniku wyborów prezydenckich i parlamentarnych w 2008 roku. W 2010 roku zawiesiła swoją działalność polityczną w Gruzji i wróciła do kariery dyplomatycznej. Jednak już w 2013 roku po raz pierwszy wyraziła chęć walki o najwyższy urząd w państwie. Gruzińska Centralna Komisja Wyborcza odmówiła zarejestrowania kandydatury Zurabiszwili z powodu niezamieszkiwania przez nią nieprzerwanie przez pięć lat Gruzji. W 2016 roku została deputowaną do gruzińskiego parlamentu, formalnie jako osoba niezależna, w rzeczywistości przy wsparciu Gruzińskiego Marzenia, które nie wystawiło swojego kandydata w jej okręgu wyborczym. W legislatywie nie była nazbyt aktywna.

Żółta kartka dla władzy

Wyniki pierwszej tury głosowania były niemałym szokiem dla obozu władzy. Nie dość, że Zurabiszwili nie wygrała wyborów w pierwszej rundzie, to zdobyła raptem niecały procent głosów więcej niż Grigol Waszadze. Liderzy Gruzińskiego Marzenia niechętnie przyznawali, że społeczeństwo w ten sposób wyraziło swoje niezadowolenie wobec ich rządów. W związku z tym zapowiedziano kolejne roszardy personalne w partii i rządzie oraz anulowanie długów w wysokości do 2000 lari około 600 tysiącom najbiedniejszych Gruzinów. Fundusze na ten zabieg miały pochodzić z kieszeni najbogatszego Gruzina Bidziny Iwaniszwilego, którego majątek szacowany jest na około 5 miliardów dolarów. Formalnie pieniądze wypłacać miała jego fundacja Cartu.

Ponadto odnotowywane były liczne przypadki korzystania z tak zwanych zasobów administracyjnych, czyli funduszy i aparatu państwowego w celu wsparcia Zurabiszwili. Pracownikom sektora publicznego grożono, że jeśli na nią nie zagłosują, to stracą pracę. Części wyborcom miano płacić za głos na Zurabiszwili po 20–30 lari bądź workami ziemniaków. Opozycja alarmowała również, że władza zleciła produkcję fałszywych dowodów osobistych, tak aby jedna osoba pod kilkoma tożsamo-

eprasa.pl ec1b7d5698

ściami mogła oddawać głosy na Zurabiszwili. Kampania wyborcza była niezwykle brutalna, niemerytoryczna i pełna kompromitujących zarówno obóz władzy, jak i posaakaszwilowską opozycję nielegalnie nagranych taśm, które ujawniały korupcję rządzących i rzekome rewolucyjne plany jej adwersarzy.

W ostatnią fazę kampanii przed drugą turą włączył się, przebywający od pięciu lat poza granicami kraju, były prezydent Micheil Saakaszwili, ostrzegając przed fałszerstwami wyborczymi i grożąc, że jeśli władza zdecyduje się ukraść zwycięstwo Grigolowi Waszadzemu, wyprowadzi on Gruzinów na ulice. Marzyciele natomiast ostrzegali Gruzinów, że oddanie prezydentury stronnikowi byłej głowy państwa będzie oznaczać chaos, powrót czarnych lat rządów narodowców (łamanie praw człowieka, prześladowanie opozycji, zaostrzenie relacji z Rosją), jak i samego Saakaszwilego, który zostanie ułaskawiony przez Waszadzego, co ten zapowiadał w kampanii (były prezydent został skazany na wiele lat więzienia za nadużycia władzy). Saakaszwili podkreślał, że nie zamierza obejmować żadnego oficjalnego stanowiska. Waszadze deklarował, że jeśli wygra elekcję, będzie domagać się rozpisania przedterminowych wyborów parlamentarnych, aby zakończyć rządy prorosyjskich oligarchów niszczących Gruzję, doprowadzających jej naród do ubóstwa, a kraj do zastoju gospodarczego i upadku instytucjonalnego.

W najbliższym czasie dojdzie do ostatecznego starcia Bidziny Iwaniszwilego z Micheilem Saakaszwilim, którzy choć nie sprawują żadnych oficjalnych stanowisk rządowych, od lat trzęsą gruzińską polityką.

A jednak Salome

Wynik głosowania w drugiej turze pozostawał wielką niewiadomą. Ostatecznie Zurabiszwili zdobyła prawie 60 procent głosów, a Waszadze niewiele ponad 40 procent, przy frekwencji wyższej o blisko 10 procent w stosunku do pierwszej tury. Opozycja nie zaakceptowała wyników głosowania, uznając wybory za sfałszowane. Na demonstracji w centrum Tbilisi, w której uczestniczyło około 25 tysięcy osób, Waszadze zażądał ponownie rozpisania przedterminowych wyborów parlamentarnych i zapowiedział skierowanie skargi na wynik wyborów do Sądu Najwyższego. Dał czas rządzącym na reakcję do 16 grudnia. W tym dniu miała zostać zaprzysiężona na prezydenta Salome Zurabiszwili. Liczne zastrzeżenia do przebiegu wyborów zgłosiła międzynarodowa misja obserwacyjna, która uznała, że chociaż kandydaci mogli prowadzić kampanię w sposób nieskrępowany i konkurencyjny, to była ona również nierówna, spolaryzowana, pełna agresji i ataków na konkurentów. Do tego

eprasa.pl ec1b7d5698

kandydatka obozu władzy była wspierana zasobami administracyjnymi państwa. Zarówno Zurabiszwili, jak i liderzy Marzycieli odrzucili oskarżenia o fałszerstwa i zaapelowali do opozycji o pogodzenie się z wynikami głosowania i niewzniecanie niepokojów społecznych.

Czekając na mesjasza

Władza Salome Zurabiszwili będzie iluzoryczna. Po pierwsze, jej uprawnienia jako głowy państwa będą znikome i czysto reprezentacyjne. Po drugie, będzie w pełni zależna od Bidziny Iwaniszwilego. Będzie jego kolejną kukiełką w teatrze, w którym to on jest głównym reżyserem. Gdyby nawet madame Salome zaczęła przejawiać chęci wybicia się na niepodległość, to z pewnością będzie atakowana przez obóz władzy analogicznie do Giorgiego Margwelaszwilego, który wygrał wybory prezydenckie w 2013 roku z poparciem Marzycieli, jednak nie godząc się na rolę trybiku w maszynie, stał się wrogiem obozu władzy. Zurabiszwili jest znienawidzona przez opozycję, która zarzuca jej prorosyjskość, co niewiele ma wspólnego z rzeczywistością, pełną zależność od Bidziny Iwaniszwilego oraz brak znajomości realiów gruzińskich z powodu tego, że większość życia spędziła we Francji. Radość środowisk progresywnych z faktu, że piątym prezydentem niepodległej Gruzji została kobieta, też wydaje się zdecydowanie przesadzona, Zurabiszwili jest bowiem postacią niesamodzielną politycznie, a w przeszłości nigdy nie działała na rzecz równouprawnienia kobiet i mężczyzn.

W najbliższych miesiącach i latach spór polityczny w Gruzji nie będzie bynajmniej ogniskował wokół Salome Zurabiszwili. Jej rola będzie marginalna. Tak naprawdę dojdzie do ostatecznego starcia Bidziny Iwaniszwilego z Micheilem Saakaszwilim, którzy chociaż nie sprawują żadnych oficjalnych stanowisk rządowych, to od lat trzęsą gruzińską polityką. Nastąpi to, według kalendarza wyborczego, na jesieni 2020 roku przy okazji wyborów parlamentarnych. Jednak istnieje spore prawdopodobieństwo, że w wyniku kryzysu politycznego dojdzie do przyśpieszonej elekcji. Jakie mogłyby być jej przyczyny? Po pierwsze, dekompozycja obozu władzy w wyniku osłabienia pozycji Bidziny Iwaniszwilego i walk frakcyjnych. Po drugie, silny kryzys gospodarczy skutkujący jeszcze większym bezrobociem, biedą i zadłużeniem obywateli. Po trzecie, zmiana otoczenia międzynarodowego w postaci osłabienia więzi Tbilisi z Unią Europejską i NATO, wzrostu ingerencji Rosji w sprawy wewnętrzne Gruzji, zwłaszcza w wyniku jeszcze intensywniejszego wciągania w swoją orbitę wpływów separatystycznej Abchazji i Osetii Południowej.

Marzyciele, aby wygrać, muszą zacząć spełniać swoje obietnice wyborcze o charakterze społeczno-ekonomicznym oraz walczyć z korupcją w swoich szeregach.

eprasa.pl ec1b7d5698

Opozycja, żeby myśleć o zwycięstwie, musi się zjednoczyć oraz postawić na nowe twarze. A z tym ma wyraźny problem. W dalszym ciągu Micheil Saakaszwili odgrywa w jej szeregach rolę lidera o największej charyzmie. Jednak jest on ogromnie niepopularny wśród gruzińskiego społeczeństwa, poza nieliczną grupą swoich fanatycznych zwolenników. Ani Grigiol Waszadze, ani Nika Melia, lider narodowców w parlamencie, ani była pierwsza dama Gruzji Sandra Roelofs, która od 2016 roku jest aktywna politycznie, nie potrafią porwać za sobą tłumów. Narodowcy, aby wygrać, muszą odciąć się od Saakaszwilego, a on sam musi zrozumieć, że jego polityczna kariera w Gruzji dobiegła końca i jeśli chce, żeby jego dawny obóz wrócił jeszcze kiedyś do władzy, musi mu dać swobodę działania oraz możliwość zrobienia rachunku sumienia i przeproszenia za błędy z lat 2004–2012. Jednak wątpliwe jest, że tak się stanie.

Gruzini są już wyraźnie zmęczeni ostrą polaryzacją pomiędzy obydwoma blokami politycznymi. Wielu z nich czeka na nową siłę i nową generację polityków, którzy zaczną rozwiązywać ich realne problemy, a nie będę toczyć nieustannych i wyniszczających wojen politycznych. W ostatnim czasie były niezależny i centrowy kandydat na burmistrza Tbilisi w wyborach w 2017 roku Aleko Elisaszwili, który z 17,5 procent głosów zajął drugie miejsce, powołał do życia Ruch Obywatelski Gruzji.

Gruzini przez cały okres swojej najnowszej niepodległości czekali wciąż na mesjasza, który uratowałby ich kraj. Początkowo miał nim być Zwiad Gamsachurdia, potem Eduard Szewardnadze, następnie Micheil Saakaszwili i w końcu Bidzina Iwaniszwili. Zawsze wielkie nadzieje i masowe poparcie dla lidera dość szybko przeradzały się w rozczarowanie i nieskrywaną wobec niego niechęć. Szansą na zmianę tej negatywnej tendencji może być przeprowadzenie najbliższych wyborów parlamentarnych w pełni w systemie proporcjonalnym, a nie tak jak dotychczas w proporcjonalno-większościowym (około połowy deputowanych wybieranych było w jednomandatowych okręgach wyborczych, co dawało ogromną przewagę partii władzy).

W ten sposób w parlamencie znajdzie się kilka partii, a nie tylko dwa bloki polityczne, a ich przedstawiciele zostaną zmuszeni do budowy koalicji i poszukiwania kompromisów, a problemy kraju będą mogły być rozwiązywane w bardziej koncyliacyjny i demokratyczny sposób.

Wojciech Wojtasiewicz jest stałym współpracownikiem „Nowej Europy Wschodniej"; przygotowuje doktorat o „Transformacji Republiki Gruzji w okresie prezydentury Micheila Saakaszwilego (2003–2013)"; publikował również w „New Eastern Europe", „Open Democracy Russia", „Polityce", „Krytyce Politycznej" i „Międzynarodowym Przeglądzie Politycznym".

eprasa.pl ec1b7d5698

Gruzińskie błędne koło

Z Tinatin Chidaszeli, gruzińską prawniczką i byłą minister obrony Gruzji, rozmawia Anna Żamejć

ANNA ŻAMEJĆ: Z zawodu jesteś prawniczką specjalizującą się w prawach człowieka. Byłaś współzałożycielką jednej z najbardziej wpływowych gruzińskich organizacji, Stowarzyszenia Młodych Prawników, i przez kilka lat stałaś na jej czele. Co sprawiło, że w końcu porzuciłaś sektor pozarządowy i przeszłaś do polityki?

TINATIN CHIDASZELI: To jest właściwie najważniejsze pytanie w moim życiu. Stowarzyszenie Młodych Prawników założyliśmy w 1992 roku i przez dwanaście lat zdążyliśmy wykonać kawał dobrej roboty. Jednym z największych sukcesów była kampania przeciwko karze śmierci, dzięki której udało nam się wprowadzić poprawki do konstytucji. W końcu przyszedł moment, kiedy na celownik wzięliśmy prawa wyborców. W czasie rewolucji róż w 2003 roku byliśmy w pierwszym szeregu. Sprawa naruszeń wyborczych, którą prowadziłam, znalazła finał w Sądzie Najwyższym (sędziowie przyznali nam rację i anulowali rezultaty głosowania). To wtedy, w tamtą listopadową noc 2003 roku, zaczęła się rewolucja. Prezydent został zmuszony do ustąpienia i ogłoszono nowe wybory. Niestety, po objęciu władzy przez Micheila Saakaszwilego sprawy szybko przybrały zły obrót.

Jedną z pierwszych reform była zmiana konstytucji, dzięki której Saakaszwili praktycznie przeistoczył się w absolutystycznego króla: władcę z pełnią praw i zerową odpowiedzialnością.

Przyznaję, że były też sukcesy – jednym z nich była reforma policji. Piękny przykład na to, jak w krótkim czasie można naprawić do cna skorumpowany system. Było wiele bardzo dobrych pomysłów na reformy, niestety, sposób ich wdrażania pozostawiał wiele do życzenia. Misza scentralizował władzę, miał w poważaniu rządy prawa i demokratyczne instytucje.

Jako organizacja pozarządowa, która odegrała ważną rolę w rewolucji róż, mieliśmy silny głos w społeczeństwie. Ostrzegaliśmy zatem ludzi i prezydenta: dziś antydemokratyczne ruchy uzasadnia się dobrymi intencjami, ale jutro nastąpią nowe zasady gry i w końcu przyjdzie porażka.

Oczywiście, Misza nas nie słuchał. W 2004 roku poczułam się naprawdę odpowiedzialna za zbaczanie z wytyczonego kursu. Mało kto tak wtedy uważał, ale ja byłam przekonana, że to nie skończy się dobrze.

Przecież to było zaledwie rok po rewolucji! Niewiele czasu na przeprowadzanie głębokich zmian.

eprasa.pl ec1b7d5698

W zasadzie, z uwagi na konstytucyjne poprawki, dla mnie problem zaczął się już dwa miesiące po rewolucji. W dniu, w którym zostały wprowadzone, w proteście dołączyłam do Partii Republikańskiej. Republikanie byli wtedy w koalicji z partią Miszy, Zjednoczonym Ruchem Narodowym, ale głosowali przeciwko zmianom.

W rezultacie poprawek prezydent zyskał wszelkie prawa, jakie tylko mógł sobie wymarzyć. Ograniczono rolę parlamentu, a rząd praktycznie nie miał nic do powiedzenia. Do naszej konstytucji wprowadzono zapis, którego nie miało żadne inne demokratyczne państw na świecie: prezydent miał prawo anulować wszelkie dekrety rządu, jeśli uznał je za niekonstytucyjne.

Innymi słowy, prezydent przybrał funkcję Trybunału Konstytucyjnego?

Dokładnie. Ten przykład pokazuje bezsilność demokratycznych instytucji wobec urzędu prezydenta.

To był zatem dzień, kiedy formalnie dołączyłam do partii politycznej. Misza złożył wtedy mnie i mojemu mężowi [Dawidowi Usupaszwilemu – przyp. red.] propozycję objęcia różnych ministerstw, ale nasze drogi zdążyły się już rozejść.

To była bardzo długa odpowiedź na twoje pytanie. W skrócie mogę powiedzieć tyle, że Misza odebrał mi moją zawodową dumę. Na sali sądowej nie było już miejsca dla adwokatów. Władza sądownicza została skrajnie upolitycznio-na i zmonopolizowana. Nie było szans na niezależną pracę, szczególnie dla takich jak ja, którzy nie zamierzali dogadywać się za kulisami z prokuraturą i policją. Tymczasem prawo było całym moim światem, niczym innym zawodowo się nie zajmowałam. Zdecydowałam więc, że przejdę do polityki, stawię czoło Miszy, będę walczyć o niezależność sądów i pewnego dnia wrócę do swojego zawodu.

Z Twojej opowieści wyłania się bardzo negatywny obraz Gruzji po rewolucji róż. Jak zatem wyjaśnisz popularność Miszy na Zachodzie?

Szczególnie w Polsce…

Zgadza się. W Polsce wiele osób pamięta Saakaszwilego jako znakomitego polityka, który zreformował Gruzję.

Są trzy powody, dla których Misza był tak akceptowany za granicą. Po pierwsze, prezentował się jako antyrosyjski dysydent, zwalczający Rosję i Władimira Putina. To dlatego był tak blisko z Lechem Kaczyńskim czy też z amerykańskim senatorem Johnem McCainem.

Po drugie, po mistrzowsku zreformował sektor policji, który przed 2004 rokiem charakteryzował się korupcją i brutalnością. Zmiana z dnia na dzień całego systemu była niewątpliwie bohaterskim krokiem. Wyobrażasz sobie zwolnienie bez mrugnięcia okiem 18 tysięcy policjantów w jedną noc? To prawda, że Misza cieszył się popularnością. Był bohaterem rewolucji z 92-procentowym poparciem. Mógł to zrobić i nie zawahał się ani na moment. Przyniosło mu tu dużo

eprasa.pl ec1b7d5698



Archiwum prywatne

Tinatin Chidaszeli: Przez ostatnie dwa lata, od czasu zwycięstwa w wyborach w 2016 roku, atakując organizacje pozarządowe, dziennikarzy, i oczywiście opozycję, Gruzińskie Marzenie dorobiło się rzeszy krytyków. W zasadzie wszyscy liderzy opinii odwrócili się od rządu.

sympatii za granicą, był postrzegany jako polityk gotowy na podjęcie ryzyka.

I po trzecie, wydał ogromne kwoty pieniędzy na zagraniczny lobbing, podkreślając swoje osiągnięcia w Gruzji. Każdego, kto te sukcesy kwestionował, nazywano rosyjskim agentem.

Dzięki tym trzem elementom Misza był chyba lepiej postrzegany za granicą niż we własnym kraju. W Gruzji już w 2006 roku, trzy lata po rewolucji róż, doczekał się opozycyjnego ruchu. 7 listopada 2007 roku, jedenaście lat temu, Saakaszwili zaatakował antyrządową demonstrację, nakazał siłom specjalnym obławę niezależnej stacji telewizyjnej, zdjął z anteny trzy regionalne kanały telewizyjne. Ten dzień był jego politycznym samobójstwem, bez względu na to, jak długo jeszcze pozostał u władzy.

Saakaszwili może jeszcze wrócić do Gruzji?

Nie ma obywatelstwa, więc teoretycznie wrócić nie może [obywatelstwo stracił automatycznie, przyjmując paszport ukraiński w 2015 roku; w gruzińskim prawie nie ma możliwości podwójnego obywatelstwa – przyp. red.].

Ponadto toczy się przeciwko niemu kilka postępowań karnych, więc jeśli przekroczy granicę, zostanie natychmiast

eprasa.pl ec1b7d5698

aresztowany. Pod względem prawnym nie ma więc szans. Pod względem politycznym całkiem dobrze powiodło mu się w wyborach prezydenckich, jego kandydat przeszedł do drugiej tury.

Wysoki wynik kandydata opozycji w pierwszej turze i bardzo niewielka przewaga Salome Zurabiszwili, partii rządzącej, była dużą niespodzianką. Choć Zurabiszwili ostatecznie wygrała, jest faktem, że rząd traci poparcie. Dlaczego?

Zurabiszwili zwyciężyła z uwagi na niespotykaną skalę obietnic. Blisko 600 tysięcy ludzi w Gruzji ma niespłacone pożyczki i kredyty. Bidzina Iwaniszwili, gruziński miliarder i były premier [oraz lider Gruzińskiego Marzenia – przyp. red.], przed drugą turą obiecał wyborcom, że z własnej kieszeni pokryje ich długi w bankach warte niemal półtora miliarda lari. Niewątpliwie ta zapowiedź przyniosła falę poparcia kandydatce obozu władzy.

Z drugiej strony Gruzińskie Marzenie traci popularność z tego samego powodu, dla którego Misza stracił poparcie wyborców. Niestety, w Gruzji każdy rząd popełnia dokładnie ten sam błąd.

W 2012 roku Gruzińskie Marzenie przejęło władzę w koalicji z innymi partiami. Ludzie ufali nowemu liderowi [Bidzinie Iwaniszwilemu – przyp. red.], nie było co do tego żadnych wątpliwości. Cztery lata później, przed wyborami parlamentarnymi, Gruzińskie Marzenie zapowiedziało, że wystartuje samodzielnie.

Nie potrzebowało już koalicji, ogłosiło, że na tym etapie należało się skoncentrować i scentralizować władzę. Dokładnie takiego samego języka używał wcześniej Misza. Zjednoczony Ruch Narodowy też kiedyś był koalicją, ale potem zdecydowano, że już nie potrzebuje partnerów, bo ma monopol na prawdę i sam może wszystko.

Historia zatoczyła koło.

Tak jest, odgrywa się dokładnie taki sam scenariusz. Liderzy Gruzińskiego Marzenia ogłosili przed wyborami 2016 roku, że potrzebują konstytucyjnej większości, aby rządzić krajem. To samo mówił Saakaszwili w 2008 roku. Po tym jak już tę konstytucyjną większość osiągnął, dokonał politycznego samobójstwa, a wraz z nim na dno poszła Gruzja. Gruzińskie Marzenie również zdobyło konstytucyjną większość i proces samobójstwa aktualnie postępuje.

W kraju takim jak Gruzja, bez silnych instytucji, większość konstytucyjna to przekleństwo, bo rząd nabiera przekonania, że nie musi już nikogo słuchać. W czasach Miszy, każdego, kto mu się sprzeciwiał, nazywano rosyjskim agentem. Teraz, pod rządami Gruzińskiego Marzenia, każdy kto występuje przeciwko władzy, nazywany jest agentem Saakaszwilego.

Przez ostatnie dwa lata, od czasu zwycięstwa w wyborach w 2016 roku, atakując organizacje pozarządowe, dziennikarzy i oczywiście opozycję, Gruzińskie Marzenie dorobiło się rzeszy krytyków.

eprasa.pl ec1b7d5698

W zasadzie wszyscy liderzy opinii odwrócili się od rządu. Gruzińskie Marzenie współpracowało w parlamencie jedynie z partią Saakaszwilego, bo wydawało im się, że Zjednoczony Ruch Narodowy nie ma już żadnych szans na powrót do władzy. Tak samo, lata wcześniej, myślał Misza. Tymczasem w pierwszej turze wyborów prezydenckich wyborcy pokazali im czerwoną kartkę i uświadomili, że nie ma czegoś takiego jak niekontrolowana, nielimitowana władza.

Na tle krajów w regionie Gruzja nie wygląda źle. Tempo wzrostu gospodarczego na poziomie 5 procent, zaledwie 2,5 procent rocznej inflacji.

Tak biednemu krajowi jak Gruzja 5-procentowy wzrost gospodarczy nie wystarczy. Potrzebujemy dwucyfrowej liczby, aby odczuć jakiekolwiek efekty. To się udało w pierwszych pięciu latach rządów Saakaszwilego, kiedy Gruzja odnotowywała rozwój na poziomie 11–12 procent rocznie. Obecnie, pomimo rozwijającej się gospodarki, niemal połowa społeczeństwa nie ma pracy, do tego mnóstwo osób ma długi w bankach – i to w dolarach. Tymczasem krajowa waluta spada na łeb na szyję. W 2016 roku dolar stał 1,6 do lari. Dziś to już 2,7. Średnia wypłata nauczyciela to 700 lari miesięcznie – dwa lata temu to była równowartość 550 dolarów, dziś już tylko 250 dolarów. Przy urnach wyborczych ludzie nie myślą o raportach ekonomicznych Banku Światowego, ale o zawartości własnej lodówki.

Lider Gruzińskiego Marzenia Bidzina Iwaniszwili jest niezwykle bogaty. Ma więcej pieniędzy, niż wynosi roczny budżet Gruzji, więc w tej sytuacji rosną oczekiwania wobec niego. Ale on nie podejmuje się interwencji gospodarczej.

Do tego, po raz pierwszy od trzydziestu lat mamy premiera, którego nazwiska nie jest w stanie zapamiętać trzy czwarte społeczeństwa. Zanim trzydziestoszścioletni Mamyka Bachtadze rok temu został mianowany ministrem finansów, był kompletnie anonimową postacią w polityce. Przedtem stał na czele Gruzińskich Kolei, i to w czasach kiedy spółka odnotowywała spektakularne straty. I teraz ten człowiek jest naszym premierem. Takich rzeczy nie robi się w Gruzji, gdzie zaufanie jest najważniejszym składnikiem politycznej gry. Jak można ufać komuś, kogo się nie zna?

Czy to oznacza, że Gruzińskie Marzenie utraci władzę w 2020 roku?

Oczywiście, nie mam żadnych wątpliwości, że w 2020 roku stracą władzę.

Na rzecz partii Saakaszwilego?

Nie wiem, kto okaże się zwycięzcą, ale na pewno nie będzie to Gruzińskie Marzenie. Największym problemem gruzińskiego systemu politycznego jest to, że kampanie wyborcze mają zawsze negatywny fundament – budowane są na nienawiści, a nie na pozytywnym programie. Mam nadzieję, że w 2020 roku będziemy gotowi na oddanie głosu za kimś, a nie przeciwko komuś.

eprasa.pl ec1b7d5698

Dostrzegasz dziś jakiegoś polityka na gruzińskiej scenie politycznej, który mógłby na nowo porwać wyborców?

Liczę na to, że nikogo takiego nie będzie. Bo jeśli znów wyłoni się lider, ponownie wpadniemy w błędne koło. Potrzebujemy ruchu, a nie rycerza na białym koniu.

A sama nie zamierzasz wrócić do polityki?

Mam już ten etap za sobą. No dobrze, przyznaję, że w 2008 roku mówiłam to samo po wyborach prezydenckich – byłam wtedy zszokowana skalą fałszerstw i tym, jak łatwo przełknęła to społeczność międzynarodowa. Rzuciłam wtedy politykę i wyjechałam do Londynu. Podpisałam już umowę, znalazłam mieszkanie i nawet szkołę dla syna. Wróciłam na moment, aby załatwić ostatnie sprawy, i wtedy właśnie wybuchła wojna. 11 sierpnia podarłam kontrakt, przeprosiłam w e-mailu pracodawców i zostałam w Gruzji. W takiej sytuacji nie mogłam wyjechać. Mam nadzieję, że nie doświadczymy już wydarzenia na podobną skalę, ale nie mogę niczego zagwarantować, bo Gruzja to wyjątkowo nieprzewidywalny kraj. Wrócę do polityki tylko wtedy, jeśli stanie się coś równie dramatycznego. W przeciwnym razie, na pewno tego nie zrobię.

A jeśli dostaniesz propozycję objęcia teki w rządzie?

To już było. Zawsze powtarzam, że miałam najlepszą pracę na świecie. W wieku czterdziestu trzech lat byłam ministrem obrony, stałam na czele armii gruzińskiej. Nie ma drugiej takiej oferty, która dałaby mi równie wielkie uczucie dumy i motywacji.

Byłaś pierwszą kobietą, która objęła stanowisko ministra obrony w Gruzji...

I myślę, że ostatnią!

Mówisz, że była to najlepsza praca na świecie, ale pewnie nie brakowało też wyzwań. Gruzja jest dość konserwatywnym krajem. Jak zareagowano na to, że to kobieta, prawniczka, stanęła na czele „męskiego" ministerstwa?

Nigdy nie było takiego momentu, kiedy czułabym się niekomfortowo lub nieakceptowana przez kogokolwiek w ministerstwie czy armii. Nasze wojsko jest tak naprawdę znacznie bardziej zaawansowane, jeśli chodzi o normy demokratyczne, niż reszta społeczeństwa. Przez ostatnie czternaście lata brało udział w wojnach i misjach w Iraku, Kosowie, Afganistanie, Centralnej Afryce, razem z Amerykanami, Francuzami, Niemcami, Polakami, Litwinami i innymi żołnierzami z demokratycznych państw. Żołnierze nabrali tam sporo doświadczenia i pewności siebie. Walczyli ramię w ramię z żołnierkami – i płeć nie miała znaczenia tak długo, jak wszyscy wykonywali swoje obowiązki.

Niestety sytuacja wyglądała nieco inaczej poza środowiskiem ministerstwa i wojska. Byłam krytykowana, między innymi za to, jak się ubierałam.

eprasa.pl ec1b7d5698

To prawda, że były minister obrony zganił cię publicznie za noszenie kolczyków na oficjalnych spotkaniach?

Tak! Jest mnóstwo postów na Facebooku i wywiadów, w których mówił, że moje kolczyki były za długie. Nie podobały mu się również moje marynarki, a nawet buty!

Za wysokie obcasy?

Wręcz przeciwnie. Nie noszę butów na obcasach. Wkładam je tylko w wyjątkowych okolicznościach. Krytykowana byłam za noszenie płaskiego obuwia. Z drugiej strony, to tylko pokazuje, że nie mieli do czego się przyczepić. Słowem się nie zająknięto o reformach, które wprowadziłam w armii, czy o kwestii weteranów.

Kim byli Twoi najwięksi krytycy?

Wszyscy ci mężczyźni, którym nie podobało się to, że kobieta jest ministrem obrony. Politycy i niektórzy byli ministrowie obrony. Wiedzieli, że nie mają ze mną szans w politycznych debatach, nie mieli też żadnych merytorycznych argumentów co do mojej pracy w charakterze ministra. Próbowano więc zniszczyć mnie moralnie atakami personalnymi.

Co uważasz za swój największy sukces na stanowisku ministra obrony?

Jest jedna rzecz, z której jestem najbardziej dumna: nowy traktat o współpracy gruzińsko-amerykańskiej, który po raz pierwszy od trzydziestu lat mówi o konieczności samoobrony Gruzji.

Głośno i odważnie podnosiłaś również kwestię konieczności integracji Gruzji z NATO, mówiąc, że jej miejsce jest w zachodnich strukturach. Jednak w jakim stopniu realistyczny jest ten postulat w obecnej sytuacji geopolitycznej?

Jest tak samo realistyczny, jak mówienie o przystąpieniu do NATO Polski na dziesięć lat przed podpisaniem traktatu członkostwa. W naszym przypadku oczywiście nie ma mowy o żadnym konkretnym terminie. Wierzę, że wstąpienie do NATO będzie niespodziewanym momentem i wydarzy się właśnie z uwagi na geopolitykę. Musimy wykorzystać czas, gdy układ gwiazd będzie dla nas korzystny, gdy nadejdzie nasza szansa. Nie musi to oznaczać, że drzwi staną przed nami otworem, wystarczy nawet uchylone okno. Jeśli nie będziemy gotowi się przez nie prześlizgnąć, stracimy tę szansę, tak jak stało się w 2008 roku.

Ale Gruzja ma wciąż nierozwiązany problem z dwoma separatystycznymi republikami, Abchazją i Osetią Południową.

I co z tego? Niemcy były kiedyś podzielone na dwie części. Grecja i Turcja toczyły ze sobą wojnę. Dziś nie ma to już znaczenia. Tu nie chodzi o to, czy Gruzja jest gotowa na wstąpienie do Sojuszu Północnoatlantyckiego, czy nie. Mówiłam o tym jako minister obrony, więc nie zawaham się podkreślić tego i teraz: decyzja NATO nie zależy od sytuacji wewnętrznej w Gruzji. Zależy od tego, czy

eprasa.pl ec1b7d5698

NATO jest gotowe, żeby stanąć na wysokości zadania. Dziesięć lat temu członkowie Sojuszu zapowiedzieli, że Gruzja będzie mogła przystąpić do NATO. Zatem jak długo będziemy trzymać się rosyjskiego „nie"?

Uważasz więc, że Sojusz jest gotowy na to, aby bić się z Rosją o Gruzję? W lipcu ubiegłego roku rosyjski premier Dmitrij Miedwiediew powiedział w jednym z wywiadów, że przyjęcie Gruzji do NATO może sprowokować „straszną wojnę".

Należy zadać pytanie, czy Rosja gotowa jest pójść na otwartą wojnę z NATO. Nie sądzę, żeby ktokolwiek w to wierzył, łącznie z panami Miedwiediewem i Putinem. Byłaby to ogromna tragedia, nie tylko dla NATO, ale przede wszystkim dla Rosji. Dlatego przeciąganie tej decyzji nie ma sensu, prowadzi to wyłącznie do wzmocnienia polityki Kremla. Powtarzam więc: kwestia integracji z NATO nie zależy od Gruzji, ale od liderów NATO. Jeśli Gruzja znajdzie partnera i sojusznika takiego jak George W. Bush w 2008 roku, będziemy na dobrej drodze. Dzisiaj nikogo takiego nie mamy.

Przez ostatnie lata wszystkie gruzińskie rządy konsekwentnie trzymały się kierunku północnoatlantyckiego. Dziesięć lat temu na szczycie NATO w Bukareszcie obiecano wam integrację, ale od tego czasu nie dostaliście nawet tak zwanego planu działań na rzecz członkostwa. Jak tłumaczycie gruzińskim wyborcom brak postępów w tej sprawie? Nie boisz się, że ludzie stracą cierpliwość?

A jaką mamy alternatywę? Tak naprawdę społeczeństwo już dawno straciło cierpliwość. Nie oznacza to jednak zmiany kursu politycznego. Nie wiemy, jakie będą nastroje kolejnego pokolenia, ale jedno jest pewne: nikt nie opowie się za gorszymi warunkami życia. Ludzie chcą dobrobytu, lepszych szans. Wybrałabyś Rosję Putina czy Czechy, nawet pod rządami Miloša Zemana? Nie ma się nad czym zastanawiać.

W ubiegłym roku minęła dziesiąta rocznica rosyjskiej agresji na Gruzję. Jak oceniasz proces międzynarodowych rozmów genewskich na rzecz rozwiązania konfliktu terytorialnego z Osetią i Abchazją?

Na razie nie widzimy żadnych konkretnych rezultatów. I będzie o nie trudno, dopóki Putin pozostanie u władzy. Ale z drugiej strony, dobrze, że toczy się dialog . Zawsze lepiej rozmawiać niż strzelać do siebie. Poza tym, potrzebujemy międzynarodowych formatów, aby nie zostać z Rosją sam na sam.

Tymczasem Zachód jest coraz bardziej skupiony na problemach wewnętrznych. Europa zmaga się z falą populizmu, Stany Zjednoczone pod przywództwem Donalda Trumpa prowadzą politykę izolacjonizmu i protekcjonizmu. Jak w tym wszystkim odnajduje się Gruzja?

eprasa.pl ec1b7d5698

Jeśli chodzi o USA, prezydenci, którzy byli najsilniej krytykowani przez demokratycznych aktywistów, okazali się najbardziej pomocni dla Gruzji. Mowa tutaj o George'u W. Bushu i Donaldzie Trumpie. Ten ostatni znacząco wzmocnił pomoc wojskową dla naszego kraju. Jeśli brać pod uwagę konkrety, to w ciągu dwóch lat rządów Trumpa osiągnęliśmy więcej niż przez dwie kadencje Baracka Obamy. Przyznaję, że na dłuższą metę dyskredytowanie demokratycznych instytucji jest, oczywiście, niebezpieczne i będzie miało konsekwencje dla nas wszystkich. Ale mimo problemów, z którymi zmaga się Ameryka, na linii Gruzja–USA wiedzie nam się bardzo dobrze. Podobnie jeśli chodzi o stosunki z Wielką Brytanią. Negocjacje w sprawie Brexitu w żaden sposób nie wpływają na nasze dwustronne relacje.

Co więcej, to samo mogę powiedzieć o Węgrzech. Możesz domyślać się, jakie mam poglądy jako absolwentka Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie [liberalnej uczelni ostatnio zmuszonej przez władze węgierskie do zaprzestania działalności w tym kraju – przyp. red.], ale to właśnie rząd Viktora Orbána okazał się najsilniejszym i najbardziej odważnym stronnikiem wejścia Gruzji do Unii Europejskiej i NATO.

Jeśli chodzi o relacje z Polską, współpracowałam z dwoma ministrami obrony [Tomaszem Siemoniakiem i Antonim Macierewiczem – przyp. red.]. Obaj byli znakomitymi przyjaciółmi Gruzji. Minister Macierewicz był bardzo pomocny w czasie Rady Ministerialnej NATO.

Muszę przyznać, że Europa Środkowa zawsze była po naszej stronie – bez względu na to, jak demokratyczne czy niedemokratyczne rządy były tam u władzy.

W Unii Europejskiej coraz silniejsze stają się ruchy populistyczno-narodowe i zdaje się, że podobny trend można teraz zaobserwować w Gruzji. Na ulicach częściej zdarzają się potyczki między liberalnymi a ultrakonserwatywnymi środowiskami, były też protesty przeciwko islamskiej imigracji. Jak bardzo popularne są nacjonalistyczne grupy, takie jak Gruziński Marsz czy Gruzińska Idea?

W tym momencie oba ruchy są dość marginalne. Ale to prawda, że rosną w siłę. Mają prosty program, często oparty na historycznych półprawdach czy fałszach. Ich argumentem jest między innymi to, że skoro uważamy Rosję za okupanta, to dlaczego naszym partnerem i sojusznikiem jest Turcja, która historycznie zajęła więcej naszych ziem. Oskarżają też Turków o zabieranie Gruzinom pracy. Ruch nacjonalistyczny jest wspierany przez Rosję i jest to chytra polityka: Rosjanie wiedzą, że bezpośredni prorosyjski język nigdy się w Gruzji nie sprzeda. Co innego narracje o wspaniałym gruzińskim narodzie.

Niedawno miał miejsce skandaliczny epizod w jednym z naszych sądów. Pewien aktywista, który promował klasyczną faszystowską ideologię, stanął na wokandzie. Wchodzi do sądu i nagle salutuje

eprasa.pl ec1b7d5698

hitlerowskim pozdrowieniem. Sala odpowiada mu tym samym gestem. A sąd nie reaguje! Administracja stoi jak zaklęta. To niewiarygodne, że coś takiego może wydarzyć się w Gruzji, kraju, który każdego wita z otwartymi ramionami. To nie ma nic wspólnego z naszą kulturą! Taka ideologia w Gruzji nie ma prawa się przyjąć. Jednak prawdą jest, że te ruchy mogą doprowadzić do eskalacji napięcia i radykalizacji.

Pracujesz aktualnie nad książką. Zdradzisz temat?

Wykładam na uniwersytecie bezpieczeństwo narodowe i zauważyłam, że niewiele jest literatury na temat wojny hybrydowej i współczesnych wyzwań z tym związanych. Postanowiłam zatem napisać książkę, w której odpowiadam na pytanie, czy małe państwo może skutecznie się bronić w przypadku hybrydowego ataku.

Gruzja jest w stanie się obronić?

W takim stopniu, w jakim możliwe jest to w małym państwie. Większość krajów znalazła i rozwiązała swoje węzły gordyjskie. Dla Gruzji kluczową kwestią jest bezpieczeństwo Morza Czarnego, ale to tylko moja opinia. Tak czy inaczej, czy jest to Morze Czarne, czy cokolwiek innego, musimy zbudować wokół tego porozumienie i system bezpieczeństwa narodowego.

Tinatin Chidaszeli jest prezeską think tanku Civic-IDEA w Gruzji, prawniczką specjalizującą się w prawach człowieka, byłą posłanką i radną. Ukończyła Uniwersytet Państwowy w Tbilisi i Uniwersytet Środkowoeuopejski w Budapeszcie. Była stypendystką Waszyngtońskiego Kolegium Prawnego i Uniwersytetu Yale. Jako pierwsza kobieta w historii Gruzji pełniła funkcję ministra obrony Gruzji w latach 2015–2016. Prywatnie jest żoną Dawida Usupaszwilego, byłego marszałka parlamentu Gruzji i przewodniczącego Partii Republikańskiej.

eprasa.pl ec1b7d5698

Niebezpieczna decentralizacja?

Paweł Kost

Polski wkład w osiągnięcia Ukrainy w kierunku decentralizacji jest bezsprzeczny. Jednak zapominamy o skutkach ubocznych tego procesu dla bezpieczeństwa Ukrainy. Do pewnego stopnia obciąża to konto Warszawy.

Jednym z bardziej aktywnych kierunków polityki Polski wobec Ukrainy w ostatnich latach jest wsparcie Kijowa w realizacji reformy decentralizacyjnej. W znacznym stopniu jest ona oparta na modelu polskim i częściowo francuskim. Szerzej ten wątek omówił Igor Ksenicz w tekście *Samostijna, ale wciąż nie samorządowa* w numerze 5/2018 „Nowej Europy Wschodniej".

Jednak analiza Ksenicza niemal pominęła aspekty związane z bezpieczeństwem państwa, które można nazwać skutkami ubocznymi leczenia pod tytułem decentralizacja. Banałem jest stwierdzenie, że szczególne wyzwania dla ukraińskiej decentralizacji kreuje agresja rosyjska na Ukrainie. W literaturze można spotkać różną terminologię dotyczącą wojny Federacji Rosyjskiej z Ukrainą („nieliniowa", „hybrydowa", „nowego pokolenia", „nowej generacji" i tak dalej), ale bezdyskusyjnym faktem jest dominacja w tych działaniach czynników pozamilitarnych. Obserwowana od dłuższego czasu stosunkowo niska intensywność starć zbrojnych nie jest w żadnym razie dowodem na zaniechanie kontynuowania agresji. Oznacza jedynie aktywniejsze działania na innych frontach, które są ukierunkowane na rozkład obiektu agresji od wewnątrz. Jedno z kluczowych miejsc w tych koncepcjach zajmuje paraliż instytucji państwowych na wszystkich szczeblach, także lokalnym. Czynnik ten jest wyraźnie niedoceniany w ocenach sukcesów bądź porażek decentralizacji po ukraińsku.

Tymczasem obecny „krajobraz" reformy samorządowej można streścić w trzech punktach. Po pierwsze, decentralizacja finansowa została posunięta w dalekim stopniu. Po drugie, proces tworzenia nowych *hromad* nadal jest w trakcie i zajmie jeszcze bardzo dużo czasu. Po trzecie, zawisło w powietrzu określenie procedur współistnienia organów samorządowych z organami władzy państwowej, które mają pełnić funkcje nadzorcze. Takie tło wiąże się z kreowaniem stosunkowo nowych zagrożeń na najniższym szczeblu władz.

eprasa.pl ec1b7d5698

„Siłowe" sukcesy decentralizacji

Ogólną zasadą przy wdrażaniu modelu decentralizacji na Ukrainie jest osłabienie szczebla obwodowego, co ma w zamyśle między innymi zniwelować ryzyko tendencji separatystycznych czy federalizacji. Jednocześnie wzmacnianiu ulegają najniższe jednostki samorządowe – połączone *hromady*. Dotyczy to choćby uprawnień mających związek z zapewnieniem bezpieczeństwa państwa i jego obywateli. Chodzi o takie obszary, jak reagowanie na sytuacje nadzwyczajne czy obrona cywilna. Osobne wyzwanie na „zdecentralizowanej" Ukrainie stanowi obrona terytorialna. Ponadto w warunkach ukraińskich dochodzi jeszcze kwestia szybszego lokalizowania ewentualnego zagrożenia działaniami godzącymi w integralność terytorialną kraju i mającymi miejsce na najniższym szczeblu.

W 2017 roku rozpoczęto reformę Państwowej Służby ds. Sytuacji Nadzwyczajnych, której częścią jest decentralizacja uprawnień. Zgodnie ze stosowną strategią całość obowiązków za sprawne funkcjonowanie służby ma przejść na barki nowo tworzonych *hromad*. W zakresie zatwierdzenia teoretycznych zasad Kijów osiągnął spore sukcesy i przy już utworzonych *hromadach* jednostki Państwowej Służby ds. Nadzwyczajnych funkcjonują przyzwoicie.

Każdy sukces reformy samorządowej na Ukrainie pozwala się Polsce z nim częściowo utożsamiać. To samo dotyczy ewentualnych porażek.

Trochę inaczej wygląda proces tworzenia straży miejskiej, który musi być skorelowany z dwoma nadrzędnymi działaniami – reformą policji i szerzej Ministerstwa Spraw Wewnetrznych oraz tworzeniem połączonych *hromad*. Sytuację utrudnia fakt, że według stanu na początek listopada 2018 roku projekt ustawy o straży miejskiej wciąż czeka na głosowanie. Mimo że brakuje prawnego umocowania tej instytucji, w wielu miastach już rozpoczęła ona pracę na podstawie decyzji organów samorządowych, które utworzyły powołane do tego przedsiębiorstwa komunalne. Jednak pełną parą straż miejska będzie mogła działać po przegłosowaniu i wejściu w życie stosownej ustawy. Dodatkowo proces ten musi zostać dość silnie skorelowany z ważnymi elementami reformy organów spraw wewnętrznych: utworzenia nowej służby dzielnicowych, dokończenia formacji sił szybkiego reagowania na szczeblu obwodowym (KORD) oraz tworzenia nowych posterunków policji w miejscowościach wiejskich. I dopiero dokończenie wspomnianych zadań pozwoli liczyć na namacalne sukcesy w budowie nowego modelu bezpieczeństwa „na dole".

Ściśle związany z decentralizacją jest ponadto proces tworzenia sił obrony terytorialnej (OT), które przeżywają „drugą młodość" po 2014 roku. Ich rozbudo-

eprasa.pl ec1b7d5698

wa trwa, ale odbywa się chaotycznie i nierównomiernie w zależności od regionu, a dodatkowym utrudnieniem jest brak podstaw prawnych dla funkcjonowania OT. Obecnie działalność OT formalnie koordynują gubernatorzy i przewodniczący rejonowych (powiatowych) administracji państwowych, ale *de facto* są to miejscowe komendy uzupełnień. Jednak doświadczenia agresji na terytorium Krymu i Donbasu pokazują, że ten model jest błędny. Paradoksalnie w przypadku OT uzasadnione jest utrzymanie silnie zcentralizowanych mechanizmów kontrolnych. Eksperci Centrum Badań nad Armią, Konwersją i Rozbrojeniem w Kijowie postulują podporządkowanie oddziałów OT lokalnym brygadom Sił Zbrojnych Ukrainy lub Gwardii Narodowej. W przeciwnym razie „terytorialsi" mogą się stać potencjalnym elementem destabilizacji.

Wypełnić próżnię

Wspomniane wyżej zjawiska są praktycznie jedynymi obszarami dotyczącymi bezpieczeństwa, w których można zaobserwować postępy. Niepokojące jest, że równolegle z przenoszeniem punktu ciężkości na najniższy szczebel brakuje skutecznych mechanizmów kontrolnych. Jest to luka, która stwarza przesłanki do zwiększenia wrażliwości państwa, jego ustroju unitarnego i, szerzej, stabilności.

Kluczowym problemem w tym kontekście pozostaje niedokończenie zmian strukturalnych wokół hierarchii władz państwowych. Obecnie funkcjonuje system administracji obwodowych i rejonowych, który w zamyśle ma zostać zastąpiony instytucją prefektów – przedstawicieli prezydenta na szczeblu lokalnym. Celem ich działalności ma być kontrola przestrzegania konstytucji przez organy władz samorządowych. Mają działać w każdym obwodzie i rejonie, ale podstawową różnicą w porównaniu z dotychczasowym kształtem administracji państwowych jest to, że urzędnicy będą wymieniani co trzy lata na zasadzie rotacji w ramach procedury konkursowej. Ponadto prefekci będą skoncentrowani przede wszystkim na koordynowaniu i kontroli pracy struktur siłowych na szczeblu lokalnym, a nie kierowaniu nimi. W przypadku stwierdzenia łamania prawa prefekci mają mieć możliwość wstrzymania danej decyzji organów władz samorządowych, które mają zostać skierowane pod sąd. Funkcję nadzoru prefekci mają odebrać nieskutecznej w tym zakresie prokuraturze.

Decentralizacja Ukrainy tworzy przesłanki do powstawania lokalnych punktów destabilizacji.

Teoretycznie prefekci są pomyślani jako kluczowe figury mające stłumić w zarodku między innymi inicjowanie federalistycznych lub separatystycznych ruchów

eprasa.pl ec1b7d5698

na szczeblu lokalnym. Od teorii do praktyki daleka droga, więc pojawia się szereg pytań. W jakim stopniu posady te pozostaną apolityczne? W jaki sposób prefekci będą w rzeczywistości współpracowali z organami ochrony prawa? Jak wymiar sprawiedliwości będzie wykonywał rolę arbitra, jeśli sądy nadal pozostają w fatalnym stanie? Odpowiedzi na wszystkie te pytanie nie napawają optymizmem, co powinno skierować większą uwagę na problemy związane z bezpieczeństwem na tle decentralizacji.

Do dziś nie zdołano zatwierdzić nawet zmian do ustawy zasadniczej, choć zaproponowano je jeszcze w 2015 roku. Wydaje się, że ewentualny postęp w tym zakresie jest możliwy wyłącznie po zakończeniu cyklu wyborczego jesienią 2019 roku – tradycyjnie administracje państwowe są jednym z instrumentów władz wykorzystywanym podczas wyborów. Dotychczasową sytuację można określić mianem próżni: organy siłowe, których reformowanie nie zostało zakończone, doraźnie prowadzą nadzór nad przestrzeganiem konstytucji na szczeblu lokalnym. A nawet po wprowadzeniu stosownych zmian do konstytucji i ich wejściu w życie, należy oczekiwać długiego okresu przejściowego, potrzebnego do „dotarcia się" nowego modelu. To stwarza pewne zagrożenia.

Na przykład, w ramach decentralizacji władze lokalne uzyskały pełnomocnictwa w zakresie wydawania licencji dostawcom usług komunalnych i ustanawiania taryf. W połączeniu z innymi procesami następującymi w energetyce, takimi jak wzrost zadłużenia, wprowadzanie dobowego rynku gazu zamiast miesięcznego, skutkowało to problemami z dostawami usług komunalnych na początku sezonu grzewczego 2018/2019, przyczyniając się w konsekwencji do lokalnych kryzysów w kilkunastu miastach kraju. Zasadniejsze byłoby zachowanie przejściowych mechanizmów kontrolnych przez organy władzy wykonawczej przynajmniej do czasu zakończenia niektórych etapów reform w energetyce.

Kwestia wprowadzenia zmian do konstytucji niesie za sobą jeszcze jeden zasadniczy problem dla stabilności Ukrainy. Stosowny projekt ustawy zawiera kontrowersyjny zapis o tym, że specyfika samorządu terytorialnego w okupowanej części Donbasu (ORDLO) będzie uregulowana osobną ustawą. Zapis ten zgodnie z najgorszymi praktykami legislacyjnymi na Ukrainie ukryto w „przepisach końcowych i przejściowych". Według nieoficjalnych opinii, właśnie ten fragment jest jednym z najważniejszych powodów wstrzymania głosowania zmian do konstytucji, bo faktycznie otworzyłby drogę do nadania ORDLO autonomii, co jest dla Kijowa niedopuszczalne. Zmiana tego zapisu mogłaby natomiast narazić na szwank reputację władz ukraińskich, bo dałaby pożywkę do konstatacji zerwania porozumień mińskich zawierających podobny, choć nieidentyczny zapis. W pewnym sensie zatem wprowadzenie instytucji prefektów pozostaje zakładnikiem porozumień mińskich.

eprasa.pl ec1b7d5698

Wiejskie republiki ludowe?

Jeden ze współtwórców obecnej linii reformy samorządowej Anatolij Tkaczuk zwraca uwagę, że jeszcze w 2016 roku aż siedem rad obwodowych przegłosowało decyzje, które godziły w unitarny ustrój państwa. Chodziło między innymi o samodzielne tworzenie wolnych stref ekonomicznych, wyborów gubernatorów i szefów lokalnych organów siłowych, nadania specjalnego statusu językowi rosyjskiemu czy też wznowienia relacji gospodarczych obwodów z Federacją Rosyjską. *De facto* byłaby to pełzająca federalizacja. Próby te spotkały się ze skuteczną reakcją Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, która w stosunkowo szybkim czasie opublikowała materiały dokumentujące rosyjską inspirację powyższych działań. O ile na szczeblu obwodowym resorty siłowe działają sprawnie dzięki „staremu" modelowi pracy, o tyle na już częściowo zdecentralizowanym najniższym szczeblu sytuacja nie jest dobra. Potwierdza to szereg komunikatów płynących z połączonych *hromad*, głównie w południowo-wschodnich obwodach.

Dobry grunt dla podobnych problemów tworzy dominacja w połączonych *hromadach* jednego bądź kilku biznesmenów szczególnie silnych na danym obszarze. Nierzadko oznacza to totalną kontrolę nad decyzjami i obiegiem kosztów *hromady* ze strony danego przedsiębiorcy. Problem ten może się jeszcze bardziej pogłębić, jeśli władze Ukrainy zdecydują się na dawno oczekiwany krok w postaci wprowadzenia rynku ziemi. Niezależnie od modelu tego rynku – znaczenie organów samorządowych w obiegu ziemią będzie duże. Już dziś jest sporo przykładów tworzenia *hromad* „pod" agrarnych baronów, którzy lobbują za takim wyznaczeniem granic danej *hromady*, które ułatwi prowadzenie biznesu. Tacy lokalni „książęta" zazwyczaj kontrolują (oczywiście nieformalnie) prawie wszystko na danym obszarze – policję, sądy, firmy ochroniarskie i tak dalej. Stwarza to ryzyko powstania niewielkich terytoriów poza kontrolą, swego rodzaju „wiejskich republik ludowych". Jak dotąd tendencje te były najbardziej widoczne w trzech obwodach – chersońskim, odeskim i zakarpackim.

Na poziomie obwodowym resorty siłowe działają sprawnie, ale na częściowo zdecentralizowanym najniższym szczeblu sytuacja nie jest dobra.

A przecież wszystkie te trzy obszary to terytoria przygraniczne ze swoimi problemami. Południowe rejony obwodu chersońskiego graniczą z okupowanym Krymem, co jest gwarancją utrzymania napięcia. W południowej części obwodu odeskiego już podejmowano próby utworzenia „Besarabskiej Republiki Ludowej". Do tego dochodzi obecność licznych mniejszości narodowych i sąsiedztwo z Naddniestrzem. Nie

eprasa.pl ec1b7d5698

spada też napięcie na Zakarpaciu, zwłaszcza w kontekście aktywności Budapesztu. Należy stanowczo podkreślić, że sytuacja nie jest dramatyczna – nie mamy do czynienia z krachem państwowości ukraińskiej na szczeblu lokalnym. Decentralizacja jednak tworzy przesłanki do powstawania lokalnych punktów destabilizacji. Wymaga to skorygowania działań Ukrainy i wspierających ją państw, zwłaszcza Polski.

Dlaczego to takie ważne dla nas? Do pewnego stopnia każdy sukces reformy pozwala Polsce częściowo się z nim utożsamiać. Ale to samo dotyczy ewentualnych porażek reformy czy też jej skutków ubocznych. Warto przypomnieć, że w latach 2000–2003 na wzór polski reformowano służbę graniczną Ukrainy. Jednym z elementów tego procesu była demilitaryzacja pograniczników, która po 2014 roku wyszła Ukrainie bokiem i według oficjalnej informacji SGU zmusiła do ponownego „wzmocnienia wojskowej komponenty". To mocny dowód, że należy brać pod uwagę ukraińską specyfikę przy wdrażaniu polskich rozwiązań.

Paweł Kost jest członkiem Rady Ekspertów Centrum Badań nad Armią, Konwersją i Rozbrojeniem w Kijowie; stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej" i portalu Defence24.pl.

eprasa.pl ec1b7d5698

Między sankcjami a Nord Stream 2

Michał Kędzierski

W 2018 roku byliśmy świadkami intensyfikacji kontaktów między politykami Niemiec i Rosji. Spotkaniom towarzyszyły apele o dialog i współpracę. W samych Niemczech coraz częściej mówi się o potrzebie normalizacji relacji z Rosją, szczególnie w erze Donalda Trumpa. Zbliżenie między Berlinem a Moskwą rodzi pytania o spójność i strategię niemieckiej polityki.

Po pierwszej dekadzie XXI wieku, wypełnionej staraniami o rozwój strategicznego partnerstwa, stosunki niemiecko-rosyjskie znalazły się w głębokim kryzysie. Wbrew obiegowej opinii, nie zaczął się on od aneksji Krymu, lecz dwa lata wcześniej. Wraz z powrotem Władimira Putina na stanowisko prezydenta prysły w Niemczech żywione latami nadzieje na liberalne przemiany w Rosji, które niejako uosabiał Dmitrij Miedwiediew sprawujący funkcję głowy państwa w latach 2008–2012. Z rezygnacją obserwowano w Berlinie nasilające się autorytarne tendencje w rosyjskiej polityce wewnętrznej.

Relacje niemiecko-rosyjskie sięgnęły dna po aneksji Krymu oraz zaangażowaniu się Rosji po stronie separatystów w wojnę domową na wschodniej Ukrainie w 2014 roku. W Berlinie, podobnie jak w innych stolicach europejskich, w działaniach Kremla dostrzeżono zakwestionowanie powojennego pokojowego porządku na kontynencie. Dla wielu nastawionych przychylnie wobec Rosji Niemców wydarzenia na Ukrainie oznaczały koniec złudzeń co do możliwości rozwoju normalnej współpracy. Rząd Angeli Merkel między innymi zamroził wówczas doroczne konsultacje międzyrządowe, opowiedział się za wykluczeniem Rosji z grupy G8, ale przede wszystkim stanął na czele państw domagających się nałożenia na nią sankcji w odpowiedzi na jej agresywną politykę wobec Ukrainy.

Kanclerz Niemiec była nie tylko ich inicjatorką, ale także przez ostatnie lata organizowała poparcie krajów Unii Europejskiej dla utrzymania ich w mocy. Politykę Berlina zdominowało postrzeganie Rosji jako rywala. Ten wizerunek pogłębiały przypadki cyberataków na niemieckie instytucje państwowe, których tropy prowadziły do Rosji, a także wymierzona w rząd Merkel propaganda prowadzona przez niemieckojęzyczne rosyjskie media państwowe.

eprasa.pl ec1b7d5698

Odwilż?

Trudno jest jednak oprzeć się wrażeniu, że w 2018 roku w stosunkach niemiecko-rosyjskich pojawiła się nowa dynamika. W maju stolicę Rosji odwiedzili minister gospodarki Peter Altmaier oraz szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas, a w letniej rezydencji rosyjskiego prezydenta w Soczi pojawiła się kanclerz Merkel, którą Władimir Putin witał bukietem białych róż. W lipcu do Berlina zawitali minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow oraz szef sztabu generalnego rosyjskiej armii generał Walerij Gierasimow. Pod koniec sierpnia pierwszą od 2012 roku bilateralną wizytę w Niemczech złożył prezydent Putin, którego w rządowej willi pod Berlinem podjęła kanclerz Merkel. W połowie września niemiecka stolica była z kolei miejscem spotkania ministrów Maasa i Ławrowa.

W Berlinie brakuje pomysłu, jak nakłonić Rosję do zmiany polityki kwestionującej dotychczasowy porządek międzynarodowy.

Na początku października w szczycie Dialogu Petersburskiego w Moskwie wziął udział minister Altmaier, który wygłosił znamienny apel: „Musimy walczyć o wzajemne stosunki". Przypominając liczne kwestie sporne, Altmaier wezwał do dialogu i znalezienia rozwiązań, żeby „móc zająć się rozwojem stosunków dwustronnych na wszystkich płaszczyznach". Wysoka częstotliwość spotkań na najwyższym szczeblu w ostatnich miesiącach oraz mnogość apeli o potrzebę dialogu i współpracy pokazują, że obu stronom zależy na zbliżeniu po latach ochłodzenia. Co zatem skłoniło Berlin do poszukiwania ocieplenia relacji z Moskwą?

Nord Stream 2. Gazociąg, który łączy i dzieli

To, co pierwsze przychodzi na myśl, to oczywiście rozbudowa gazociągu bałtyckiego. Rząd Merkel wbrew namowom sojuszników zdecydował się kontynuować projekt Nord Stream 2, dzięki któremu Rosja będzie mogła przesyłać bezpośrednio do Niemiec łącznie 110 miliardów metrów sześciennych gazu rocznie. Wzmożona presja, szczególnie ze strony administracji Donalda Trumpa, który zagroził nawet nałożeniem sankcji na firmy uczestniczące w projekcie, skłoniła Berlin do szerszych konsultacji politycznych z Moskwą w celu obrony kontrowersyjnej inwestycji, a także niemieckich koncernów, które już zainwestowały w nią potężne kwoty. Nie chcąc rezygnować z rozbudowy gazociągu, Merkel postanowiła odebrać jego przeciwnikom część argumentów przez uzależnienie powstania Nord Stream 2 od utrzymania tranzytu przez Ukrainę także po jego powstaniu. Prezydent Putin wyraził wprawdzie otwartość na takie rozwiązanie, zaznaczył jednak, że musi mieć ono „uzasadnienie

eprasa.pl ec1b7d5698

ekonomiczne". O tym, czy przesył surowca przez Ukrainę jest opłacalny, będą już decydować sami Rosjanie. Niemieckiej kanclerz jak dotąd nie udało się nakłonić Putina do podjęcia jakiegokolwiek wiążącego zobowiązania w tej sprawie.

Syria. Wielka polityka z uchodźcami w tle

Drugim tematem, regularnie poruszanym podczas niemiecko-rosyjskich spotkań na wysokim szczeblu, była przyszłość Syrii. Dzięki rosyjskiej pomocy wojskowej prezydent Baszar al-Asad wydaje się bliski odzyskania kontroli nad krajem. Moskwa parokrotnie zapowiadała już wycofanie swoich oddziałów z Syrii, chce jednak uprzednio zabezpieczyć władzę Asada. Rosji zależy na tym, żeby Niemcy zaangażowały się finansowo w odbudowę zrujnowanego wojną domową kraju. Moskwa porusza przy tym bardzo delikatną nutę, rozwijając przed Niemcami perspektywę umożliwienia powrotu do kraju setkom tysięcy syryjskich uchodźców, którzy znaleźli się nad Renem i Łabą podczas kryzysu migracyjnego. Dla niemieckiego rządu, który wciąż boryka się z politycznymi konsekwencjami napływu uchodźców, stworzenie Syryjczykom warunków do powrotu pomogłoby zmniejszyć temperaturę debaty publicznej wokół kwestii imigracji i odrobić straty w poparciu. Niemcy wyraziły już gotowość do finansowej partycypacji w odbudowie Syrii. Do uzgodnienia pozostają jednak polityczne warunki. Moskwa chce utrzymania przy władzy Asada. Berlin zaś obstaje między innymi przy zorganizowaniu wolnych wyborów i zagwarantowaniu praw powracających uchodźców. Bez takich gwarancji przekonanie Syryjczyków do powrotu będzie bardzo trudne.

W Niemczech panuje rozczarowanie nowym kursem w polityce zagranicznej Waszyngtonu. W przeprowadzonym w maju 2018 roku badaniu Niemcy uznali Rosję za bardziej wiarygodną niż USA.

Trump w roli swata

Niebagatelną rolę w niemiecko-rosyjskiej odwilży odgrywa także amerykański prezydent. Donald Trump od początku swojego urzędowania wziął sobie Niemcy za cel. Projekt Nord Stream 2 jest tylko jednym z wielu tematów, które położyły się cieniem na atmosferze relacji między Berlinem a Waszyngtonem. Amerykański przywódca wielokrotnie publicznie krytykował Niemcy za zbyt niskie nakłady na obronność, którym bardzo daleko do uzgodnionego w ramach NATO pułapu 2 procent PKB, czy za gigantyczne nadwyżki między innymi w wymianie handlowej

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA

Premiera **styczeń 2019**



Kapka Kassabova
Granica
Na krawędzi Europy

Kapka Kassabova
Granica
Na krawędzi Europy

Premiera **luty 2019**



Agata Maksimowska
Birobidżan
Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi

Agata Maksimowska
Birobidżan
Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi

Seria SULINA

JUŻ W SPRZEDAŻY:



Karl-Markus Gauß
Dwadzieścia lewów albo śmierć
Cztery podróże

Karl-Markus Gauß
Dwadzieścia lewów albo śmierć
Cztery podróże



Małgorzata Rejmer
Błoto słodsze niż miód
Głosy komunistycznej Albanii

Małgorzata Rejmer
Błoto słodsze niż miód
Głosy komunistycznej Albanii



Piotr Oleksy
Naddniestrze
Terror tożsamości

Piotr Oleksy
Naddniestrze
Terror tożsamości

CZARNE.COM.PL

OBSERWATOR MIĘDZYNARODOWY.PL · Nowa Europa Wschodnia · KONFLIKTY.PL

eprasa.pl ec1b7d5698

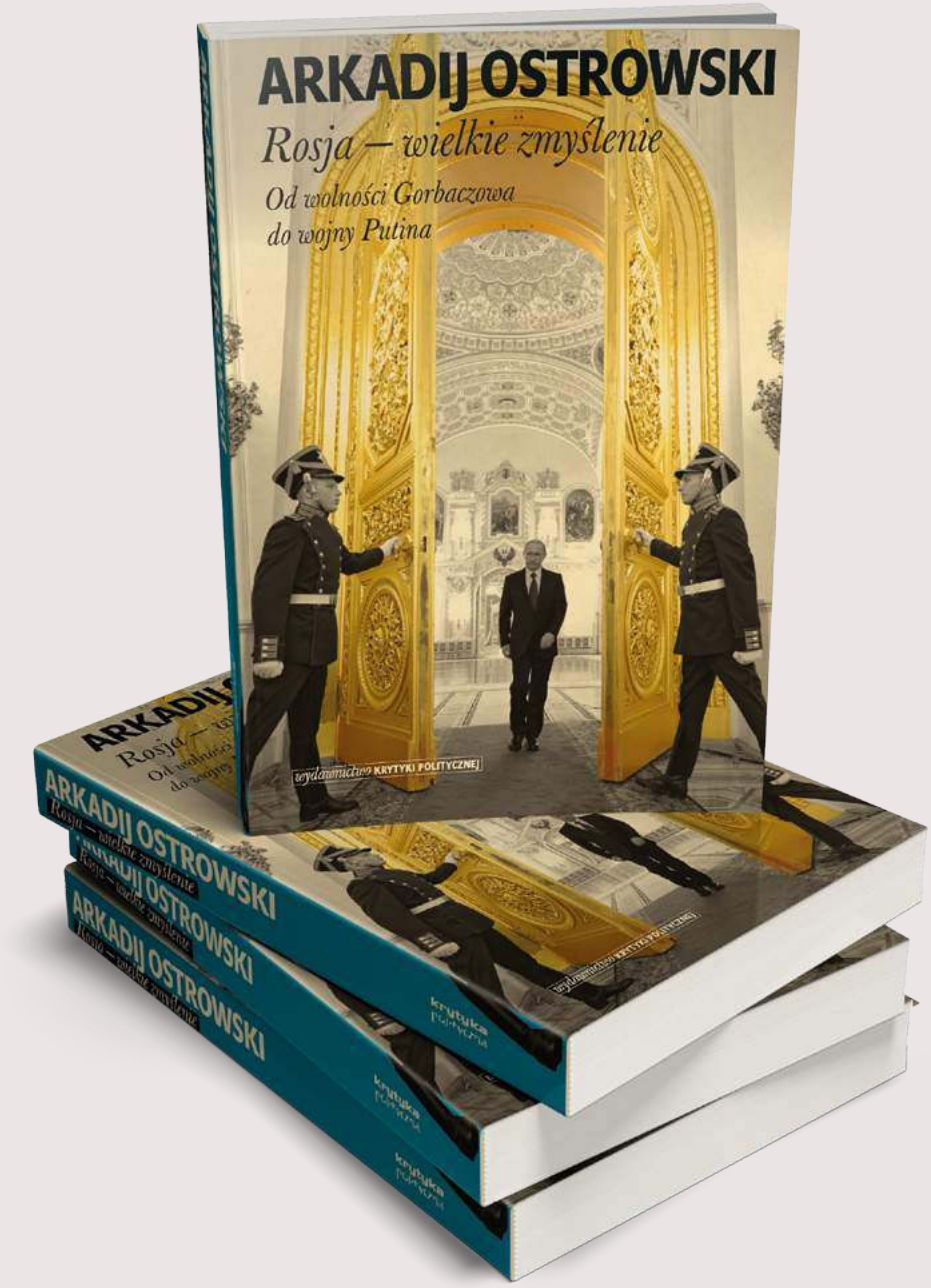
REKLAMA



eprasa.pl/ec1b7d56

REKLAMA

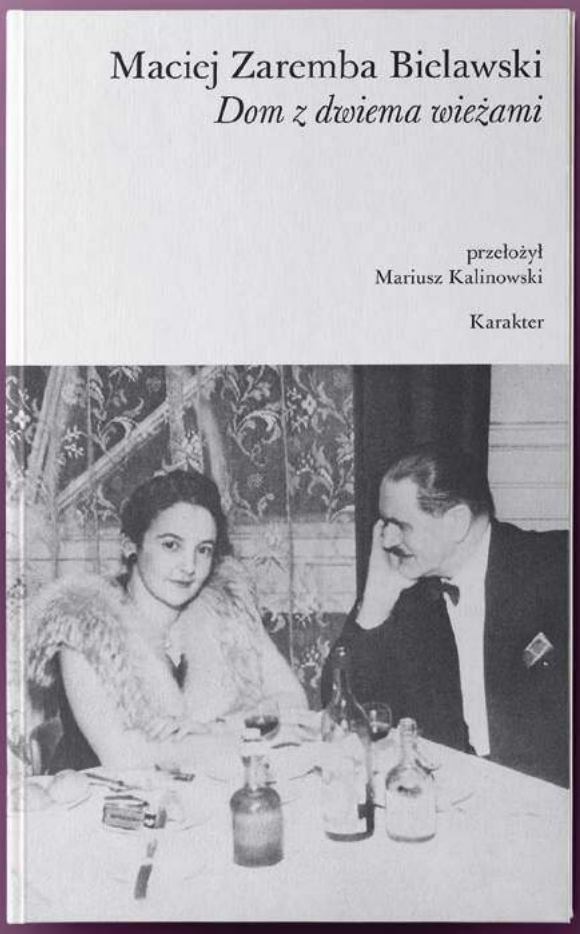
krytyka polityczna | WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL



KSIĄŻKA DOSTĘPNA RÓWNIEŻ JAKO E-BOOK | PATRONAT Nowa Europa Wschodnia TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA



„Tolerancja, owszem, kiedyś była. Jej ślady są widoczne z satelity. To zamiatane wiatrem rynki w polskich miasteczkach. Jeżeli są na oko o trzy rozmiary za duże, w pobliżu zawsze można znaleźć resztki dwóch synagog".

MACIEJ ZAREMBA BIELAWSKI, DOM Z DWIEMA WIEŻAMI
PRZEŁ. MARIUSZ KALINOWSKI

Już w księgarniach i na karakter.pl!

eprasa.pl ec1b7d5698

z USA. W Berlinie z rozczarowaniem przyjęto na przykład zerwanie rozmów w sprawie TTIP, wycofanie się Waszyngtonu z paryskiego porozumienia klimatycznego, a także z porozumienia nuklearnego z Iranem. Liczne obawy wzbudzają adresowane wobec Unii Europejskiej groźby wprowadzenia ceł na niektóre produkty, co najmocniej uderzyłoby w niemieckie firmy.

W Niemczech panuje nie tylko rozczarowanie nowym kursem w polityce zagranicznej USA. Powielane przez prezydenta Trumpa publiczna krytyka oraz groźby wprowadzenia sankcji lub ceł odbierane są powszechnie jako próby wymuszania na Berlinie pewnych działań i jako takie wywołują oburzenie. Polityka Trumpa spowodowała drastyczny spadek popularności USA w Niemczech. W przeprowadzonym w maju 2018 roku badaniu Niemcy uznali Rosję za bardziej wiarygodną niż USA (odpowiednio 36 procent i 14 procent). Coraz częściej administrację Trumpa postrzega się w Niemczech w roli rywala, a rząd w Berlinie w tej nowej sytuacji na wielu polach widzi potrzebę poszukiwania sojuszników i przynajmniej w niektórych kwestiach znajduje ich właśnie w Moskwie.

Czekając na *business as usual*

Jak zwykle w przypadku niemieckiej polityki zagranicznej istotną rolę odgrywa też czynnik gospodarczy. Wprawdzie w ostatnich latach prawdziwemu załamaniu uległy stosunki handlowe między oboma krajami. W latach 2012–2016 obroty w wymianie towarami między Niemcami a Rosją spadły z 80,87 miliarda do 48,03 miliarda euro. Ponadto w ostatnich latach blisko tysiąc niemieckich firm wycofało się z działalności w Rosji. Jak pokazały badania, sankcje tylko w części odpowiadały za ten negatywny trend. Z punktu widzenia niemieckich przedsiębiorstw kluczowe znaczenie miały raczej niekorzystne warunki prowadzenia biznesu oraz kryzys gospodarczy w Rosji. W 2017 roku jednak wraz z rosyjską gospodarką o blisko 20 procent zwiększyła się także wymiana handlowa. W 2018 roku według szacunków ten wzrost był kontynuowany.

Niemieckie kręgi biznesowe od samego początku kryzysu na Ukrainie zabiegały o złagodzenie kursu wobec Moskwy, obawiając się o lukratywne kontrakty. Wiele firm z chęcią wróciłoby na rosyjski rynek, w którym w Niemczech od lat dostrzega się ogromny, niewykorzystywany potencjał. Na Kremlu doskonale zdają sobie z tego sprawę. Rosyjski prezydent regularnie spotyka się z przedstawicielami niemieckich koncernów, zachęcając ich do inwestowania w jego kraju. Na ostatnim takim spotkaniu, 1 listopada 2018 roku, ponownie obiecał poprawę warunków prowadzenia biznesu w Rosji i wyrażał nadzieję na dalszy rozwój współpracy gospodarczej. W Moskwie wiedzą, jak wpływową grupą lobbystyczną jest niemiecki biznes.

eprasa.pl ec1b7d5698

Na Ukrainie bez zmian

I wreszcie ostatnim intensywnie dyskutowanym tematem pozostaje konflikt na Ukrainie. Niemcy i osobiście kanclerz Merkel zaangażowali się w mediację między Kijowem a Moskwą i podjęli próbę znalezienia rozwiązania lub przynajmniej wygaszenia konfliktu w Donbasie, której zwieńczeniem było porozumienie w Mińsku z lutego 2015 roku. Od jego wypełnienia szefowa niemieckiego rządu – przy poparciu pozostałych przywódców Unii Europejskiej – uzależnia zniesienie sankcji wobec Rosji. Takie stanowisko spotyka się ze stale rosnącym sceptycyzmem zarówno w kilku krajach Unii (Włochy, Austria czy Węgry), jak i w samych Niemczech (za częściowym zniesieniem sankcji opowiedzieli się prominentni politycy współrządzącej SPD, a także – ponadpartyjnie – premierzy wschodnich landów). Mimo to Merkel wciąż broni swojego pryncypialnego stanowiska w sprawie sankcji i powtarza, że jej celem jest przywrócenie integralności terytorialnej Ukrainy. Warto wszak zauważyć, że po ubiegłorocznym listopadowym incydencie w Cieśninie Kerczeńskiej rząd w Berlinie jedynie skrytykował działania Moskwy i wezwał Rosję do przestrzegania traktatów, nie decydując się jednak na poparcie zaostrzenia sankcji.

W Berlinie często wyraża się nadzieje, że pomocne w wypełnieniu porozumień mińskich mogłoby być wprowadzenie do Donbasu pokojowej misji ONZ. Istnieją jednak daleko idące różnice co do zakresu takiej misji. Moskwa chciałaby między innymi, żeby „błękitne hełmy" ubezpieczały jedynie strefę zawieszenia broni między oddziałami ukraińskimi a separatystami, podczas gdy Kijów postuluje objęcie mandatem misji całego Donbasu, aby kontrolować także granicę między zbuntowaną prowincją a Rosją.

Pytania o spójność i strategię

Wydaje się, że w obecnych realiach nie ma miejsca na prawdziwy przełom między Berlinem a Moskwą. Intensyfikację spotkań na najwyższym szczeblu w ostatnich miesiącach należy raczej traktować jako próbę podjęcia współpracy na tych polach, na których w obecnych realiach jest to korzystne dla obu stron, bez forsowania zbliżenia tam, gdzie interesy i stanowiska są nie do pogodzenia. Niemcy i Rosja sondują więc wspólne inicjatywy w Syrii, razem bronią rozbudowy gazociągu bałtyckiego czy politycznie wspierają się wobec działań USA. W kwestii blokującej rozwój bilateralnych relacji i głęboko dzielącej Rosję i Zachód, jaką jest rozwiązanie konfliktu na Ukrainie, nie widać jednak żadnej zmiany. Zarówno rząd Angeli Merkel pozostaje pryncypialny w sprawie sankcji, jak i sam Kreml ani na jotę nie zmienia swojego punktu widzenia i najwyraźniej stawia na zamrożenie konfliktu w Donbasie na

eprasa.pl ec1b7d5698

lata. Dla Niemiec uznanie aneksji Krymu, przejście do porządku dziennego nad interwencją na wschodniej Ukrainie i powrót do *business as usual* nie wchodzą w grę, bowiem taki zwrot gruntownie podważyłby wiarygodność i pozycję Berlina zarówno wśród zachodnich sojuszników, jak i na arenie międzynarodowej. Nie można jednak wykluczyć, że ewentualnemu złagodzeniu stanowiska przez następnego kanclerza sprzyjać będzie rosnąca presja wewnętrzna i zewnętrzna.

Wiele niemieckich firm z chęcią wróciłoby na rosyjski rynek, w którym Niemcy od lat dostrzegają ogromny, niewykorzystywany potencjał.

Obserwując ostatnie próby zbliżenia oraz takie inicjatywy, jak wysoce kontrowersyjny projekt Nord Stream 2, należy zadać pytanie o spójność niemieckiej polityki wobec Rosji. Z jednej bowiem strony kanclerz Merkel zabiega o poparcie w Unii Europejskiej dla utrzymania twardego stanowiska w sprawie sankcji, które zostały wprowadzone z myślą o skłonieniu Moskwy do rewizji jej agresywnej polityki wobec sąsiada. Z drugiej natomiast strony Berlin przez takie inwestycje jak Nord Stream 2 zapewnia Rosji dodatkowe źródła dochodu, a przez intensywne konsultacje w sprawach międzynarodowych (zwłaszcza z pominięciem USA) pomaga Moskwie w wyjściu z izolacji bez jakichkolwiek ustępstw na Ukrainie. W ten sposób Niemcy własnoręcznie torpedują skuteczność polityki sankcji, pomagając Rosji w utrzymaniu – wygodnego dla niej – *statusu quo*. Trudno nie odnieść wrażenia, że w Berlinie brakuje pomysłu, jak nakłonić Rosję do zmiany polityki kwestionującej dotychczasowy porządek międzynarodowy, z którego Niemcy notabene czerpią oczywiste korzyści.

Michał Kędzierski jest ekspertem do spraw Niemiec w Centrum Inicjatyw Międzynarodowych. W 2015 roku został absolwentem Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 2012–2016 był redaktorem Portalu Spraw Zagranicznych, w którym od 2015 do 2016 roku pełnił funkcję szefa działu Europa i Unia Europejska. W latach 2014–2016 współpracował przy redakcji „Biuletynu Niemieckiego", wydawanego wspólnie przez Centrum Stosunków Międzynarodowych oraz Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej.

eprasa.pl ec1b7d5698

Gra o Nord Stream 2

Mateusz Kubiak

Ostatnie miesiące przyniosły cały szereg wydarzeń i deklaracji związanych z budową Nord Stream 2. Wszystkie one potwierdzają, jak wiele kontrowersji towarzyszy rzeczonej inwestycji oraz jak skomplikowana toczy się wokół niej rozgrywka.

Budowa Nord Stream 2 trwa już od pół roku, jednak wciąż towarzyszy jej wiele znaków zapytania. Jak do tej pory Rosjanie (przy wsparciu europejskich koncernów) włożyli w projekt miliardy dolarów, lecz w dalszym ciągu nie mogą być pewni, kiedy gazociąg zostanie oddany do użytku, ani też jaką dokładnie trasą będzie przebiegał. Możliwe jest nawet, że kontynuacja inwestycji zostanie przynajmniej tymczasowo zablokowana.

Wbrew powyższemu, Rosjanie przekonują, że nikt i nic nie może zaszkodzić Nord Stream 2. Z jednej strony wskazuje to na wysoką stawkę (polityczną, finansową, wizerunkową), o jaką toczy się gra. Z drugiej jednak strony sugeruje to również, że władze na Kremlu mogą jednocześnie obawiać się o pomyślne zakończenie projektu. Wydaje się, że w kolejnych miesiącach pytania w tej kwestii będą jedynie dodatkowo się mnożyć. Jaka jest więc obecnie rzeczywista sytuacja wokół Nord Stream 2?

Rosyjskie spojrzenie

Stałym elementem dyskusji nad Nord Stream 2 pozostaje pytanie o motywacje stojące za budową gazociągu. Pomijając nastawienie zachodnioeuropejskich spółek (te powinny kierować się logiką biznesową), można zauważyć, że z punktu widzenia Rosji oczywisty wydaje się polityczny charakter projektu. Kreml, realnie prowadzący inwestycję za pośrednictwem podległego mu Gazpromu, nie ukrywa, że celem Nord Stream 2 (oraz równolegle budowanego TurkStream) jest zmiana architektury eksportowej rosyjskiego gazu i uniezależnienie się od państw tranzytowych. W tym konkretnym przypadku dotyczy to zwłaszcza Ukrainy, która w 2017 roku odpowiadała za około 45 procent tranzytu surowca z Rosji do szeroko rozumianej Europy (93 miliardy metrów sześciennych gazu – ponad pięć razy więcej niż roczna konsumpcja błękitnego paliwa w Polsce).

eprasa.pl ec1b7d5698

Uderzenie w interesy Kijowa odczytujemy dziś w kontekście aneksji Krymu i wojny na wschodzie kraju – w rzeczywistości jednak koncepcja budowy Nord Stream 2 powstała trzy lata przed wybuchem rewolucji godności (notabene rozważano też wtedy budowę odnogi gazociągu do Wielkiej Brytanii). Analogiczne działania, mające na celu obejście państw trzecich, można zresztą obserwować także w innych sektorach: Rosja od lat rozbudowuje własne porty, przez co skutecznie ogranicza tranzyt ropy naftowej, paliw, węgla czy nawozów przez państwa bałtyckie. Nord Stream 2 stanowi więc element szerszej wizji ładu gospodarczo-politycznego w regionie, w której państwa tak zwanej bliskiej zagranicy nie powinny czerpać nadmiernych korzyści z tytułu istnienia poradzieckich szlaków eksportowych. Można zatem mówić o konsekwentnie realizowanej strategii Rosjan i – dodajmy przy tym – strategii bardzo kosztownej. Budowa podmorskiego gazociągu stanowi bowiem ogromne przedsięwzięcie, a w przypadku liczącego sobie ponad 1200 kilometrów Nord Stream 2 związane z wydatkiem przynajmniej 11 miliardów dolarów (połowę kredytują europejskie koncerny). Jeżeli dodać do tego budowę infrastruktury lądowej oraz późniejszą obsługę i konserwację gazociągu, łączny koszt projektu może sięgać już nawet 20 miliardów dolarów. Skala inwestycji jest więc ogromna, a korzyści finansowe z jej tytułu zawężone do ograniczenia opłat tranzytowych na rzecz Ukrainy.

Nord Stream 2 stanowi element szerszej rosyjskiej wizji ładu gospodarczo-politycznego w regionie.

Przede wszystkim PR

Choć polityczny charakter inwestycji wydaje się nie ulegać wątpliwości, Rosjanie usilnie zabiegają o to, by projekt budził zgoła odmienne skojarzenia. W forsowanej narracji Nord Stream 2 ma być motywowany przede wszystkim względami biznesowymi, ale także kwestiami środowiskowymi oraz chęcią zapewnienia bezpieczeństwa dostaw gazu do Europy. Skala działań promocyjno-lobbingowych w tym zakresie może wręcz przytłaczać i bynajmniej nie ogranicza się do aktywności rosyjskiej dyplomacji. Pozwala to zrozumieć, jak duże znaczenie dla Rosjan ma Nord Stream 2.

Gazprom, także poprzez spółkę córkę Nord Stream 2 AG, korzysta z licznych agencji PR w wielu zachodnich państwach: w zależności od potrzeb odpowiadają one za strategię promocyjną lub ułatwiają kontakty z krajową administracją czy politykami. W rezultacie więc Nord Stream 2 jest obecny na koszulkach piłkarzy ręcznych występujących w europejskiej Lidze Mistrzów, wzdłuż podmorskiej trasy gazociągu organizuje się doroczne regaty jachtowe, zaś po całej Europie koncertuje

eprasa.pl ec1b7d5698

orkiestra Baltic Sea Youth Philharmonic ufundowana jeszcze przy okazji budowy Nord Stream 1. Jednocześnie Rosjanie łożą też miliony na „oficjalny" lobbing w Brukseli i Waszyngtonie oraz zapewniają sobie mniej formalne wsparcie osób, takich jak były premier Szwecji Göran Persson czy były wiceminister obrony RFN Friedbert Pflüger. Nie jest zresztą przypadkiem, że gros inwestycji związanych z budową gazociągu trafiło w ręce europejskich spółek: według wyliczeń zleconych przez Nord Stream 2, zamówienia w ramach samej Unii Europejskiej mają być warte łącznie około… 3 miliardów dolarów. Są to kontrakty na dostawę materiałów i rozmaite usługi, na przykład składowanie rur w lokalnych portach lub ekspertyzy środowiskowe.

Opóźnienia na horyzoncie

W parze z działaniami lobbingowo-promocyjnymi idą zapewnienia, jakoby nic nie zagrażało terminowej (koniec 2019 roku) finalizacji inwestycji. Deklaracje te padają, mimo że wciąż istnieją jeszcze czynniki mogące wymiernie zaszkodzić rosyjskiemu projektowi. W tym kontekście najwięcej mówi się chyba o nałożeniu stosownych sankcji przez amerykańską administrację. Teoretycznie Stany Zjednoczone mogą bowiem uderzyć zarówno w spółki kredytujące budowę Nord Stream 2, jak również – co nie mniej dotkliwe – w samych wykonawców inwestycji, których ciężko byłoby wówczas szybko zastąpić. W takim przypadku Gazprom musiałby liczyć się z ponowną zmianą modelu finansowania projektu oraz z opóźnieniami w jego realizacji. Scenariusz ten, pomimo amerykańskich deklaracji, wciąż pozostaje jednak pod dużym znakiem zapytania, jako że na ewentualne sankcje musieliby zgodzić się także sojusznicy USA, spośród których nie wszyscy przecież są przeciwni nowemu gazociągowi. Znamienne zresztą, że tego typu działania nie zostały podjęte nawet wtedy, kiedy była ku temu „dogodna" okazja: czy to po próbie zabójstwa rodziny Skripalów, czy też po wybuchu kryzysu kerczeńskiego w listopadzie 2018 roku.

Koncepcja budowy Nord Stream 2 powstała trzy lata przed wybuchem rewolucji godności na Ukrainie.

Niezależnie od możliwości nałożenia sankcji, Nord Stream 2 zmaga się również z sytuacją o tyle prozaiczną, ile problematyczną: choć budowa trwa w najlepsze w niemieckich i fińskich wodach, to wykonawca wciąż nie ma pozwolenia na rozpoczęcie prac na duńskim odcinku dookoła Bornholmu. Jesienią 2017 roku przeciwni inwestycji Duńczycy znowelizowali bowiem swoje prawo tak, by duńskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych również musiało zaopiniować realizację inwestycji w krajowych wodach terytorialnych. W rezultacie resort celowo wstrzymuje się od

eprasa.pl ec1b7d5698

tego czasu (stan na koniec listopada 2018 roku) z decyzją w sprawie budowy Nord Stream 2, choć jednocześnie staje się też obiektem coraz to silniejszej presji: tak ze strony Amerykanów, jak i Rosjan oraz Niemców.

Niepewność Kremla co do tego, czy i kiedy Duńczycy wydadzą pozytywną decyzję, sprawiła, że kilka miesięcy temu złożono drugi wniosek – tym razem na przebieg rurociągu przez duńską wyłączną strefę ekonomiczną, gdzie Ministerstwo Spraw Zagranicznych Danii nie posiada już analogicznych uprawnień. Nowa aplikacja jest aktualnie rozpatrywana przez urzędy w Danii, które jednak także nie muszą zgodzić się na budowę: Morze Bałtyckie stanowi bowiem niewielki akwen pełen obszarów, których inwestorzy powinni unikać, zaś w tym przypadku trasę rurociągu wytyczono pośród chronionych raf kamiennych oraz dokładnie wzdłuż głównego kanału transportowego. W tej sytuacji Duńczycy mogą zatem domagać się dodatkowych badań wpływu na środowisko, sugerować kolejną zmianę trasy (na przykład przez nowo podzielony przez Polskę i Danię obszar na południe od Bornholmu) lub skierować wniosek pod ocenę Komisji Europejskiej. Wydaje się zresztą, że nawet jeżeli zostanie on finalnie zaakceptowany, to niemożliwe będzie oddanie inwestycji w terminie i zmieszczenie się w pierwotnym budżecie: komplikacje mogą bowiem kosztować Gazprom przynajmniej setki milionów dolarów.

Sprawa ukraińska

Możliwe opóźnienia w budowie Nord Stream 2 (jak również lądowego rurociągu EUGAL, którym rozprowadzany ma być gaz w Niemczech) wpływają jednak nie tylko na kosztorys projektu, ale przede wszystkim na przebieg negocjacji w sprawie tranzytu surowca przez Ukrainę. Obecny kontrakt na przesył błękitnego paliwa do Europy wygasa bowiem z końcem 2019 roku, a obie strony rozmów mają zgoła odmienne interesy. Celem Rosjan jest w pierwszej kolejności ograniczenie poziomu dostaw przez Ukrainę do minimum, co wymaga jednak zarówno oddania do użytku Nord Stream 2 (wraz z EUGAL), jak i zapewnienia sobie korzystnych rozstrzygnięć w kwestii unijnych regulacji antymonopolowych. Przeciwnie, Ukraińcy chcieliby zachować przynajmniej połowę obecnego tranzytu, co pozwalałoby im wówczas utrzymać rentowność systemu przesyłowego (wpływy tranzytowe w 2017 roku odpowiadały 2,3 procent PKB kraju, jednak zysk z tego tytułu wyniósł już jedynie 0,5 procent PKB).

Co więcej, stawką w rzeczonych negocjacjach jest oczywiście także status Ukrainy jako państwa niezbędnego dla bezpieczeństwa energetycznego Europy. Można bowiem zakładać, że jeżeli gaz zostanie przekierowany w obchód kraju, to sprawa ukraińska może stracić na znaczeniu w wielu unijnych stolicach. Wszystko to spra-

eprasa.pl ec1b7d5698

wia, że kwestia terminowości projektu Nord Stream 2 jest bardzo istotna. W dużej mierze to od powodzenia tej inwestycji będzie zależeć, jak długo i na jakich warunkach rosyjski gaz będzie płynął ukraińskimi gazociągami. W tym kontekście nie dziwi więc, że Ukraina aktywnie stara się bronić swoich interesów. Władze w Kijowie regularnie podnoszą kwestię budowy gazociągu na arenie międzynarodowej, w tym także w ramach częstych kontaktów z amerykańskimi oraz niemieckimi decydentami. Na marginesie zresztą warto zaznaczyć, że ukraińska dyplomacja szuka też mniej konwencjonalnych wybiegów, by powstrzymać budowę podmorskiego rurociągu. W ostatnich miesiącach ukraińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zgłosiło bowiem chociażby chęć udziału w konsultacjach Nord Stream 2 na zasadach przysługujących… państwom bałtyckim. Wniosek ten umotywowano przy tym śródlądowym połączeniem Ukrainy z Bałtykiem i obawami Kijowa o wpływ inwestycji na bezpieczeństwo żeglugi morskiej.

Od powodzenia Nord Stream 2 zależeć będzie, jak jeszcze długo i na jakich warunkach rosyjski gaz będzie płynął ukraińskimi gazociągami.

***

Wokół Nord Stream 2 toczy się wielopłaszczyznowa gra, której stawką są miliardy dolarów, wpływy w regionie, a także partykularne interesy poszczególnych europejskich państw. Co przy tym jasne – tam gdzie ktoś traci, jednocześnie inny zyskuje. W rezultacie w sprawie budowy gazociągu podzielona jest nie tylko Unia Europejska jako taka, ale także sama Europa Środkowo-Wschodnia, gdzie polska lub słowacka percepcja inwestycji kontrastuje ze zgoła innym nastawieniem Czech czy Węgier.

Wbrew rosyjskim zapewnieniom, finalne rozstrzygnięcia wokół Nord Stream 2 dopiero nastąpią, przez co również sam spór między przeciwnikami a popleczni-kami budowy gazociągu dalej pozostaje aktualny. Ważne jest więc, by do tej zapewne wzmożonej w 2019 roku debaty być dobrze przygotowanym.

Mateusz Kubiak jest politologiem, pracuje jako analityk sektora energetycznego.

eprasa.pl ec1b7d5698

Uśpiony analityk

Aneta Strzemżalska

W Polsce coraz częściej publikowane są *quasi*-profesjonalne artykuły – wiedza analityka nie jest poparta doświadczeniem empirycznym, a źródła, z których korzysta, są stronnicze i niemerytoryczne. Z tych powodów wstępne założenia tekstów bywają błędne, a linia argumentacyjna niespójna i wybrakowana.

Na łamach „Nowej Europy Wschodniej" (nr 1/2018) ukazał się artykuł pod tytułem *Olimpijski sen*. Autor tekstu, Mateusz Kubiak, stara się w nim opowiedzieć o roli masowych imprez sportowych w polityce Azerbejdżanu. Analityk zauważa, że takie międzynarodowe wydarzenia, jak chociażby Mistrzostwa Europy, Grand Prix Formuły 1 czy Igrzyska Solidarności Islamskiej, regularnie organizowane przez bakijskie władze w ostatnich latach, są „konsekwentnie realizowaną strategią, obliczoną na osiągnięcie wielu celów". Do najważniejszych z nich Kubiak zalicza wzmocnienie prestiżu i potęgi Azerbejdżanu na arenie międzynarodowej, budowanie tożsamości narodowej (przez autora nieskładnie nazwaną „tożsamością kraju") oraz lobbowanie na rzecz pomyślnego dla Azerbejdżanu rozwiązania konfliktu karabaskiego.

Kubiak trafnie identyfikuje większość elementów strategii politycznej bakijskich elit (ja bym jeszcze coś dorzuciła, ale o tym nieco niżej), niestety nie potrafi jej spójnie opisać i logicznie wytłumaczyć. Dzieje się tak nie dlatego, że autorowi brakuje talentu czy umiejętności analitycznych. Powód jest poważniejszy, bo ma charakter systemowy: w Polsce (i zapewne wszędzie na świecie) coraz częściej publikowane są *quasi*-profesjonalne artykuły – wiedza analityka nie jest poparta doświadczeniem empirycznym, a źródła, z których korzysta, są stronnicze i niemerytoryczne. Z tych powodów wstępne założenia tekstów bywają błędne, a linia argumentacyjna niespójna i wybrakowana.

O tym, że Kubiak nigdy nie był w Azerbejdżanie (albo był tam niedostatecznie długo), świadczy przede wszystkim leksyka, którą się posługuje. Prawie wszystkie nazwy własne, użyte w artykule, są niepoprawnie zapisane wskutek ich błędnej transliteracji z języka rosyjskiego, bądź angielskiego. Autor zapewne nigdy nie słyszał jak Azerbejdżanie wymawiają imię wybitnego piosenkarza Alima Gasymowa (azerb. Alim Qasımov), z jakim szacunkiem rozmawiają o niewidomym dżudoce Ilhamie Zekijewie (azerb. İlham Zəkiyev), umawiają się w Bibi Hejbet (azerb. Bibiheybət) czy żartują z maskotki olimpijskiej Dżesur (azerb. Cəsur). Jeśliby słyszał – jestem przekonana – uniknąłby

eprasa.pl ec1b7d5698

błędów, bo różnica w oryginalnej wymowie i zapisie w języku rosyjskim lub angielskim jest tak uderzająca, że każdego ambitnego autora zmotywowałaby do przeczytania zasad tłumaczenia nazw własnych z rzadkich języków, zapisanych łaciną na język polski.

Kolejnym dowodem na to, że Kubiak nie posiada odpowiednich narzędzi, niezbędnych do napisania głębokiego artykułu o roli sportu w polityce Azerbejdżanu, jest charakter wykorzystanych materiałów. Z *Olimpijskiego snu* wynika, że autor bazuje na dwóch zasadniczych źródłach informacji. Pierwszym – w znacznej mierze dominującym – są teksty publikowane przez zachodnie media, gdzie wyraźny głos zabierają azerbejdżańscy dysydenci. Drugi filar stanowią zaś oficjalne media, dość szczelnie kontrolowane przez administrację prezydenta. Żeby zrozumieć, dlaczego taki dobór materiałów jest nieodpowiedni, należy pamiętać o tym, że oba obozy informacyjne są konkurencyjne wobec siebie, mocno skonfliktowane i przede wszystkim stronnicze. Media bakijskie bez ogródek „manifestują azerbejdżańskie *success story*", jak trafnie zauważa Kubiak. Z kolei azerbejdżańscy opozycjoniści, którzy stanowią najbardziej aktywny trzon zachodniej diaspory, bakijskie elity polityczne nienawistnie nazywają „uzurpatorami", ich politykę charakteryzują jako chaotyczną, nastawioną jedynie na „grabienie państwa", a nie na jakiekolwiek narodowe korzyści. Należy przy tym pamiętać, że ich ocena obecnej sytuacji w Azerbejdżanie dokonuje się przez pryzmat krzywd, których doznali, a także doświadczenia własnego, dość często zdezaktualizowanego, bo zdobytego kilka–kilkanaście lat temu, kiedy opuścili Azerbejdżan.

Czytając dokładnie tekst Kubiaka, ma się wrażenie, że analityk stara się uwzględnić zdanie obu obozów informacyjnych. Nie potrafi jednak prawidłowo ocenić emitowanych przez nie treści (bez dłuższego pobytu w Azerbejdżanie to normalne). Gubi się więc w chaosie poglądowym i ostatecznie przyjmuje przeważającą na Zachodzie retorykę. W jego tekście czytamy więc o „propagandzie sukcesu", „o olimpijskim śnie", „peryferyjnym Azerbejdżanie", o prezydencie „panującym od 2003 roku". Zestawianie zysków i strat polityki sportowej proponowane przez autora nie jest więc rezultatem poważnej analizy, a zawczasu przygotowaną tezą, niemającą potwierdzenia w realności. Swoje stanowisko Kubiak wyraża zresztą jasno już w drugim zdaniu artykułu: „Imprezy te [sportowe – przyp. A.S.] nie cieszą się szczególnym zainteresowaniem społeczeństwa kraju, jednak ich budżety sięgają milionów dolarów".

Stawianie tak radykalnej tezy niewątpliwie wzbudza zainteresowanie – czytelnik czym prędzej chciałby dowiedzieć się, jak to się dzieje, że wydawanie tak dużych kwot przez państwo spotyka się z obojętnością obywateli? W *Olimpijskim śnie* odpowiedzi na to pytanie jednak nie znajdziemy. Zapewne dlatego, że żadne media o tym nie piszą. Niemniej jednak masowe imprezy sportowe wywołują olbrzymi rezonans społeczny, chociażby dlatego, że bardzo utrudniają, jeśli nie paraliżują życie codzienne obywateli. Podczas trwania imprez nie działa transport publiczny (autobusy mają pozmieniane

eprasa.pl ec1b7d5698

trasy lub w ogóle nie kursują), do stolicy nie są wpuszczane samochody na rejestracjach innych niż bakijskie, w związku z licznymi przygotowaniami ludzie zmuszani są do nadgodzin, a pod pozorem olbrzymich „wydatków narodowych" ich pensje nie są wypłacane w całości. Takich przykładów jest mnóstwo.

Przeciętni obywatele – jak sami deklarują – woleliby, żeby „budżety sięgające milionów dolarów" zostały przekierowane na inne cele, na przykład edukację, medycynę, pomoc socjalną. Wiedzą też jednak, że nie od nich to zależy. Starają się więc czerpać radość z rozrywki proponowanej przez państwo (po prostu odnaleźć się w swoim kraju). W jakimś stopniu są też dumni z tego, że ich niewielka republika zasłynęła na arenie międzynarodowej, że mają medalistów (nawet naturalizowanych, bo we Francji czy Niemczech sytuacja wcale nie wygląda lepiej), że promowana jest ich bogata kultura, doczekali się zaawansowanej infrastruktury. Dzięki temu czują się lepiej, są dumniejsi ze swojego kraju i w zamian za to obdarzają oficjalne władze kredytem zaufania, niezbędnym do tego, by w dalszym ciągu rządzili krajem.

Zjawisko korelacji zaawansowanych projektów infrastrukturalnych i władzy szerzej opisał zresztą doskonały amerykański antropolog specjalizujący się w problematyce byłych krajów radzieckich. Bruce Grant w artykule *The Edifice Complex: Architecture and the Political Life of Surplus in the New Baku* („Public Culture" 2014, Vol. 26, No. 74 (3)) tłumaczy, jak zaawansowane projekty architektoniczne sankcjonują autorytarne rządy. Jego wnioski niewątpliwie odnoszą się też do sportu, chociażby w kontekście nowoczesnych stadionów, które Kubiak wspomina.

Wpływ imprez sportowych na formowanie tożsamości narodowej nie jest jedyną ważną kwestią pominiętą w *Olimpijskim śnie*, a niezbędną do zrozumienia zjawiska. Kubiak zupełnie pomija wysiłki pierwszej damy Azerbejdżanu w procesie realizacji polityki sportowej – to właśnie wiceprezydent Mehriban Alijewa jest *number one* całej operacji. Bez uwzględnienia jej roli nie sposób jest mówić o strategiach politycznych Azerbejdżanu w kontekście tożsamość narodowej, czy też wzmacniania prestiżu republiki na arenie międzynarodowej. Dlatego też z całego serca zachęcałabym Kubiaka (i wszystkich tych, którzy chcą pisać o sytuacji w państwach, gdzie wolne media nie istnieją) do zastosowania również nieco innych metod studiowania polityki wewnętrznej i zagranicznej Azerbejdżanu niż analiza dyskursu medialnego. Zdecydowanie efektywniejsze od powielania utartych i błędnych założeń byłoby oddolne spojrzenie na sprawę, nawiązanie bezpośrednich kontaktów z tymi, którzy znają problem w praktyce i od podszewki.

Aneta Strzemżalska jest współpracownikiem naukowym Wydziału Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu.

eprasa.pl ec1b7d5698

Ostateczny koniec złudzeń

Z Edwardem Lucasem, brytyjskim znawcą Europy Środkowej i Wschodniej oraz redaktorem „The Economist", rozmawia Krzysztof Popek

KRZYSZTOF POPEK: Minęło pół roku od nieudanego zamachu na życie Siergieja Skripala. Czy ta sprawa miała znaczący wpływ na relacje między Rosją a Zachodem?

EDWARD LUCAS: Mam nadzieję, że będzie miała długotrwały wpływ. Wciąż czekam na poważną odpowiedź Wielkiej Brytanii, bo przemówienia oraz organizowanie konferencji prasowych jest dosyć proste, ale niewystarczające. Podobnie wskazywanie na rosyjskich szpiegów jest proste, gdyż wiemy już, kim są. Czekam na strategiczny zwrot w polityce Wielkiej Brytanii wobec Rosji, szczególnie w kwestii zagrożenia związanego z rosyjskimi „brudnymi pieniędzmi". Są podnoszone pewne głosy na ten temat, jednak to za mało.

Czy sprawa Skripala zmieniła coś w myśleniu o Rosji na Zachodzie?

Ludzie tacy jak my byli uznawani za szaleńców jeszcze dwanaście–piętnaście lat temu. Nasze postrzeganie Rosji jako zagrożenia teraz (a Chin już niebawem) jest traktowane jako ekscentryczne. Bardziej powszechne były przeświadczenia, że Rosja stanowiła rynek inwestycji, że pomagała w walce z terroryzmem w Afganistanie, że istniały tylko drobne nieporozumienia dotyczące bezpieczeństwa, na przykład na obszarze byłej Jugosławii. Były to sprawy drugorzędne. To się zmieniło w sposób diametralny. Ludzie zdali sobie sprawę z tego, że Rosja jest zagrożeniem nie tylko pod względem militarnym w północnych i wschodnich zakątkach Europy, jak ostatnio na Morzu Azowskim, ale i zwiększa swoją sferę wpływów: za pomocą fake newsów, cyberwojny i ataków na systemy informatyczne. Sposób myślenia się zmienił, ale – ponownie – nie zmienił się w sposób wystarczający.

Można też na to spojrzeć z drugiej strony. Sytuacja wewnętrzna Rosji się zmienia, czego obrazem mogły być wyniki ostatnich wyborów lokalnych, dalekich od oczekiwań Kremla. Pojawiają się wręcz komentarze, że jest to początek końca Władimira Putina, inni mówią, że jest to tylko tymczasowy rezultat reformy emerytalnej.

Władza Putina stale się załamuje i musi na nowo się stabilizować. Jest to ciągła zmiana. Szczególnie było to widoczne na początku rządów Putina. Zewnętrzni komentatorzy stale snuli przewidywania, czy będą to długotrwałe rządy, czy też krótkie. W sytuacji kryzysu Putin zazwy-

eprasa.pl ec1b7d5698

czaj udowadniał swoją elastyczność i odnosił sukces. Sięgał po narzędzia zarówno opresyjne (tłumił protesty za pomocą ostrej machiny propagandowej i środków zastraszania, stosował represje, wymuszone migracje), jak i po działania rozpraszające uwagę (wojna na Ukrainie czy zaangażowanie w Syrii). Obok innych korzyści, jakie czerpały z tych wojen władze rosyjskie, były one ważnym tematem zastępczym dla społeczeństwa.

Podejrzewam więc, że skoro Putin boryka się obecnie z problemami, znajdzie środki, by sobie z nimi poradzić. Może na przykład obiecać jakąś formę liberalizacji, więcej swobód i gwarancje, że będzie jeszcze lepiej. Może też wybrać drogę opresji, a sytuacja w Rosji przybierze jeszcze bardziej przerażające oblicze. Trzecia droga to kolejne formy rozpraszania uwagi społeczeństwa. Może sięgnąć równocześnie po wszystkie trzy metody.

Zbyt dużo osób uważa, że władza Putina skończy się w sposób szybki. Ja nie chcę popełniać tego błędu.

Trudno się spodziewać, że dojdzie do szybkiego zakończenia rządów Putina, ale czy są jakieś perspektywy na ewolucję Rosji w kierunku demokracji w stylu zachodnim? Prawdopodobnie nie zadałbym tego pytania, ale po Brexicie, po Trumpie, po przemianach w Polsce wszystko w polityce wydaje się możliwe.

Rosja przeżywa obecnie jeden z najdłuższych w historii okresów stabilizacji i rozwoju w zakresie praw osobistych. To już dwadzieścia lat, od kiedy Rosjanie mogą powiedzieć, że jest im lepiej niż wcześniej. Dla wielu obywateli jest to naprawdę ważne i są za to wdzięczni Putinowi. Jako krytycy moglibyśmy powiedzieć, że mogłoby być znacznie lepiej. Fakt, że nie jest tragicznie, wystarczy Rosjanom do stwierdzenia, że jest dobrze. Jest to zarówno źródło siły Putina, jak i słabości, gdyż ludzie mogą się tą „małą stabilizacją" zwyczajnie znudzić. Mogą stwierdzić, że mają już poziom życia klasy średniej oraz dostęp do całkiem dobrych usług prywatnych, a zarazem złych w wymiarze publicznym. Mogą też uznać, że chcieliby więcej: głosować w ten sposób, by ich głos faktycznie się liczył, żeby popierany przez nich kandydat wygrywał, żeby móc działać w organizacji pozarządowej, żeby spełniać się w innych aspektach życia niż spanie, zakupy, rodzina i wakacje.

Dużym problemem jest też liczna rosyjska diaspora, która mieszka za granicą i widzi życie, o którym potem opowiada. W ich relacjach Zachód nie jest wypełniony krzyżowcami, którzy nic nie robią, tylko spiskują, by zniszczyć Rosję; widzą, że ludzie po prostu żyją własnym życiem. Diaspora w pewnym momencie zacznie wracać do Rosji, gdyż wielu ludzi tego chce i są oni za granicą z własnego wyboru. Można sobie wyobrazić sytuację, w której miejscowa klasa średnia oraz wracająca diaspora stanowią główne źródło nacisków na zmiany polityczne. Z drugiej strony Putinowi zależy na tym, żeby takie nastroje nie pojawiły się w społeczeństwie.

eprasa.pl ec1b7d5698

Słabością Rosji jest atomizacja – jest to trudne dziedzictwo komunizmu, że ludzie sobie nie ufają, nie współpracują ze sobą. To także odbiło się silnie na Polsce, mimo polskiego indywidualizmu. Mieliście jednak Kościół katolicki oraz „Solidarność", które jednoczyły ludzi. To były ważne czynniki. Niczego takiego nie było w Rosji.

Czy jest jakakolwiek polityczna alternatywa dla Putina? Może powinniśmy się bać, że po Putinie nadejdzie ktoś jeszcze gorszy i bardziej radykalny.

Oczywiście, alternatywa zawsze może być gorsza. Wcześniej byłem otwartym krytykiem Borysa Jelcyna, obecnie mogę stwierdzić, że powinniśmy być wdzięczni za Jelcyna. Gorszą i realną alternatywą jest tu ktoś znacznie bardziej autorytarny i ściślej powiązany ze światem przestępczym, co widzimy na przykład w Czeczenii. Niektórzy ludzie mówią o czeczenizacji rosyjskiej polityki. Widzimy przestępczość zorganizowaną, widzimy faszystów rosyjskich odwołujących się do idei *russkogo mira* czy imperialistów, takich jak Władimir Żyrinowski, Aleksander Dugin. Oczywiście, że może być gorzej, i dlatego też powinniśmy unikać manipulowania czy prób mikrozarządzania rosyjską polityką. Za każdym razem, kiedy próbowaliśmy to robić, kończyło się to jeszcze czymś gorszym.

Tak jak w przypadku Bliskiego Wschodu.

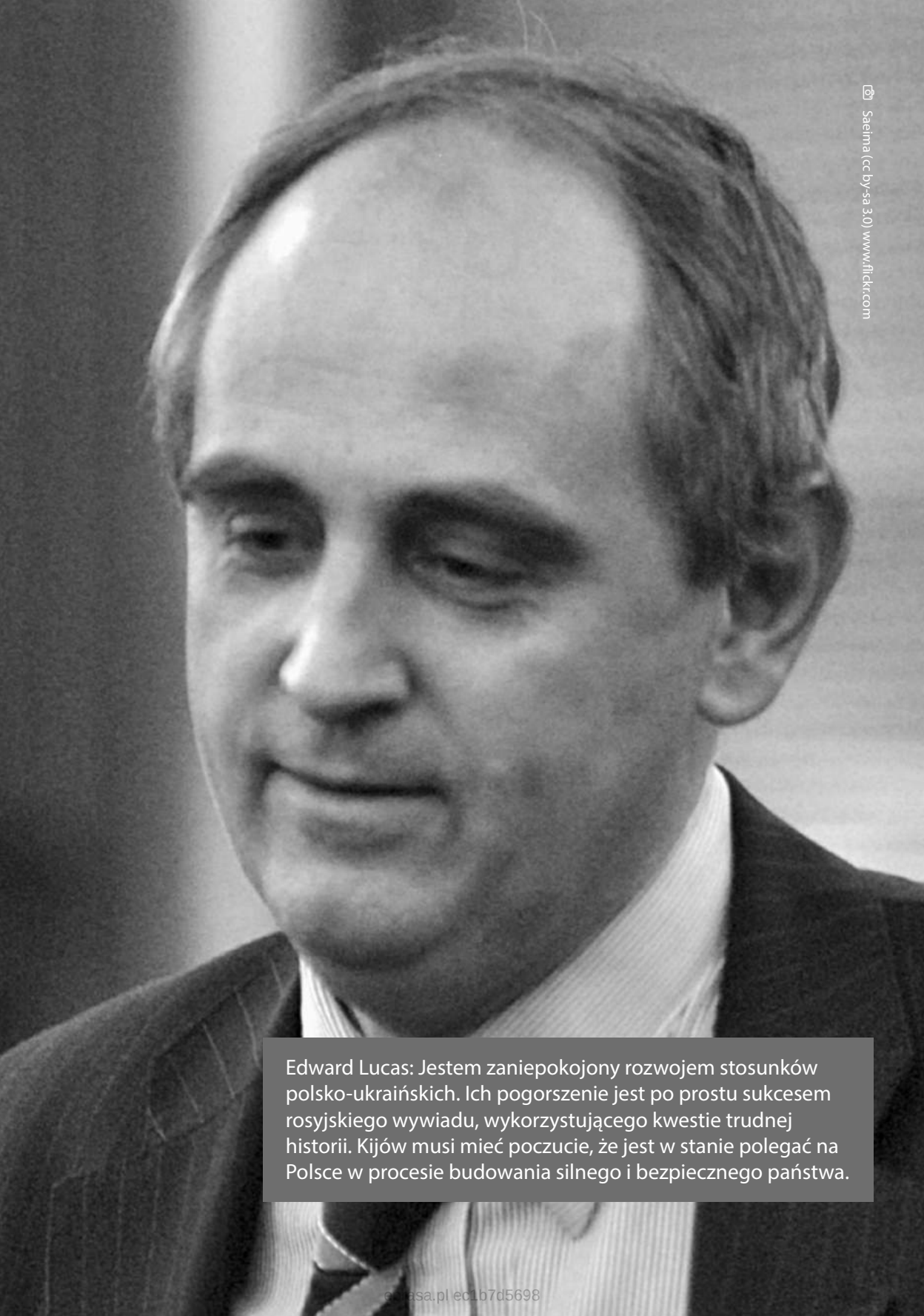
Tak, z jednej strony powinniśmy więc respektować rosyjską specyfikę, a z drugiej wysyłać stanowcze sygnały i nie zgadzać na dwuznaczności. Musimy chronić nasze sojusze w regionie i wspierać ludzi, którzy myślą tak jak my wewnątrz Rosji. W tym powinniśmy być szczerzy – każdy ma tu swoją rolę do odegrania.

W Polsce panuje przekonanie, że nikt już nie pamięta o konflikcie na Ukrainie, że tylko specjaliści się nim interesują. Jakie są perspektywy na pokój w Donbasie?

Muszę podważyć to założenie, bo żeby o czymś zapomnieć, należy najpierw o tym wiedzieć. Tymczasem wśród ludzi na Zachodzie panuje nikłe przekonanie, że w ogóle wojna się zaczęła. Wiedzą o wojnie na Ukrainie tylko tyle, że Rosja zajęła Krym. Przyjęli też hasła rosyjskiej propagandy, że właściwie Krym i tak był rosyjski. Stwierdzenie, że Zachód zapomniał o wojnie na Ukrainie, można uznać za pochlebstwo wobec zachodniej opinii publicznej.

Ukraińcom idzie dobrze. Nie powinni się skupiać na odbiciu okupowanych terytoriów i odzyskaniu Krymu, a na innych celach: by uczynić z Ukrainy polityczną, społeczną i ekonomiczną historię sukcesu. Najlepszą drogą, by odzyskać utracone obszary, jest scenariusz Niemiec Zachodnich dla Niemiec Wschodnich – posiadanie atrakcyjnego systemu politycznego, ekonomicznego, kulturowego; takiego, o którym ludzie będą w stanie powiedzieć, że jest czymś lepszym niż to,

eprasa.pl ec1b7d5698



Saeima (cc by-sa 3.0) www.flickr.com

Edward Lucas: Jestem zaniepokojony rozwojem stosunków polsko-ukraińskich. Ich pogorszenie jest po prostu sukcesem rosyjskiego wywiadu, wykorzystującego kwestie trudnej historii. Kijów musi mieć poczucie, że jest w stanie polegać na Polsce w procesie budowania silnego i bezpiecznego państwa.

e-prasa.pl ec1b7d5698

co sami mają. Kto chce żyć w marionetkowym państwie kontrolowanym przez Rosję, kiedy może żyć w odnoszącym sukcesy kraju zachodnim? To jest priorytet.

Musimy więc podtrzymywać militarną presję na Rosję i powstrzymywać ją przed przejęciem całkowitej kontroli nad Morzem Azowskim, które ma kluczowe znaczenie strategiczne jako pierwsza linia frontu. Nie chcę widzieć Ukrainy o zmilitaryzowanym społeczeństwie, gdzie wszystko jest podporządkowane wojnie. Przyszłość Ukrainy jest znacznie ważniejsza.

A co z zachodnimi sankcjami wymierzonymi w Rosję? Z Włoch, z Europy Środkowej słychać głosy, że powinniśmy z nich zrezygnować. Jak długo Zachód utrzyma sankcje? Czy są one w ogóle skuteczne?

Efektywność sankcji została osiągnięta i tutaj trzeba być wdzięcznym Angeli Merkel, że potrafiła je przeforsować i utrzymać. Wiem, że w Polsce jest wielu krytyków jej rządu, jednak myślę, że nie możecie sobie wyobrazić bardziej stanowczego wsparcia niż to, które otrzymujecie od Merkel. Byłoby lepiej, gdyby częściej się o tym mówiło w Polsce.

Mamy opozycje wśród krajów południowoeuropejskich. Za sankcjami nie przepadają Włochy, Hiszpania, Grecja. Jednak trzeba docenić, że Niemcom udaje się je utrzymać. Jeśli chodzi o Włochów, to jest konkretny problem z Matteo Salvinim, jednak Salvini to nie całe Włochy, a Włochy nie są Salvinim. Interesująco też wygląda sytuacja w Austrii. Władze w Wiedniu ze wstydem rozliczały ostatnio swoich oficerów wywiadu za współpracę z Rosjanami. Nie byłbym zaskoczony, gdybyśmy niedługo spotkali się z podobną sytuacją we Włoszech. Gdybym był szefem wywiadu w państwie zachodnim i dowiedział się o czymś upokarzającym dotyczącym Włoch, myślę, że byłby to dobry moment, żeby powiedzieć o tym włoskiemu rządowi. Rzym nie jest odporny na tego typu rosyjskie operacje.

Ważniejszym pytaniem jest, czy sankcje są działaniem wystarczającym. Oczekiwałbym tutaj poważnych sankcji wymierzonych w majątki rosyjskiej elity finansowej, chciałbym zobaczyć, jak pięć lub sześć tysięcy najważniejszych ludzi w Rosji naprawdę cierpi w wyniku działań podejmowanych przez Zachód. Chcę zobaczyć, jak firmy rosyjskie nie mają możliwości pożyczania pieniędzy na Zachodzie, wypuszczania akcji, korzystania z usług banków. Musimy zrobić wszystko, żeby poczuli, że faktycznie płacą cenę za bycie blisko reżimu.

Choć z drugiej strony obecnie Niemcy otwarcie postulują separację gospodarki od polityki. Mówię tu o Nord Stream 2 i sporze między Niemcami i USA w tej kwestii. Czy ta sprawa może mieć znaczący wpływ na solidarność euroatlantycką wobec Rosji?

Solidarność Zachodu zawsze była zagrożona, dorastałem w latach siedemdziesiątych XX wieku, kiedy były w tym

eprasa.pl ec1b7d5698

aspekcie niewyobrażalne problemy: Wietnam, okropna prezydentura Jimmy'ego Cartera. Raczej nie powinniśmy mówić w ogóle o jakimkolwiek okresie, który był złotą epoką w stosunkach w świecie zachodnim. Obecnie są one poprawne. To jest normalne, że mamy konflikty: wokół polityki wobec Iranu, w Europie mamy problemy w ramach struktur unijnych, Amerykanie mają czym się martwić, jeśli chodzi o NAFTA [North American Free Trade Agreement, Północnoamerykańska Strefa Wolnego Handlu – przyp. red.] i o to, czy wychodzenie z niej jest najlepszą drogą, jaką mogą wybrać. To jest „mięso" relacji transatlantyckich: czasem zgadzamy się tam, gdzie pozornie nie byłoby na to perspektyw, czasem nie zgadzamy się, mimo że moglibyśmy dojść do porozumienia.

Amerykańskie sankcje przybrały znacznie poważniejszy wymiar niż europejskie. Kongres zdominowany przez demokratów nie ma tu oporów i raczej nie obchodzi go, co mówi świat biznesu. Tym bardziej lubi co jakiś czas lekko upokarzać Donalda Trumpa. Trudno się spodziewać bardziej stanowczego stanowiska Kongresu i za to jestem mu wdzięczny.

W Europie szczególnie ważna jest Wielka Brytania ze względu na sektor finansowy. Jeżeli nie my, to trudno się spodziewać, że takie kraje jak Niemcy będą stanowcze wobec Rosji w takiej kwestii jak Nord Stream 2.

To zatem przesadzone stanowisko, że obecnie mamy do czynienia z jednym z większych kryzysów w relacjach transatlantyckich w historii?

Jest to absurdalne stwierdzenie, trudno mi sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby coś takiego powiedzieć. Zawsze jest tendencja do mówienia, że aktualny kryzys jest najgorszy. Tymczasem nie uważam, żeby Trump był znacznie gorszy od Richarda Nixona. Musimy być poważni i konsekwentni w długiej perspektywie. Zawsze będziemy mieli do czynienia z mieszanką wartości i interesów, powinniśmy być zadowoleni, gdy są one zrównoważone, a nie jest dobrze, gdy jedne przeważają nad drugimi.

Jaka jest Pana ocena polityki wschodniej obecnych władz Polski? Czy dostrzegalne są wyraźniejsze różnice między obecnym rządem a wcześniejszymi?

Można być zadowolonym ze stosunków z Litwą. Byłem naprawdę uradowany, widząc prezydent Litwy Dalię Grybauskaitė składającą życzenia w języku polskim z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. To był duży sukces – coś, czego trudno było się spodziewać wcześniej. Prowadzona jeszcze za Radosława Sikorskiego polityka, choć wtedy nie brakowało napięć, przyniosła wreszcie efekt i można uznać te relacje za sukces. Obrazem tego może być także współpraca militarna w rejonie przesmyku suwalskiego. Myślę wręcz, że stosunki polsko-litewskie przeżywają złoty wiek.

Istnieje natomiast pewna próżnia w zakresie polityki północnej. Polska nie

eprasa.pl ec1b7d5698

znajduje wspólnego języka ze Szwecją, chociaż widać tu potencjał w zakresie współpracy militarnej i dyplomatycznej, szczególnie że za poprzednich rządów były to stosunki dosyć silne, chociażby za Sikorskiego.

Polityka w ramach Grupy Wyszehradzkiej jest bardzo trudna, jednak nie z winy polskiej. Wyszehrad przeżywa kryzys na poziomie fundamentalnym, nie wiadomo, do czego ma właściwie służyć. Perspektywą dla Grupy Wyszehradzkiej jest skupienie się na współpracy w zakresie infrastruktury, a nie spraw ściśle politycznych.

Wielką szansą dla Polski jest Trójmorze, które miało dobry start. Prezydent Trump odwiedził szczyt Trójmorza w Warszawie, co pokazało, że jest ono postrzegane jako ważny projekt zarówno przez Amerykanów, jak i przez Niemców. Austriacy też będą zainteresowani, by do niego z czasem dołączyć. Szczyt Trójmorza był naprawdę imponujący. Jest to przyszłościowa inicjatywa i może odegrać ważną rolę w wypieraniu wpływów chińskich, o które coraz bardziej się niepokoję. Może stanowić alternatywę dla chińskiego 16+1.

Jestem zaniepokojony rozwojem stosunków polsko-ukraińskich. Ich pogorszenie jest po prostu sukcesem rosyjskiego wywiadu, wykorzystującego kwestie trudnej historii. Kijów musi mieć poczucie, że jest w stanie polegać na Polsce w procesie budowania silnego i bezpiecznego państwa. Gdy Ukraina osiągnie ten cel, będzie to bardzo dobra informacja dla Polski. Mam nadzieję, że uda się przezwyciężyć konflikty na tle historii, które są w gruncie rzeczy trywialne.

Edward Lucas jest brytyjskim redaktorem i dziennikarzem, pisarzem oraz specjalistą w zakresie bezpieczeństwa. Od 1986 roku pracował jako korespondent w krajach środkowo- i wschodnioeuropejskich, jako świadek opisywał ostatnie lata zimnej wojny, upadek bloku wschodniego, rządy Borysa Jelcyna oraz dojście Władimira Putina do władzy. Autor czterech książek przetłumaczonych na język polski: *Nowa zimna wojna. Jak Kreml zagraża Rosji i Zachodowi* (Poznań 2008), *Podstęp* (Warszawa 2014), *Operacja Snowden. Kulisy największej katastrofy zachodniego wywiadu* (Warszawa 2014) oraz *Oswoić cyberświat. Tożsamość, zaufanie i bezpieczeństwo w Internecie* (Warszawa 2017).

eprasa.pl ec1b7d5698

Wersalskie oblicze Europy

Z profesorem Markiem Kornatem, historykiem, rozmawia Sonia Knapczyk

SONIA KNAPCZYK: 28 czerwca 1919 roku w Wersalu został podpisany traktat pokojowy z Niemcami kończący I wojnę światową. Koalicja państw zwycięskich, obradując przez rok na konferencji paryskiej, ustaliła nowy ład dla powojennej Europy, mający istotne konsekwencje również dla narodów Europy Wschodniej. Na początek wyjaśnijmy, kim byli decydenci, jakie państwa brały udział w konferencji?

MAREK KORNAT: W konferencji brało udział dwadzieścia siedem państw, a jeśli doliczyć jeszcze pięć dominiów (dawnych kolonii) brytyjskich, mających samodzielność w rozumieniu prawa międzynarodowego, to były to trzydzieści dwa podmioty. Decydującą rolę odgrywało pięć mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych. Drugie określenie odnosi się właściwie do jednego państwa, czyli Stanów Zjednoczonych, które wówczas nie mogły nazwać się państwem sojuszniczym, ponieważ Kongres nie udzieliłby zgody na jakikolwiek sojusz. Wielką piątkę tworzyły trzy mocarstwa europejskie: Francja, Wielka Brytania i Włochy oraz dwa pozaeuropejskie – Japonia, niezainteresowana sprawami europejskimi, i wspomniane Stany Zjednoczone.

Pozostałe dwadzieścia dwa to kraje walczące zbrojnie w wojnie z Niemcami (na przykład Rumunia), państwa nieistniejące na mapach, ale uznane za walczące z Niemcami (przypadek Polski) oraz państwa wojujące na drugorzędnych frontach I wojny światowej (przykładowo Portugalia). Uznanie Polski za alianta było wielkim dyplomatycznym sukcesem Romana Dmowskiego. Wymienione państwa tworzyły koalicję, ale nie były oczywiście sobie równorzędne. Mocarstwa miały po pięciu delegatów (z wyjątkiem Włoch, które dostały trzech), Polska miała dwóch, ale Serbia, walcząca ofiarnie od początku wojny, miała trzech przedstawicieli, tak samo Belgia i Brazylia. Podczas konferencji najistotniejsze konsekwencje dla Europy miało ścieranie się interesów trzech stolic: Paryża, Londynu i Waszyngtonu. Mniejsze znaczenie miały głosy Włoch i Japonii mimo ich formalnego statusu mocarstwowego. Znaczący był także wybór miejsca spotkania. Konferencja odbywała się w Paryżu, co było manifestacją hołdu dla Francji, która poniosła najdotkliwsze ofiary wojenne. Francuski premier Georges Clemenceau został wyznaczony przewodniczącym konferencji, co jednak było funkcją tytularną. Nowością stało się wprowadzenie dwóch równorzędnych języków urzędowych konferencji – francuskiego i angielskiego.

eprasa.pl ec1b7d5698

Dlaczego w tym przypadku mówimy o konferencji paryskiej, a nie o kongresie, który występował wcześniej w historii rozwiązywania konfliktów europejskich?

W odróżnieniu od kongresu westfalskiego (1648 rok) i kongresu wiedeńskiego (1815 rok), na konferencję do Paryża nie zaproszono państw pokonanych. Państwa przegrane miały usłyszeć podyktowane przez koalicję zwycięską warunki pokoju. Oczywiście nie oznaczało to, że pokonani zachowywali się biernie. Niemcom udało się zrewidować pierwsze warunki pokoju i z tego powodu na przykład Gdańsk nie przypadł Polsce, ale stał się wolnym miastem. Nieprzypadkowo użyto określenia konferencja rozumianego jako narada zwycięzców, a zrezygnowano z terminu kongres, bo on miał szerszą definicję i kojarzył się z instytucją działającą jako forum negocjacji warunków pokoju między zwycięzcami i zwyciężonymi, jak na przykład w Wiedniu albo w Paryżu (1856 rok). O rozwiązanie przyjęte w roku 1919 zabiegała głównie Francja, którą poparły Stany Zjednoczone.

Wielkim nieobecnym konferencji była Rosja.

Rosja nie została zaproszona do obrad, ponieważ Imperium Rosyjskie zawłaszczyli bolszewicy. Reżim sowiecki, stawiający sobie za cel wywołanie światowej rewolucji, nie był akceptowany przez pozostałe mocarstwa jako partner w rozmowach. Zwłaszcza Francja wierzyła w rychłą odbudowę „Rosji narodowej", wolnej od komunizmu i wykluczała rokowania z bolszewikami. Prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson zajmował nieco odmienne stanowisko: chciał podjęcia rozmów z bolszewikami. Jednakże druga strona nie wyraziła chęci do dialogu z przedstawicielem światowego kapitalizmu, przeciwko któremu planowano rewolucję. Wielka Brytania podzielała stanowisko francuskie do końca 1919 roku, potem zaczęto myśleć o rokowaniach gospodarczych z Sowietami. Mimo formalnej nieobecności na konferencji Rosjanie poprzez powołaną na uchodźstwie przez polityków niekomunistycznych Rosyjską Konferencję Polityczną kierowali swoje memoranda, zgłaszali ostre protesty przeciwko polskim aspiracjom terytorialnym na wschodzie. Bronili stanu posiadania Rosji – tak jak potrafili.

W jaki sposób toczyły się obrady podczas konferencji?

Pracowano, wykorzystując zarówno innowacyjne formy, jak i rozwiązania sprawdzone na wcześniejszych kongresach. Najważniejszym organem konferencji była Rada Najwyższa składająca się z szefów rządu pięciu mocarstw zwycięskich. Należy pamiętać, że tak naprawdę decydentami byli szefowie trzech mocarstw. Japonia miała swoje interesy przede wszystkim w Azji, a na konferencji paryskiej nie pojawił się premier, ale wyznaczony przedstawiciel rządu tego państwa. Natomiast w geście protestu przeciw niekorzystnym decyzjom dla Włoch premier Vittorio Emanuele Orlando opu-

eprasa.pl ec1b7d5698

ścił Paryż. Skurczona do trzech – Clemenceau, Wilsona i Davida Lloyda George'a – rada funkcjonowała dalej, wydając rozstrzygnięcia w imieniu rady pięciu, ale miała tylko trzech szefów rządów w swym składzie. Drugim ciałem organizacyjnym była rada dziesięciu, w której prócz premierów zasiadali ministrowie spraw zagranicznych pięciu mocarstw. Rada dziesięciu przygotowywała podstawy decyzyjne i warianty dla Rady Najwyższej, która rozstrzygała sprawy. Poza tym podczas konferencji działało wiele komisji specjalnych, powołanych jako ciała eksperckie, gdzie przygotowywano memoranda dla rady dziesięciu.

Funkcjonowała na przykład komisja terytorialna czy komisja do spraw Polski, której przewodniczył francuski dyplomata Jules Cambon. Zresztą kwestia Polski była uznana za jeden z najbardziej newralgicznych problemów do rozwiązania podczas konferencji.

W trakcie obrad widoczne były tarcia na linii brytyjsko-francuskiej.

Tarcia wyłoniły się głównie z konfliktu o przyszły los Niemiec. Francja na czele z antyniemieckim premierem Clemenceau uważała, że Niemcy należy poważnie osłabić, powołując państwo polskie z dostępem do morza i terenami przywłaszczonymi przez Niemców przy rozbiorach Polski. Wszystko po to, żeby Niemcy nie były zdolne do wojny odwetowej. Natomiast rząd brytyjski z Davidem Lloydem George'em uważał, że nadmiernie poszkodowane Niemcy podejmą kiedyś wojnę odwetową. Wilson optował za szerokim wykorzystaniem zasady samostanowienia, uważał także, że Liga Narodów ureguluje spory terytorialne z przeszłości i że stracą one na znaczeniu, co się nie powiodło. Prezydent Wilson pełnił w radzie pięciu funkcję rozjemcy i autorytetu moralnego, którym niewątpliwie wówczas był. Premier Clemenceau (mający wówczas siedemdziesiąt dziewięć lat) przewodniczył, a pięćdziesięcioześcioletni premier Lloyd George był najbardziej energicznym członkiem rady. Nie bez znaczenia dla aktywności był wiek wspomnianych osobistości. Ustalenia w sprawie Polski były efektem starć francusko-brytyjskich przy prowadzeniu mediacji przez prezydenta Wilsona.

Przypomnijmy czytelnikom, kto wchodził w skład polskiej delegacji i z jakim stanowiskiem polscy delegaci jechali na konferencję.

Polsce przypadało dwóch delegatów, podobnie jak Czechosłowacji. Do zajęcia roli delegata zaproszony został Roman Dmowski jako przewodniczący Komitetu Narodowego Polski, mimo że nie piastował funkcji szefa rządu. Dołączył do niego, 6 kwietnia 1919 roku, nowy premier – Ignacy Jan Paderewski, który został z racji pełnionego stanowiska pierwszym polskim delegatem, a Dmowski cofnął się na drugą pozycję. Paderewski był znanym wirtuozem, więc był dużo lepiej kojarzony na arenie międzynarodowej niż polityk gabinetowy i pisarz polityczny, jakim był Dmowski. Zastępczym delegatem

eprasa.pl ec1b7d5698



Sonia Knapczyk

Marek Kornat: Traktat wersalski zostawił Europę Wschodnią w dużej mierze politycznie nieuregulowaną. Tę prowizoryczną i nietrwałą regulację ustalił traktat ryski.

został Władysław Grabski. Polskie stanowisko sformułował Dmowski, który był bezkompromisowo przekonany, że jego program dla Polski był najlepszym z możliwych. Swoje koncepcje zawarł w dwóch memorandach, o granicach zachodnich i wschodnich. Na zachodzie domagał się inkorporacji Górnego Śląska i Śląska Opolskiego, Wielkopolski, Pomorza Gdańskiego z dawnymi księstwami lęborskim i bytowskim oraz miasta Gdańska. Katolicka Warmia oraz Powiśle (z powodów strategicznych) miały również przynależeć do państwa polskiego, natomiast pozostała część Prus Wschodnich miała zostać według koncepcji Dmowskiego przekształcona w protektorat pod auspicjami Ligi Narodów. W kwestii granic wschodnich Polski Dmowski posługiwał się argumentami o istnieniu większości polskiej na danym terytorium (Wilno, Lwów i Grodno), kwestiami wojskowo-strategicznymi oraz przynależności do cywilizacji polskiej (Kamieniec Podolski). Wymyślił teorię linii Dmowskiego, która miała przebiegać podobnie jak późniejsze granice po traktacie ryskim, ale Mińsk i Kamieniec Podolski miałyby zostać po stronie polskiej.

Zaproponowana koncepcja nie rozwiązywała problemu Litwy. Białoruś i Ukraina miałyby zostać podzielone między Polskę a Rosję. Dmowski nie widział również potrzeby istnienia niepodległych państw bałtyckich. Uważał, że Litwinów nie da się spolonizować, więc trzeba dążyć do utworzenia państewka litewskiego pod opieką Polski, w formie protektoratu. Między Dmowskim a Józefem Piłsudskim istniała fundamentalna różnica zdań w sprawie przyszłości Ukrainy. Dla Piłsudskiego zbudowanie Ukrainy związanej sojuszem z Polską było kluczowe dla przyszłości naszego kraju w Europie Wschodniej, samo w sobie przesądzało o układzie sił w tym regionie. Natomiast Dmowski uważał państwo ukraińskie za niepotrzebne, będące naturalnym kandydatem na alianta Niemiec, tworem antypolskim. Oderwanie Ukrainy i związanie jej z Polską byłoby przeszkodą uniemożliwiającą pojednanie polsko-rosyjskie. Prawdę mówiąc, o polskim programie decydował przebieg konferencji i układ sił na niej. Po przybyciu Paderewskiego do Paryża rokowania wchodziły w decydującą fazę, chociaż dopiero 28 czerwca 1919 roku podpisano traktat pokojowy z Niemcami.

W czasie konferencji trwały walki o wschodnie granice Polski. Co uchwalono w tej sprawie?

Wschodniej granicy konferencja nie mogła ustalić. Na papierze można było zapisać wszystko, ale nie byłoby to przecież wiążące dla Sowietów. Polska musiała samodzielnie ustalić granicę wschodnią po zwycięstwie nad bolszewikami. Nie możemy zapominać o konfliktach z Litwinami i Ukraińcami. Z tymi pierwszymi o Wilno i Wileńszczyznę. Z Ukraińcami – o Lwów i Galicję Wschodnią. Jeden i drugi był nieunikniony. Najgorsze było to, że główną bazą narodowego ruchu ukraińskiego była wschodnia Gali-

eprasa.pl ec1b7d5698

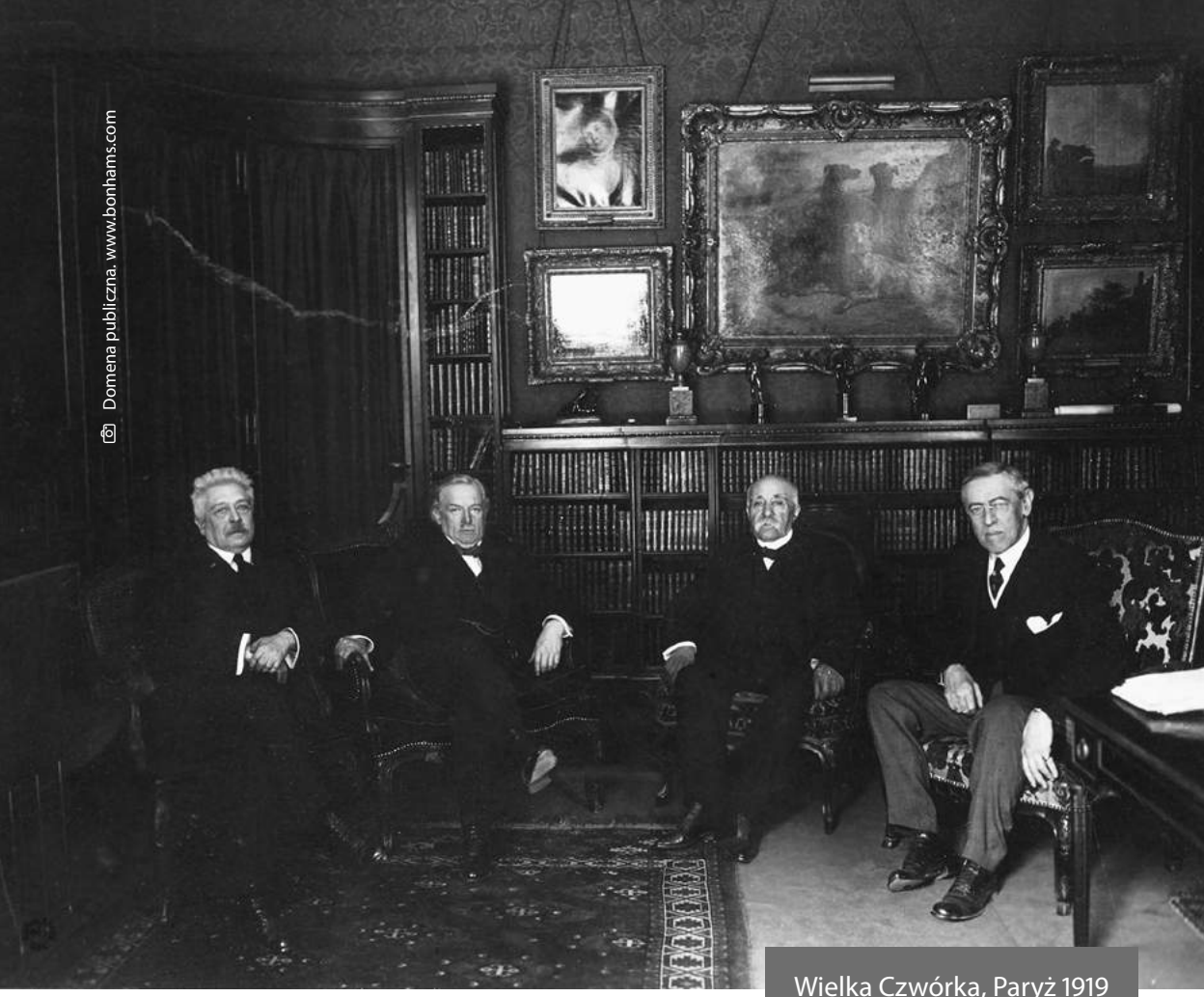
cja, a więc tracąc to terytorium, tracili oni w dużej mierze swe państwowotwórcze możliwości. Konflikt z Litwą natomiast poważnie utrudniał realizację koncepcji bloku bałtyckiego i dawał Niemcom oraz Sowietom dobre narzędzie w walce z Polską. Konferencja w Paryżu zadecydowała o północno-zachodnich granicach Polski. Wielkopolska w wyniku powstania i rozejmu w Trewirze została przejęta przez Polskę jeszcze przed konferencją, która zatwierdziła jej inkorporację. Zapadła decyzja o plebiscycie ludności na Górnym Śląsku. Polska bez zastrzeżeń otrzymała Pomorze Gdańskie, ale bez Gdańska, które miało mieć status wolnego miasta, ale Polacy zachowali możliwość używania portu. Kolejny plebiscyt odbywał się na Warmii i Powiślu, w czasie gdy Sowieci podchodzili pod Warszawę w lipcu 1920 roku. Plebiscyt przegraliśmy, jedynie 10 procent ludności opowiedziało się za przynależnością do Polski. W artykule 87. traktatu mocarstwa zastrzegły sobie uznanie granicy wschodniej Polski, co nastąpiło dopiero w 1923 roku, gdy państwa zachodnie zatwierdziły traktat ryski.

Mniej ważne decyzje dotyczące wschodu odnosiły się do granicy polsko-ukraińskiej i swobód dla Galicji Wschodniej. Latem 1919 roku, gdy dobiegała końca wojna polsko-ukraińska o Galicję Wschodnią, zapadła decyzja mocarstw, że Polska otrzymałaby mandat do objęcia tego regionu z administracją na dwadzieścia pięć lat, a po tym czasie miało się odbyć głosowanie ludności. Skutkiem działań polskiej delegacji decyzja została zmieniona i uchwalono przynależność Galicji Wschodniej do Polski bez zastrzeżeń. Były obawy bolszewizacji tego terenu i marszu Sowietów od wschodu. Najważniejsza była rezolucja z 8 grudnia 1919 roku o linii Curzona, ustanawiająca polsko-sowieckie prowizoryczne rozgraniczenie terytorialne na rzece Bug. Próba narzucenia takiego rozwiązania Polsce nie powiodła się, bo udało się wygrać wojnę z Sowietami.

Jak ustalenia paryskie wpłynęły na pozostałe narody Europy Wschodniej?

Traktat wersalski zapoczątkował serię kolejnych traktatów. Traktaty pokojowe z Austrią w Saint-Germain-en-Laye (10 września 1919 roku) i w Trianon z Węgrami (4 czerwca 1920 roku) miały kolosalne znaczenie dla ukształtowania ładu w Europie na południe od Polski. Uważano, że Czechosłowacja jako nowy byt polityczny powinna składać się z Czech w granicach historycznych Korony Świętego Wacława oraz Słowacji, nazywanej przez Węgrów Górnymi Węgrami. Węgrzy zostali dotkliwie poszkodowani, czego nie są w stanie do dzisiaj zapomnieć. Stosowano zasadę, że zyskiwał ten, kto należał do zwycięzców, a przegrany musiał płacić – także, a może przede wszystkim, stratami terytorialnymi. Rumunia należała do koalicji zwycięskiej, dlatego też zapadła decyzja, choć nie bez dyskusji, o oderwaniu Siedmiogrodu od Korony Węgierskiej i przyłączeniu do Rumunii, również z uwagi na minimalną większość

eprasa.pl ec1b7d5698


Domena publiczna. www.bonhams.com

Wielka Czwórka, Paryż 1919

rumuńską na tym terytorium. Być może, jeśli Siedmiogród i Ruś Zakarpacka zostałyby przy Węgrzech, to inaczej potoczyłyby się losy Europy Środkowej, bo dałoby to podstawy do silnego sojuszu polsko-węgierskiego w dobie międzywojennej.

Dla ukształtowania ładu w Europie Wschodniej ogromnie ważny był los narodów ukraińskiego, białoruskiego oraz małych narodów bałtyckich. Państwa bałtyckie nie były przedmiotem żadnych decyzji konferencji pokojowej. Powstały w rezultacie dezintegracji Imperium Rosyjskiego i skorzystały z polskiego zwycięstwa nad Sowietami. W 1921 roku przyjęto je do Ligi Narodów. Niepodległość zdobyli też Finowie, odpierając próbę bolszewizacji, ale za cenę wojny domowej. Sprawa Ukrainy została przesądzona w wyniku wojny polsko-sowieckiej. Dała ona zwycięstwo Polsce, ale nie takie, aby oderwać Ukrainę od Rosji i związać z Polską sojuszem. Oprócz postanowień, o których już mówiliśmy, w sprawie ukraińskiej konferencja pokojowa zrobiła tylko jedną rzecz. W Sevres (10 sierpnia 1920 roku) podpisano przygotowany wcześniej traktat o niektórych granicach

eprasa.pl ec1b7d5698

w Europie Wschodniej, który powołał do życia pojęcie Galicji Wschodniej jako nowego bytu politycznego. Miała ona być w przyszłości przekazana państwu ukraińskiemu, jeśli ono powstanie. Polska demonstracyjnie nie podpisała tej umowy.

W kwestii aspiracji Białorusinów paryska konferencja stosowała milczenie. Aby to wszystko właściwie zrozumieć, musimy pamiętać, że rządy mocarstw kierowały się pragnieniem restytucji Rosji narodowej, której terytorium nie powinno być przedmiotem przetargów i cesji. Dopiero w 1924 roku zwyciężyła myśl, że narodowa Rosja szybko nie wróci i należy uznać rząd sowiecki, co też uczyniły mocarstwa Zachodu. Ważny zwłaszcza dla Polski był również traktat o międzynarodowej ochronie mniejszości narodowych (z 28 czerwca 1919 roku), zawarty tego samego dnia co traktat z Niemcami. Wiedziano, że nie da się wyznaczyć granic państw narodowych i że zawsze będą w nich mniejszości. Opiekę nad wykonaniem traktatu powierzono Lidze Narodów. Państwa nowo powstałe i pobite miały się godzić na przestrzeganie zapisów traktatu. Grzechem pierworodnym małego traktatu wersalskiego było nierozciągnięcie jego postanowień na wszystkie cywilizowane państwa świata. Nie narzucono go Niemcom. Nie chciały przyjąć jego postanowień mocarstwa zwycięskie, gdyż miały swoje kolonie. W rezultacie traktat obowiązywał narody międzymorskie, był nagminnie wykorzystywany przez silniejszych do dyktowania warunków słabszym. Jego stosowanie zakończyło się klęską. Upokarzał państwa, które go przyjęły. Dla nich był dodatkowym ciężarem, zwłaszcza kiedy któreś z tych państw miało konflikt z silniejszym przeciwnikiem. Polska jako jedyna w praktyce go wypowiedziała.

Jaki jest bilans pokonferencyjny? Jak funkcjonował ład wersalski?

Ład wersalski przetrwał tylko dwadzieścia lat, podobnie jak dopełniający go traktat ryski, ważny dla Europy Wschodniej. Jednak niektóre granice wytyczone postanowieniami konferencji obowiązują do dzisiaj. Przykładowo granica czechosłowacko-niemiecka, stan terytorialny Węgier, granica węgiersko-słowacka, granica rumuńsko-bułgarska. Na gruzach imperiów rozmaite narody uciskane otrzymały prawo, choć na krótko, do budowania państwa narodowego bez pytania o przyzwolenie obcych państw. To wydaje się kluczowym i nieprzemijającym doświadczeniem. Liczne narody otrzymały prawo do stanowienia. Błędne jednak byłoby twierdzenie, że Polacy wszystko zawdzięczają traktatowi wersalskiemu, głównie dlatego, że konferencja nie wytyczyła granic wschodnich. Traktat wersalski zostawił Europę Wschodnią w dużej mierze politycznie nieuregulowaną. Tę prowizoryczną i nietrwałą regulację ustalił traktat ryski. Fakt, że ocalała Rumunia i państwa bałtyckie, jest rezultatem polskiego zwycięstwa nad Rosją. Jeśli chodzi o narody wschodnioeuropejskie, to Polacy są największymi i najbardziej zaspokojonymi beneficjen-

eprasa.pl ec1b7d5698

tami traktatu wersalskiego, chociaż granicę z Niemcami przyjęto z mieszanymi uczuciami. Przed I wojną światową byliśmy największym narodem pozbawionym własnego państwa, szacuje się, że nasz naród liczył 24 miliony ludzi. Trudno ocenić, ilu wówczas było świadomych narodowo Ukraińców.

Narodami, które również skorzystały, byli Rumunii i Bułgarzy. Natomiast w naszym regionie Europy z tego szczęśliwego zwrotu w dziejach świata nie skorzystali głównie Węgrzy, którzy ponieśli największe straty terytorialne. Nie skorzystali z rewolucji geopolitycznej Ukraińcy. Nie osiągnęli celu, najpierw walcząc z Polakami, potem z bolszewikami. Sojusz z Polską ostatecznie się nie powiódł, tak samo jak utworzenie państewka w Galicji Wschodniej. Białorusini również nie mieli szczęścia. Oba te narody doświadczyły traktatu ryskiego jako podziału swojego terytorium narodowego. Niekiedy mówi się o rozbiorach tych państw, co jest jednak nieprecyzyjnym określeniem, bo nie istniały wtedy państwa ukraińskie i białoruskie o uznanych międzynarodowo granicach. Przy traktacie ryskim dokonano arbitralnej regulacji terytorialnej, a Ukraińców i Białorusinów nikt nie pytał o zdanie. Ormianie, Azerowie i Gruzini w 1919 roku ogłosili niepodległość podobnie jak Polacy, korzystając z rozpadu Imperium Rosyjskiego. Jednak niepodległość utrzymały one jedynie przez trzy lata, potem uległy agresji sowieckiej.

Prof. Marek Kornat jest historykiem i sowietologiem. Kierownik Zakładu Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii PAN oraz Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Specjalizuje się w historii najnowszej, zajmuje się głównie historią dyplomacji i stosunków międzynarodowych w XIX i XX wieku, polską polityką zagraniczną w latach 1918–1945, dziejami polskiej i zachodniej myśli sowietologicznej. Autor między innymi książek: *Polityka równowagi (1934–1939). Polska między Wschodem a Zachodem* (Kraków 2007), *Polityka zagraniczna Polski 1938–1939. Cztery decyzje Józefa Becka* (Gdańsk 2012).

eprasa.pl ec1b7d5698

Rosja: wielki nieobecny

Jan Jacek Bruski

Nieobecność Rosji na konferencji paryskiej była specyficzna, bo kładła się głębokim cieniem na zapadające tam decyzje.

Do stołu obrad w Paryżu nie dopuszczono przedstawicieli żadnej ze stron toczącej się na Wschodzie wojny domowej, mocarstwa ententy nie traciły jednak interesów przyszłego państwa rosyjskiego z pola widzenia. Nie chciały w związku z tym podejmować wiążących rozstrzygnięć, które dotyczyłyby obszarów dawnego imperium Romanowów. W 1919 roku alianci nadal wierzyli w ostateczny sukces „białych" i odbudowę silnej Rosji, najlepiej w jakimś zdemokratyzowanym wariancie. Jako jej reprezentanta postrzegano w Paryżu Rosyjską Radę Polityczną skupiającą grono doświadczonych polityków i dyplomatów. Z opiniami tego gremium poważnie się liczono, członkowie Rady rozwijali zaś ożywioną działalność w kuluarach konferencji.

Sytuacja ta rzutowała na perspektywy akcji prowadzonej równolegle przez delegacje emancypujących się „narodowości kresowych" byłego imperium. Wiązały one wielkie nadzieje z Wilsonowskim hasłem samostanowienia narodów. Swoją prawdziwą wartość ten idealistyczny slogan ujawniał jednak w zetknięciu z twardą *Realpolitik* mocarstw. Boleśnie odczuć to mieli między innymi przedstawiciele Ukraińskiej Republiki Ludowej. Warto przyjrzeć się w tym miejscu ich doświadczeniu – zwłaszcza że popełnili oni chyba wszystkie błędy, jakie mogli popełnić w podobnej sytuacji nowicjusze na scenie międzynarodowej. W styczniu 1919 roku wysłano z Kijowa imponującą pod względem liczebnym (blisko sześćdziesiąt osób!) delegację, której powierzono zadanie reprezentowania interesów URL na konferencji paryskiej. Członkowie misji ożywieni byli najlepszymi chęciami, brakowało im jednak doświadczenia i fachowego przygotowania. Była to zresztą bardziej generalna bolączka rodzącej się dopiero ukraińskiej dyplomacji.

Za granicę wysyłano – jak wspominał ówczesny poseł URL w Berlinie – „zasłużonych działaczy społecznych, ludzi znanych ze swej uczciwości, rozumu i patriotyzmu", te kwalifikacje rzadko kiedy jednak wystarczały. Przykładem nietrafionej nominacji okazał się w szczególności sam szef misji wysłanej do Paryża Hryhorij Sydorenko. Były ukraiński minister poczt i telegrafów był wprawdzie gorącym patriotą i przekonanym *samostijnykiem*, nie grzeszył jednak ani rozumieniem dyplomatycznych subtelności, ani przesadnie dobrą znajomością francuskiego. Wiosną i latem 1919 roku zasypywał prezydium konferencji sążnistymi notami i memoriałami – najczęściej jednak odkładanymi *ad acta* przez adresatów i nieczytanymi. Skupiając się na „papierowej dyplomacji", ukraińscy reprezentanci zaniedbywali

eprasa.pl ec1b7d5698

pozyskiwanie realnych wpływów i znajomości, które pomogłyby im przeciwstawić się lobbingowi Rosjan. Na skuteczność zabiegów delegacji negatywnie rzutowały też kontrowersje między jej członkami reprezentującymi Galicję i Wielką Ukrainę. Cele Haliczan i Ukraińców naddnieprzańskich były pod wieloma względami rozbieżne, różnie wyobrażali sobie oni też strategię działania w Paryżu. W praktyce uformowały się dwie odrębne delegacje ukraińskie, pozostające ze sobą w luźnym kontakcie.

Mocarstwa ententy nie traciły interesów przyszłego państwa rosyjskiego z pola widzenia.

Błędy popełnione przez niedoświadczonych dyplomatów tylko po części tłumaczą jednak porażkę, jaką poniosła ostatecznie sprawa ukraińska w Paryżu. Decydującą rolę odegrał negatywny doń stosunek mocarstw, niechętnych podejmowaniu jakichkolwiek decyzji, mogących kolidować z interesami rosyjskimi. Symptomatyczna była postawa szefa francuskiej dyplomacji Stephena Pichona, który kategorycznie sprzeciwiał się dopuszczeniu delegatów Ukrainy do obrad i deklarował: „kwestia ukraińska jest obecnie dla konferencji pokojowej sprawą o trzeciorzędnym znaczeniu". To ostatnie nie było prawdą, służyło jednak jako wygodna wymówka pozwalająca uniknąć dyskusji na temat Ukrainy. Rozmowy z delegatami URL podjęto w Paryżu dopiero na przełomie maja i czerwca 1919 roku – i to jedynie w związku ze sprawą polsko-ukraińskiego rozejmu w Galicji Wschodniej. Rzecz dotyczyła jednak terytorium spadkowego po monarchii habsburskiej. Problemu Ukrainy Naddnieprzańskiej, który mocarstwa uznały za część składową kwestii ogólnorosyjskiej, nie dyskutowano z Ukraińcami ani razu. Oficjalny status delegacji URL nie został nigdy potwierdzony, ograniczała ona zatem swą działalność do pracy informacyjnej oraz półprywatnych konferencji z przewijającymi się przez paryskie salony politykami i lobbystami. Były to, dodajmy, najczęściej postacie dość pośledniego kalibru.

Zwycięska koalicja nie dopuszczała w 1919 roku myśli o poważniejszym okrojeniu terytorialnym Rosji. W pełni akceptowano jedynie niepodległość Polski (ale w granicach *stricte* etnicznych) oraz Finlandii, stopniowo oswajano się też z perspektywą samodzielności republik bałtyckich. Inaczej patrzono jednak w Paryżu na przyszłość ziem białoruskich i ukraińskich, z których utratą nie godził się żaden z ośrodków politycznych „białego" ruchu. Dla niezawisłej Ukrainy (o Białorusi nie wspominając) nie było miejsca w geopolitycznej układance, którą starały się ułożyć mocarstwa. Nie oznacza to, że niepodległościowe wysiłki podejmowane przez narody byłego imperium pozbawione były całkowicie szans. Decydujące znaczenie miał jednak – jak zawsze – argument realnej siły.

Doskonale rozumiał to Józef Piłsudski. Zdając sobie sprawę z ograniczonych możliwości aktywnych polskich działań na odcinku zachodnim, dostrzegał perspekty-

eprasa.pl ec1b7d5698

wy rysujące się przed polityką faktów dokonanych na Wschodzie. „Tu są drzwi – oceniał – które się otwierają i zamykają, i zależy, kto i jak szeroko siłą je otworzy". Trafnie zakładał, iż mocarstwa zaakceptują po pewnym czasie rozstrzygnięcia osiągnięte tą drogą. Siły potrzebnej dla stworzenia trwałych *faits accomplis* Ukraińcom, Białorusinom, narodom Kaukazu jednak zabrakło. O kształcie międzywojennej Europy Wschodniej zdecydowano ostatecznie nie w Paryżu, lecz przy stole polsko-sowieckich rokowań pokojowych w Rydze. Porządek, który wówczas się wyłonił, okazał się jednak nie tylko mało satysfakcjonujący z punktu widzenia narodów położonych pomiędzy Polską a Rosją, ale też nietrwały.

Dr hab. Jan Jacek Bruski jest historykiem, pracownikiem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się dziejami Ukrainy oraz historią stosunków polsko-ukraińskich. Autor książki *Petlurowcy. Centrum Państwowe Ukraińskiej Republiki Ludowej na wychodźstwie (1919–1924)* (Kraków 2004).

Trzy pytania o Wersal

Maciej Janowski

Elity Europy Środkowo-Wschodniej nie umiały wykorzystać niesamowitej szansy stworzonej przez upadek imperiów w 1918 roku.

Najważniejszym pytaniem dotyczącym traktatu wersalskiego nie jest dla mnie to, czy Polska mogła uzyskać więcej. „Więcej" – czyli co? Jeszcze jeden czy dwa powiaty na górnym Śląsku, może region Piły czy Międzyrzecza, które przed drugim rozbiorem należały do Polski, może południowa część Prus Wschodnich, może nawet Gdańsk? Nie o to przecież chodzi – te nabytki nie pomogłyby państwu polskiemu, a może nawet osłabiłby je, zwiększając procent mniejszości. Najważniejsze pytanie brzmi: czy ten traktat, którego postanowienia były w sumie, przy wszelkich zastrzeżeniach, korzystne dla Polski, miał szanse przetrwania – nie przez dwadzieścia lat, lecz przynajmniej tyle, ile porządek wiedeński?

Ogromne wrażenie zrobiło na mnie kiedyś porównanie tych dwóch kongresów, dokonane przez Istvána Bibó. W Wiedniu dopuszczono do obrad Charles-Maurice Talleyranda, przedstawiciela pokonanej Francji; w Wersalu nie pozwolono na udział przedstawicieli państw centralnych. W rezultacie Francja po 1815 roku zaakceptowała nowy system wytworzony przy jej współpracy, a Niemcy (i Węgry) po 1919 roku odrzuciły system narzucony z zewnątrz. Jeśliby naprawdę udało się wciągnąć

eprasa.pl ec1b7d5698

Niemcy (i Węgry) do pracy nad nowym kształtem Europy, to nawet nieco mniej korzystne dla Polski granice zachodnie stokrotnie by się opłaciły, a mniej okrojone Węgry nie stałyby się osią nowych konfliktów. Elementem destabilizującym były także zbyt wysokie reparacje wojenne, na co zwracał uwagę John Maynard Keynes. Oczywiście jedną z podstawowych słabości ładu wersalskiego było pozostawienie Rosji na zewnątrz – chyba nieuniknione w ówczesnej sytuacji, ale bardzo destabilizujące. Niemniej, jeśli demokratyczne Niemcy byłyby jakoś „wintegrowane" w ten system, wtedy okiełznanie zaborczych apetytów Józefa Stalina byłoby może wyobrażalne.

Drugie ważne pytanie: jeśli nie Wersal, to co? Widzę dwie możliwości innego przebiegu dziejów. Oto nie wybucha I wojna światowa (nie musi: jej wybuch nie był konieczny, lecz przypadkowy, czego uzasadnienie pozostawiam do osobnego eseju). Świat pokojowo ewoluuje w kierunku powolnej liberalizacji systemów politycznych i powolnej integracji europejskiej. Wtedy Polacy zyskują powoli coraz większe możliwości działania w ramach trzech coraz liberalniejszych imperiów. Nie mają państwowości; ale skoro tym światem nie rządzi idea państwa narodowego, nie jest to formą dyskryminacji. Sądzę, że byłby to świat o wiele sympatyczniejszy od tego, w którym żyjemy.

I druga możliwość: Królestwo Polskie, odtworzone aktem 5 listopada 1916 roku, funkcjonujące po zwycięstwie państw centralnych w ramach Mitteleuropy pod niemiecką protekcją. Polska w niepełnych granicach etnograficznych (bez zaboru pruskiego i zachodnich części Królestwa) miałaby warunki zdecydowanie gorsze od tych, które uzyskała w świecie rzeczywistym po roku 1918. Czy jednak taki system nie mógłby być *per saldo* korzystny nie tylko dla Polaków, lecz dla wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej? Tylko jeśli zapobiegłby hitleryzmowi (skoro trauma „dyktatu wersalskiego" leżała u podstaw sukcesów Hitlera) i stłumiłby w zarodku rewolucję bolszewicką, a przynajmniej uchroniłby Europę Środkowo-Wschodnią przed jej skutkami. Ale przecież nie wiemy, czy wygrana państw centralnych na wschodzie na pewno zapobiegłaby zwycięstwom hitlerowców i bolszewików. Waham się więc, i pozostawiam to bez odpowiedzi.

Jeśli demokratyczne Niemcy byłyby jakoś „wintegrowane" w system wersalski, wtedy okiełznanie zaborczych apetytów Józefa Stalina byłoby może wyobrażalne.

Wreszcie trzecie pytanie: jak Wersal się sprawdził w Europie Środkowo-Wschodniej? Otóż jeśli nie mamy zbyt wysokich oczekiwań, to możemy uznać, że system – nie tyle wersalski, ile wersalsko-rysko-trianoński – działał dość dobrze. Europa Środkowo-Wschodnia około dwudziestu lat rządziła się jego zasadami i system upadł nie z powodu załamania wewnętrznego, lecz z powodu agresji z zewnątrz, niemieckiej

eprasa.pl ec1b7d5698

i radzieckiej. Był daleki od ideału, w wielu punktach niesprawiedliwy. Nie zapewnił równouprawnienia narodowościom ani swobody aktywności politycznej. Niektóre narodowości, niektóre wyznania, niektóre grupy społeczne czy zawodowe i niektóre nurty polityczne miały silniejszą pozycję niż inne. Powstała chwiejna równowaga nierówności, która pozwalała niektórym wyzyskiwać i prześladować innych. Jednak nawet znajdujący się w najgorszej sytuacji mogli jakoś egzystować. Czy to powód do chwały, czy do krytyki? Szklanka jest do połowy pusta, a od połowy pełna. Zdaje mi się, że w porównaniu z sytuacją u obu totalitarnych sąsiadów nie było najgorzej, tym bardziej że istniały możliwości ewolucji nie tylko w kierunku autorytaryzmu, ale i w kierunku liberalizacji. System polityczny sprzed 1914 roku nie był skazany na upadek, bo można było znaleźć kompromisowe rozwiązania konfliktów, i to samo można powiedzieć o systemie międzywojennym. Nie chodziło przecież o to, aby wszystkich usatysfakcjonować: i Romana Dmowskiego, i Dmytra Doncowa, i Włodzimierza Żabotyńskiego. Wystarczy, aby koszty wszelkich opcjonalnych rozwiązań były dla dużej większości uczestników życia politycznego wyższe niż koszty pozostawania w systemie. To zewnętrzna agresja nie dała szansy, aby taki stan się powoli wytworzył.

Z drugiej strony, powyższe stwierdzenie nie może rozgrzeszyć elit Europy Środkowo-Wschodniej, które nie umiały wykorzystać niesamowitej szansy spowodowanej upadkiem imperiów w 1918 roku. Wiem, było mało czasu – teraz dopiero, kiedy mam pięćdziesiąt pięć lat, widzę, że dwie dekady to mgnienie oka. Aby szansę wykorzystać, politycy musieliby się wykazać dojrzałością i nadludzkimi umiejętnościami – ale są sytuacje, w których nadludzkie umiejętności są niezbędne. Musieliby zrozumieć, że wzajemne konflikty o to, do kogo należeć będzie Wilno, Lwów, Cieszyn, Koszyce, Kluż, Wielki Waradyn czy Ruś Zakarpacka, muszą umilknąć wobec śmiertelnego zagrożenia zewnętrznego ze strony dwóch totalitaryzmów. Czasem nie wystarczy – jak Czerwona Królowa mówiła Alicji, co przypomniał niegdyś w kontekście historii Polski Stefan Bratkowski – biec tak szybko, jak się potrafi, trzeba biec dwa razy szybciej. Wierzę, że choć niesamowicie trudne, nie było to niemożliwe, bo odrzucam przerażającą wizję historii zdeterminowanej.

Prof. Maciej Janowski jest pracownikiem Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla Polskiej Akademii Nauk, gdzie kieruje Pracownią Dziejów Inteligencji. Autor między innymi książki *Inteligencja wobec wyzwań nowoczesności. Dylematy ideowe polskiej demokracji liberalnej w Galicji w latach 1889–1914* (Warszawa 1996).

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA



Paweł Kowal

TESTAMENT PROMETEUSZA

ŹRÓDŁA POLITYKI WSCHODNIEJ III RZECZYPOSPOLITEJ

Do kupienia w sklepie internetowym
kew.org.pl
i najlepszych polskich księgarniach

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego we Wrocławiu

Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk

Nowa Europa Wschodnia

New Eastern Europe

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA

VIVAT
RZECZPOSPOLITA!

w 450 rocznicę podpisania traktatu Unii Lubelskiej



Premierowe wykonanie:

"Missa Te Deum" Krzysztofa Borka (†1573)

utwory instrumentalne z tabulatury Jana z Lublina

Wydawcą jest Stowarzyszenie "Schola Gregoriana Silesiensis"

Wykonawcy:

Trombastic

Chór Sarmacki im. Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego

soliści

kierownictwo artystyczne Robert Pożarski

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

instytut muzyki i tańca

Liturgia.pl

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

Fundacja Dominikański Ośrodek Liturgiczny

New Eastern Europe

Nowa Europa Wschodnia

dwójka POLSKIE RADIO

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA

OBLICZA
DWUDZIESTEGO
PIERWSZEGO
WIEKU

POLINA ŻEREBCOWA

MRÓWKA W SŁOIKU

Dzienniki czeczeńskie 1994–2004

Koniec dzieciństwa z okrutną wojną w tle. Polina Żerebcowa przez dziesięć lat wojen czeczeńskich opisywała w swoim dzienniku dorastanie i młodość w Groznym – mieście zniszczenia, nienawiści i śmierci. W mieście, gdzie każdy mógł stać się wrogiem lub wybawcą, szczególnie gdy – jak Autorka – pochodził z rodziny, w której byli i Czeczeni, i Rosjanie. Polinie Żerebcowej udało się przeżyć i ocalić w sobie człowieczeństwo.



Połączenie dziecięcej wrażliwości z absolutnym literackim, poetyckim słuchem oraz zmysłem obserwacji dało prozę wybitną. Autorka wie, że o doświadczeniach granicznych należy pisać lakonicznie, bez przymiotników: im prościej i mniej, tym lepiej. I straszniej.

Wojciech Górecki
(analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, autor książek o Kaukazie i Azji Centralnej)

Przełożyła z rosyjskiego:
Agnieszka Knyt

Wiersze przełożył:
Michał B. Jagiełło

www.karta.org.pl

E-book dostępny na portalach
ibuk.pl, publio.pl, woblink.pl, virtualo.pl

Dotychczas w serii „Oblicza XXI wieku" ukazała się ***Białoruska ruletka*** Andreja Sannikowa

WYDAWCA
Ośrodek Karta

PATRONAT MEDIALNY
Nowa Europa Wschodnia

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA

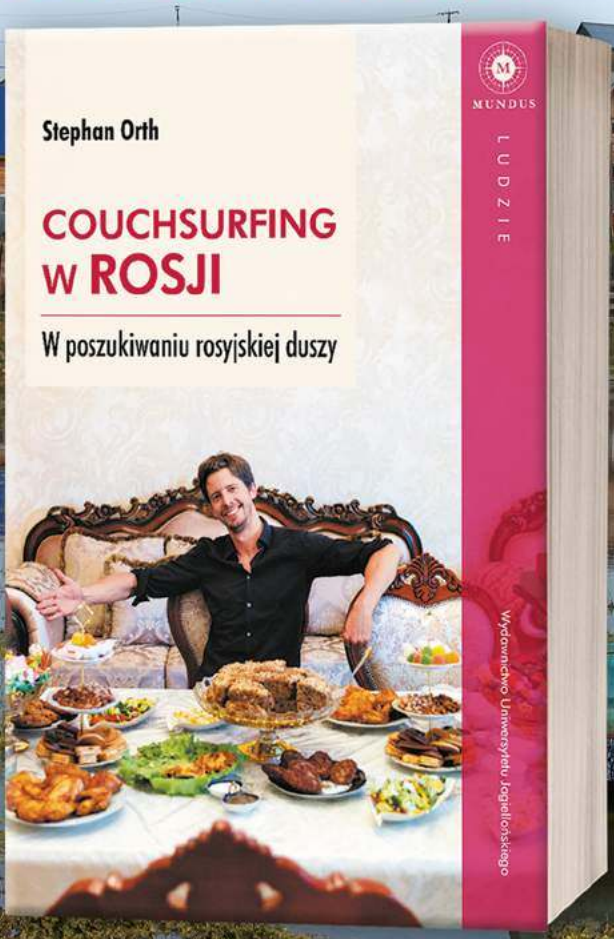
PUBLIKACJA DOFINANSOWANA Z PROGRAMU WSPARCIA PRZEKŁADÓW LITERATURY ROSYJSKIEJ TRANSCRIPT FUNDACJI MICHAIŁA PROCHOROWA
transcript

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA

PULS ŻYCIA MIESZKAŃCÓW NAJWIĘKSZEGO PAŃSTWA ŚWIATA

MUNDUS



Czy 10 tygodni wystarczy, by przekonać się, że Rosja to nie kraj, a stan umysłu? Stephan Orth udowadnia, że Rosjanie to nie tylko miłośnicy wódki, broni palnej i polityki Putina. Są wśród nich także serdeczni melomani, zadeklarowani hippisi i pedantyczni intelektualiści. Każdy ze spotkanych bohaterów stanowi małą, osobistą część obrazu tego ogromnego państwa.

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

ETNO SYSTEM.PL

Nowa Europa Wschodnia

biblioNETka.pl

DOBRE KSIĄŻKI

www.wuj.pl

eprasa.pl ec1b7d5698

Na pograniczu czterech żywiołów

Janusz Mierzwa

Pozycji Polski nie ułatwiała postawa Paryża, który w układzie geopolitycznym stawiał na Czechosłowację. Warszawa ze swoimi postulatami podpieranymi argumentami o charakterze etnicznym była na arenie międzynarodowej osamotniona.

W aspekcie odniesień konferencji wersalskiej do sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej czy nawet bliżej – w stosunku do Polski – truizmem jest stwierdzenie, że stanowiła ona próbę wypracowania nowego ładu europejskiego czy konstytuowała niepodległość Rzeczypospolitej w porządku międzynarodowym. W polskim kontekście zwróciłbym uwagę na mało oczywisty, zapominany często obszar, do którego Polska zgłaszała w Wersalu roszczenia. Pokazuje on z jednej strony złożoność sporów na obszarze pogranicza tożsamego nie tylko z wschodnimi rubieżami II RP, a z drugiej karkołomność oczekiwań wyrażanych pod adresem konferencji wersalskiej o ponowne (powiedeńskie) uregulowanie ładu europejskiego.

Wciśnięty, z polskiej perspektywy, w południowo-zachodni narożnik Śląsk Cieszyński był obszarem pogranicza o skomplikowanej strukturze etnicznej, w której cztery jej elementy – Polacy, Czesi, Niemcy oraz Ślązakowcy – domagały się wpływu na ostateczne rozstrzygnięcia. Te ostatnie dwie społeczności nie mogły liczyć na przyłączenie do państwa narodowego czy suwerenną odrębność tego obszaru, stąd w dominującym sporze polsko-czeskim raczej grały na Pragę. Pozycji Polski nie ułatwiała również postawa Paryża, który w układzie geopolitycznym stawiał na Czechosłowację. Powodowało to, że Warszawa ze swoimi postulatami podpieranymi argumentami o charakterze etnicznym była na arenie międzynarodowej osamotniona. W tle dyskusji odnoszącej się przede wszystkim do struktury narodowościowej spornego terytorium znajdowały się wcale nie mniej istotne głosy dotyczące jego ekonomicznej atrakcyjności. Na rozkład sympatii w tym względzie wpływała także obecność kapitału francuskiego na Śląsku Cieszyńskim. Polskiej pozycji nie wzmacniała sytuacja w lipcu 1920 roku na froncie wojny polsko-bolszewickiej, która ostatecznie skłoniła premiera Władysława Grabskiego do zaakceptowania rozwiązania sporu w postaci arbitrażu (a nie pierwotnie przewidywanego plebiscytu).

Wiele sporów nurtujących Europę Środkowo-Wschodnią zostało przez konferencję wersalską niedomkniętych.

eprasa.pl ec1b7d5698

Po prawdzie jednak decyzja Grabskiego ze Spa była jedynie przyznaniem się do nieposiadania odpowiednio silnych atutów. Deklaracje premiera Paderewskiego w 1919 roku o wsparciu dla dążeń Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego miały w perspektywie plebiscytu podtrzymywać morale, ale w istocie pozostawały bez pokrycia. Jak się wydaje, rząd warszawski decydował się na „odpuszczenie" bogatego w huty i kopalnie Zagłębia Karwińskiego na rzecz skoncentrowania wysiłków dla pozyskania kluczowego ekonomicznie Śląska niemieckiego.

Batalia o Śląsk Cieszyński została przez Polskę przegrana zarówno podczas konferencji wersalskiej, jak i w późniejszej rozgrywce dyplomatycznej. Niemniej losy tego obszaru pokazują, jak wiele sporów nurtujących Europę Środkowo-Wschodnią zostało przez konferencję wersalską niedomkniętych. W późniejszych latach czekały one na dogrywkę albo w skali lokalnej, jak w przypadku Zaolzia w 1938 roku, albo w wielkim stylu, już od września 1939 roku.

Dr hab. Janusz Mierzwa jest historykiem, adiunktem w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatnio wydał *Słownik biograficzny starostów Drugiej Rzeczypospolitej. Tom I* (Łomianki 2018).

Wschodnioeuropejscy zwycięzcy i przegrani I wojny światowej

Piotr Nehring

Wobec zniknięcia carskiej, a następnie demokratycznej Rosji na Wschodzie Francuzi postanowili oprzeć się na sojusznikach zastępczych: Polsce, Rumunii i Czechosłowacji.

Z zakończonej przed stu laty wojny Węgry wyszły mniejsze o dwie trzecie i bez dostępu do morza, a liczba ludności spadła z 21 milionów do 8 milionów. W przeciwieństwie do Polaków, Madziarzy stali się jednym z największych, jeśli nie największym, przegranym, a ich granice ustalone na mocy traktatu w Trianon obowiązują do dziś.

Po I wojnie światowej Europa Środkowo-Wschodnia zmieniła się nie do poznania, a na mapach Starego Kontynentu z roku 1914 i 1922 najbardziej rzuca się w oczy oczywiście brak Austro-Węgier, zajmujących w 1914 roku aż 677 tysięcy kilometrów kwadratowych i zamieszkałych przez 52,5 miliona ludzi wywodzących się z kilkunastu nacji. Prawie połowę stanowili Słowianie, lecz dominowali Austriacy, nazywani często Niemcami austriackimi, oraz Węgrzy. Powstała w 1867 roku dualistyczna monarchia konstytucyjna składała się z Przedlitawii i Zalitawii – pierwsza

eprasa.pl ec1b7d5698

obejmowała tak zwane kraje koronne: Górną i Dolną Austrię, Styrię, Karyntię, Salzburg, Krainę, Triest z okręgiem, Gorycję Gradyską (te trzy prowincje nazywane były Pobrzeżem), Istrię, Tyrol, Voralberg, Czechy, Morawy, Śląsk Austriacki, Galicję, Bukowinę i Dalmację. W skład drugiej noszącej oficjalną nazwę Kraje Korony Świętego Stefana wchodziły Węgry górne i dolne, Siedmiogród oraz Chorwacja-Slawonia i Port Fiume. Trzeci element składowy państwa stanowiła Bośnia i Hercegowina. Skąd wzięły się mało dziś zrozumiałe nazwy Przedlitawia i Zalitawia? Od liczącej 191 kilometrów długości rzeki Litawy dzielącej dwie części cesarskiej i królewskiej (c. i k.) monarchii Franciszka Józefa I oraz jego krótkotrwałego następcy Karola I.

Jedni mieszkańcy liczącego sobie przeszło pięćset lat imperium Habsburgów wyszli na Wielkiej Wojnie i zawartych po niej traktatach lepiej, inni gorzej, a bodaj najgorzej Węgry – do końca grudnia 1918 roku Czesi i Słowacy zajęli Górne Węgry, Rumuni – Siedmiogród. I choć później sytuacja miała się jeszcze na chwilę zmienić, to koniec końców, zmuszając Madziarów do podpisania traktatu pokojowego w Trianon (4 czerwca 1920 roku), alianci „przyklepali" parcelację Węgier stosownie do żądań sąsiadów. Wobec nieszczęsnych „bratanków" zastosowano zasadę „zwycięzcom należą się ziemie pokonanych", choć w tym czasie nie wszystkie wpływowe osobistości ententy były jej zwolennikami.

Po I wojnie światowej Europa Środkowo-Wschodnia zmieniła się nie do poznania.

Największą korzyść z okrojenia Węgier, które z liczącego 325 tysięcy kilometrów kwadratowych terytorium zachowały jedynie 93 tysiące kilometrów kwadratowych, wynieśli Rumuni i całkiem nowe państwo Czechosłowacja – Bukaresztowi przypadł zamieszkany przez rumuńską większość Siedmiogród i kilka innych mniejszych krain, Pradze – ukraińska w większości Ruś Zakarpacka i przede wszystkim dawne Górne Węgry zamieszkane głównie przez Słowaków, których poza podobieństwem mowy niewiele łączyło ze Czechami. Węgry zostały też amputowane od południa, gdzie musiały oddać Chorwację-Slawonię Królestwu SHS (Serbów, Chorwatów i Słoweńców) kolejnemu nowemu państwu na mapie Europy. W jego skład weszła też Bośnia i Hercegowina, dawne austriacko-węgierskie kondominium. Niewielkie obszary Węgier dostały się republice Austrii i Polsce.

Polska, Czechy i zwłaszcza Rumunia bardzo skorzystały na zaliczeniu ich do obozu zwycięzców, co w 1918 roku wcale nie musiało się wydawać oczywiste. Rumuni przystąpili wprawdzie do wojny po stronie ententy w sierpniu 1916 roku, ale ponieśli klęskę i w maju 1918 roku zostali zmuszeni do podpisania separatystycznego pokoju z państwami centralnymi. Włączając się do wojny 10 listopada 1918 roku, rzutem na taśmę stały się ponownie państwem alianckim. Czesi z kolei w pierwszej

eprasa.pl ec1b7d5698

fazie konfliktu wcale nie rwali się do niepodległości. W dużej mierze zawdzięczali ją trójce swoich wybitnych polityków – Tomášowi Masarykowi, Edvardowi Benešowi i Karelowi Krámářowi – którzy dzięki swej energicznej działalności, przede wszystkim na Zachodzie, krok po krok uzyskiwali od aliantów coraz większe poparcie, aż do uznania niepodległości (ogłoszonej w Paryżu przez Radę Narodową 18 czerwca 1918 roku) i połączenia się w jednym państwie ze Słowakami.

Jeśli wobec Rumunów, Czechów, Słowaków czy Jugosłowian polityka Paryża, Londynu i Waszyngtonu była dość zgodna, to wobec Polaków już nie. Słynny 13. punkt programu pokojowego prezydenta Woodrowa Wilsona mówił o wskrzeszeniu Polski, ale na obszarach, gdzie ludność etnicznie polska stanowiła przytłaczającą większość, to znaczy co najmniej bez późniejszych Kresów Wschodnich, choć z dostępem do morza. Przywódcy Francji i zarazem zapiekli wrogowie Niemiec – premier Georges Clemenceau, prezydent Raymond Poincaré czy marszałek Ferdinand Foch byli nam przychylni, czego nie można powiedzieć o brytyjskim premierze, Walijczyku, Davidzie Lloydzie George'u. Podczas rozpoczętej 18 stycznia 1919 roku konferencji pokojowej w Paryżu Francuzi i Brytyjczycy dążyli do takiego stłamszenia Niemców, żeby na długo, a najlepiej na zawsze, zapomnieli oni o ewentualnym odwecie. Już jednak w marcu Lloyd George przypomniał sobie o tradycyjnej polityce brytyjskiej dążącej do równowagi sił na kontynencie i doszedł do wniosku, że bez normalnie funkcjonującej gospodarki niemieckiej Europa nie stanie na nogi. Odtąd nie popierał już bezwzględnie antyniemieckich zabiegów Francuzów i chciał między innymi Polski małej, kończącej się na wschodzie na linii Curzona, czyli mniej więcej na swej dzisiejszej granicy, a po fiasku interwencji Zachodu po stronie białych Rosjan myślał o dogadaniu się z bolszewikami.

Stało się inaczej. Polska również okazała się wielkim wygranym wojny – dzięki rozpadowi Austro-Węgier odzyskała ziemie zabrane jej w XVIII wieku przez Habsburgów, karabinem i dyplomacją odebrała od Niemiec Wielkopolskę, Pomorze Gdańskie, Kujawy i część Górnego Śląska, a na wschodzie uzyskała granicę odpowiadającą z grubsza linii pierwszego zaboru rosyjskiego. To ostatnie stało się możliwe dzięki zwycięstwom pod Warszawą i nad Niemnem w sierpniu i wrześniu 1920 roku. Wobec zniknięcia carskiej, a następnie demokratycznej Rosji na Wschodzie Francuzi postanowili oprzeć się na sojusznikach zastępczych, czyli wspieranych przez siebie Polsce, Rumunii i Czechosłowacji. Niestety wystarczyły dwa dziesięciolecia, by ciałem stały się słowa marszałka Focha, który po ustaleniu warunków traktatu wersalskiego proroczo nazwał pokój „rozejmem na dwadzieścia lat".

Piotr Nehring jest dziennikarzem i publicystą. Absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1989–2016

eprasa.pl ec1b7d5698

dziennikarz i redaktor „Gazety Wyborczej" i współtwórca jej magazynu „AleHistoria". Niedawno wydał książkę *Zapomniani żołnierze niepodległości* (Gliwice 2018).

Obalić bolszewików

Jan Pisuliński

Litwini, Łotysze, Estończycy, Gruzini Ormianie czy Ukraińcy byli tylko wówczas wysłuchiwani w Paryżu, gdy mogli doraźnie wnieść jakiś wkład do upadku bolszewizmu.

Formalnym celem konferencji paryskiej było przygotowanie traktatów pokojowych z państwami pokonanymi. W niewielkim stopniu dotyczyło to więc Europy Wschodniej. W zasadzie jedynymi konkretnymi postanowieniami odnoszącymi się do tego regionu było zawarte w traktacie wersalskim rozgraniczenie pomiędzy Niemcami a Litwą oraz powołanie Wolnego Miasta Kłajpeda, które to rozwiązanie przetrwało zaledwie cztery lata.

Konferencja miała jednak szersze ambicje stworzenia ładu międzynarodowego, który skutecznie zapobiegnie przyszłym wojnom. Zgromadzeni tam przywódcy mocarstw nie mogli być więc obojętni na to, co działo się na wschodzie Europy po upadku caratu. Z ich perspektywy był to niebezpieczny chaos, grożący destabilizacją powstającego nowego ładu, którego Rosja mogła być ważnym elementem. Z oczywistych więc względów najważniejszym celem wszystkich przywódców mocarstw było obalenie bolszewików i odbudowa silnej Rosji. Jednakże wyczerpane czteroletnią wojną mocarstwa nie zamierzały angażować się w konflikt same, stąd szukano sił, które będą w stanie obalić bolszewików. Uznano, że tylko biali Rosjanie są do tego zdolni, gdyż poza nimi siłą dysponowały jedynie narody nierosyjskie, którym bardziej zależało na zbudowaniu własnej państwowości w możliwie jak najlepszych granicach niż na walce z bolszewikami. W tym tkwił główny problem, ponieważ ci Rosjanie, którzy podjęli walkę, jak Nikołaj Judenicz, Anton Denikin czy Aleksander Kołczak, dążyli do odrodzenia jednej i niepodzielnej Rosji. Nie zamierzali uznać nie tylko niepodległości, ale nawet autonomii narodów nierosyjskich i jakichkolwiek rozwiązań federacyjnych, a na zajętych terenach prześladowali działaczy niepodległościowych. Gotowi byli zaakceptować jedynie odrębność Finlandii i Polski, tej ostatniej jednak tylko w granicach dawnego Królestwa Polskiego (bez Chełmszczyzny) i bez wschodniej Galicji. Nie chcąc osłabiać pozycji białych, alianci zaakceptowali te warunki.

eprasa.pl ec1b7d5698

Wiązała się z tym też pokutująca na Zachodzie niewiara w zdolności państwowotwórcze małych na ogół (poza Ukraińcami) i skonfliktowanych wzajemnie narodów, pączkujących u zachodnich i południowych granic dawnej Rosji. Litwini, Łotysze, Estończycy, Gruzini Ormianie czy Ukraińcy byli tylko wówczas wysłuchiwani w Paryżu, gdy mogli doraźnie wnieść jakiś wkład do upadku bolszewizmu. Stąd również zaangażowanie mocarstw w próby rozwiązania konfliktu polsko-ukraińskiego o Lwów czy polsko-litewskiego o Wilno, które odciągały od walki z Sowietami.

Ponieważ jednak alianci nie zamierzali się angażować militarnie na Wschodzie, nie mieli wiele do zaoferowania potencjalnym sprzymierzeńcom. Znane stwierdzenie Piłsudskiego z listu do premiera Paderewskiego, że o ile w kwestii granicy zachodniej jesteśmy w dziesięciu dziesiątych zależni od mocarstw, o tyle na wschodzie dostaniemy to, co sami wywalczymy, było w praktyce realizowane przez pozostałe „limotrofy". Wolały one stawiać na własne siły i metodę faktów dokonanych, niż biernie oczekiwać na decyzje paryskie, na które nie miały wpływu. Żadne rysowane przez aliantów linie Berthelemiego, Bothy czy Focha nie stały się więc podstawą pacyfikacji w regionie. Zaproponowane przez mocarstwa rozwiązania albo były od razu odrzucone, albo nie przetrwały długo. Należy mieć też świadomość, że gdyby to zależało tylko od mocarstw, wschodnia granica państwa polskiego przebiegałaby na Bugu. Rozpoczęta w styczniu 1919 roku konferencja pokojowa trwała tylko do końca roku. Gdy kończono obrady, przekazując dalsze decyzje konferencji ambasadorów, sytuacja na wschodzie kontynentu była wciąż zagmatwana i nierozstrzygnięta. Stąd ostateczne postanowienia dotyczące granic rozstrzygały się i zapadały nawet znacznie później.

Konferencja paryska miała ambicje stworzenia ładu międzynarodowego, który skutecznie zapobiegnie przyszłym wojnom.

Tak więc w kontraście do reszty Europy konferencja pokojowa w Paryżu mimo wysiłków Georgesa Clemenceau, Davida Lloyda George'a czy Woodrowa Wilsona nie miała specjalnego wpływu na to, co się działo na wschodzie kontynentu. Byłbym więc raczej skłonny zgodzić się z propagowanym przez Marka Kornata określeniem ład wersalsko-ryski. Traktat zawarty w Rydze miał ostatecznie większe znaczenie dla układu sił w tej części Europy niż decyzje zapadające w odległym Paryżu.

Dr hab. Jan Pisuliński, prof. Uniwersytetu Rzeszowskiego jest kierownikiem w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego.

eprasa.pl ec1b7d5698

Bałkany – tam, gdzie Wersal nie sięgał

Krzysztof Popek

Traktat wersalski oznaczał pokój dla Europy Zachodniej, w pozostałych częściach kontynentu wciąż trwały konflikty.

Pierwsza wojna światowa podzieliła Półwysep Bałkański między dwie strony konfliktu. Serbia, Czarnogóra, Rumunia i Grecja opowiedziały się po stronie ententy, Bułgaria i Turcja dołączyły do Niemiec i Austro-Węgier. Koniec Wielkiej Wojny oznaczał różne doświadczenia dla narodów regionu. Jedni musieli walczyć o wyegzekwowanie bądź obalenie traktatów pokojowych, inni wykorzystali ten czas na jednoczenie i budowanie porozumień, trzecia droga związana była z biernością i akceptacją postanowień kończących konflikt.

Grecja włączyła się do I wojny światowej dopiero w 1917 roku i już rok później była przekonana, że złapała Pana Boga za nogi. Liczyła na przyłączenie małym kosztem nowych terytoriów i urzeczywistnienie Megali Idea – koncepcji odtworzenia Cesarstwa Bizantyjskiego. Zajęcie Tracji aż pod bramy Stambułu przebiegło gładko, następnie w 1919 roku wkroczono do zachodniej Anatolii. Traktat w Sèvres z 1920 roku ograniczał Imperium osmańskie do północno-środkowej Anatolii, a obszary okupowane przez Greków włączał oficjalnie w granice ich państwa. Traktat wprawdzie został ratyfikowany przez sułtana w Stambule, jednak w Ankarze siły pod wodzą Mustafy Kemala (późniejszego Atatürka) odrzuciły te postanowienia. Mocarstwa zachodnie nie kwapiły się do ingerencji. Na placu boju pozostali Grecy, którzy do 1923 roku zostali wyparci przez Turków z Azji Mniejszej. Traktat w Sèvres został przekreślony, a Turcja nie tylko utrzymała całą Anatolię, ale i odzyskała kontrolę nad Stambułem i wschodnią Tracją. Dla Turków wojna lat 1919–1923 przeszła do historii jako wojna o niepodległość, dla Greków jako katastrofa małoazjatycka.

Rumunom, w przeciwieństwie do Greków, udało się zrealizować projekt zjednoczenia wszystkich ziem i ziścić sen o Wielkiej Rumunii. Pod kontrolę Bukaresztu przeszła Transylwania, Dobrudża Południowa oraz Besarabia. Rumuni nie mogli jednak szybko spocząć na laurach. Utworzona w marcu 1919 roku Węgierska Republika Rad sprzeciwiała się utracie Siedmiogrodu oraz innych ziem Korony Świętego Stefana. Reżim Béli Kuna odrzucił warunki zwycięzców, będąc pewnym wsparcia ze strony bolszewickiej Rosji. Rumunia nie chciała znaleźć się między dwoma komunistycznymi państwami roszczącymi pretensje terytorialne wobec jej ziem. Wybuchła wojna rumuńsko-węgierska, do sierpnia 1919 roku trwały walki, które zakończyły się sukcesem armii rumuńskiej oraz zajęciem Budapesztu. Na Węgrzech komuniści utracili władzę na rzecz prawicy z Miklósem Horthym na czele, która z bólem

eprasa.pl ec1b7d5698

zgodziła się na postanowienia z Trianon. Polacy i Rumuni w podobny sposób witali kres Wielkiej Wojny – pierwsi walczyli z najazdem komunistów ze wschodu, drudzy zniszczyli „gniazdo bolszewizmu" w sercu Europy Środkowej.

Zakończenie wojny przyniosło pokój Serbom, narodowi, który obok Belgów najbardziej wykrwawił się od 1914 roku. Czekały ich dodatkowe korzyści. Chorwaci i Słoweńcy wyskoczyli z tonącego okrętu Austro-Węgier i w obawie przed pretensjami włoskimi oddali się pod protekcję Belgradu, wspólnie tworząc Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, późniejszą Jugosławię. Słowianie południowi stali się jednymi z głównych beneficjentów postanowień z 1918 roku oraz rozpadu Austro-Węgier. Pokój i w tym przypadku wisiał na włosku, co było związane z roszczeniami Włochów wobec wybrzeża adriatyckiego. W obawie przed powrotem do regionu Habsburgów udało się uniknąć kolejnej wojny w Europie Południowo-Wschodniej. Widmo konfliktu jednak wciąż unosiło się nad Jugosławią.

Listopad 1918 roku oznaczał spokój również dla wyczerpanych wojną Bułgarów, jednak miał on zupełnie inne zabarwienie. Zmęczenie społeczeństwa, wcześniejsze zaangażowanie w dwie wojny bałkańskie także zakończone niepowodzeniami, bunty żołnierzy oraz status najsłabszego ogniwa Czwórprzymierza nie pozostawiły pola do negocjacji decydentom z Sofii. Przystali oni na surowy traktat z Neuilly, na mocy którego państwo okrojono na rzecz Rumunii, Grecji i Królestwa SHS. Rok 1918 przeszedł w historii narodu bułgarskiego jako druga klęska narodowa – pierwszą była porażka w II wojnie bałkańskiej, trzecia czekała na nich po II wojnie światowej. Neuilly jest bułgarskim Trianon, a Bułgarzy do dziś nie mogą pogodzić się z rezultatami konfliktów pierwszej połowy XX wieku.

Kocioł bałkański ponownie zakipiał, a narody bałkańskie rzuciły się sobie do gardeł.

Na marginesie postanowień pokojowych pozostawała Albania, formalnie utworzona po I wojnie bałkańskiej w 1912 roku, faktycznie jako państwo nie istniała przez cały okres Wielkiej Wojny. Rząd centralny był fikcją, w różnych regionach toczyły się walki między klanami albańskimi, terytorium przechodziło z rąk do rąk. Zwycięstwo ententy wzbudziło apetyty państw ościennych: Królestwo SHS i Grecja planowały podział ziem albańskich, Włochom marzyła się kolonia na drugim wybrzeżu Adriatyku. Ostatecznie Albania zachowała niepodległość i powróciła do trudnego procesu budowania nowoczesnej państwowości, brutalnie przerwanego przez serię konfliktów drugiej dekady XX wieku – zarówno tych zewnętrznych, jak i wewnętrznych.

W 1918 roku wojna nie skończyła się dla Polaków walczących o kształt granic niepodległego państwa, nie skończyła się także dla wielu mieszkańców Bałkanów. Traktat wersalski oznaczał pokój dla Europy Zachodniej, w pozostałych częściach wciąż

eprasa.pl ec1b7d5698

trwały konflikty. Zmęczeni i niezdolni do kontynuowania wojny alianci pozostawili egzekwowanie postanowień pokojowych najbardziej zainteresowanym. Kocioł bałkański ponownie zakipiał, a narody bałkańskie rzuciły się sobie do gardeł – Grecy walczyli z Turkami, Rumuni z Węgrami. Z drugiej strony rok 1918 był momentem najważniejszego w historii regionu projektu integracyjnego: narodzin Jugosławii. Serbowie, Chorwaci i Słoweńcy w obliczu wspólnego zagrożenia zamknęli oczy na wzajemne różnice i stworzyli jedno państwo. Państwo, które jednak szybko okazało się za małe dla zamieszkujących je narodów. Obok wojny i budowania sojuszu istniała i trzecia droga. Wycieńczeni serią wojen i porażek Bułgarzy nie mieli sił sprzeciwić się dyktatowi zwycięzców i zaakceptowali okrojenie granic swojego państwa. Ich los, podobnie jak los Albańczyków, pozostał w rękach wielkich mocarstw, które traktowały kwestie bałkańskie jako swoje wewnętrzne sprawy.

Krzysztof Popek jest historykiem, doktorantem na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie realizuje badania z zakresu historii mniejszości, migracji oraz związków słowiańskich w XIX wieku. Specjalizuje się w tematyce Europy Południowo-Wschodniej. Redaktor strony internetowej „Nowej Europy Wschodniej".

Natura gry i motywy najważniejszych graczy

Przemysław Żurawski vel Grajewski

Wrogami rodzącego się porządku wersalskiego były Niemcy i Rosja Sowiecka. Kto się z nimi sprzymierzał – tracił poparcie Zachodu, kto z nimi walczył – zyskiwał je tym bardziej, im bardziej skuteczny był w tej walce. W połowie 1919 roku konkurencję tę zaczęła wygrywać Polska.

Zgromadzone w Paryżu wielkie mocarstwa rozstrzygały o porządku w Europie po I wojnie światowej. Sytuację komplikowała rewolucja i wojna domowa w Rosji. Konferencję paryską zwołano, by ustanowić warunki pokoju z Niemcami, Austrią, Węgrami, Bułgarią i Turcją, a nie decydować o losach Imperium Rosyjskiego – sojusznika ententy. Alianci czuli się upoważnieni, aby dysponować terytoriami pokonanych wrogów, a nie sprzymierzonej Rosji, na której „odrodzenie" oczekiwali do końca 1919 roku. Rosja „biała" nie wyłoniła jednak stabilnego rządu, „czerwona" zaś podpisała z mocarstwami centralnymi separatystyczny pokój w Brześciu

eprasa.pl ec1b7d5698

Litewskim (3 marca 1918 roku). Biali obiecywali utrzymać Rosję w wojnie, dostali więc poparcie aliantów, przeciw czerwonym udającym pacyfistów. Pokój brzeski pozwolił Niemcom na przerzucenie na front francuski kilkudziesięciu dywizji, co skutkowało wielkimi niemieckimi ofensywami na zachodzie w 1918 roku i ponad 1,46 miliona zabitych i rannych po obu stronach. Uwolnienie armii kajzera do uderzenia na Paryż określało stosunek Republiki do puczu Lenina dokonanego w asyście niemieckiego wywiadu. Francja toczyła wojnę z Niemcami i każdy „dezerter" ze wspólnego szeregu „winien być rozstrzelany". Bolszewicy wykluczyli Rosję z grona aliantów i przerobili ją z sojusznika Francji na jej wroga. Otwierało to przed Polską i innymi narodami Imperium Rosyjskiego zamknięte dotąd możliwości uzyskania poparcia ze strony ententy.

Po odpadnięciu Rosji gra toczyła się między USA, Wielką Brytanią, Francją i Włochami a państwami pokonanymi, wśród których mocarstwem pozostały tylko Niemcy. Chaos w Rosji i wojny na kresach upadłego imperium Romanowów oraz walki o schedę po Habsburgach dopełniały obrazu sytuacji. Walczyli Rosjanie biali z czerwonymi, walczyli wspierani przez Niemców Finowie biali z czerwonymi wspieranymi przez bolszewików, Estończycy i Łotysze z bolszewikami oraz z Niemcami bałtyckimi wspieranymi z Rzeszy i z białymi formacjami rosyjskimi generała Bermondta Awałowa, z którymi starli się też Litwini walczący z Polakami, którzy z kolei bili się z Ukraińcami zachodnimi (na poważnie) i dosyć pasywnie z naddnieprzańskimi, z którymi ostatecznie się sprzymierzyli, walcząc poza tym z „czerwoną" Rosją, Niemcami i Czechami. Ukraińcy walczyli z obiema Rosjami, Polską i Rumunią, mając jeszcze na swym terytorium anarchistów Nestora Machny walczących ze wszystkimi. Rumuni starli się z Węgrami, którzy bili się z Czechosłowacją, i z Serbami, u których ochrony przed ekspansjonizmem włoskim szukali Słoweńcy i Chorwaci. Grecy walczyli z Turkami, wspierając Francuzów w interwencji na Ukrainie na rzecz białych Rosjan.

W tym galimatiasie usiłowali rozeznać się główni decydenci: prezydent Stanów Zjednoczonych Thomas Woodrow Wilson oraz premierzy Georges Clemenceau (Francji), Vittorio Emanuele Orlando (Włoch). Lloyd George mylił Galicję (ang. Galicia) lub Śląsk (ang. Silesia) z turecką Cylicją (Cilicia) i pytał, skąd do niej polskie pretensje, żaden zaś z wymienionych nie potrafił odróżnić wymowy polskiej od ukraińskiej i odgadnąć po nazwisku, kto kogo reprezentuje (Wytwyćkyj czy Witwicki, Hołubowycz czy Hołubowicz, Tyszkewycz czy Tyszkiewicz, Szeptycki czy Szeptyćkyj i tak dalej). Pytali więc, dlaczego obie delegacje domagają się od mocarstw wsparcia w materiale wojennym po to, by ich uzbrojeni przez aliantów żołnierze „wzięli udział w jakiejś kłótni we Lwowie", w sytuacji gdy armia bolszewicka podbija Ukrainę i maszeruje w kierunku Galicji.

eprasa.pl ec1b7d5698

Wrogami rodzącego się porządku wersalskiego były Niemcy i Rosja Sowiecka. Kto się z nimi sprzymierzał – tracił poparcie Zachodu, kto z nimi walczył – zyskiwał je tym bardziej, im skuteczniejszy był w tej walce. W połowie 1919 roku konkurencję tę zaczęła wygrywać Polska. Dla zgromadzonych w Paryżu przywódców mocarstw było jasne, że jeśli Sowieci przejdą Karpaty, „bolszewicy rosyjscy połączą się z bolszewikami węgierskimi" z Węgierskiej Republiki Rad (od 21 marca do 1 sierpnia 1919 roku). Ważyło to na spojrzeniu konferencji paryskiej na wojnę polsko-ukraińską o Lwów, tym bardziej że Haliczanie (Ukraińcy zachodni) kupowali od komunistów węgierskich broń w zamian za ropę naftową. Rekrutowali też oficerów kontraktowych Austriaków, czyli w oczach konferencji paryskiej – Niemców. Trudno było o gorszy politycznie ruch dla kogoś, kto zabiegał o przychylność ententy. Zawarcie przez Haliczan rozejmu z bolszewikami, odsłonięcie tym samym skrzydła petlurowców na Wołyniu na atak Armii Czerwonej i uderzenie Armii Halickiej na Polaków, oddzielających czerwoną Rosję od Niemiec i od czerwonych Węgier, było dokładną odwrotnością tego, czego alianci oczekiwali od narodów ubiegających się o ich poparcie.

Wysiłek narodów środkowoeuropejskich spleciony z interesami mocarstw rozstrzygnął o kształcie porządku wersalskiego w naszej części Europy.

Brytyjczycy, nie chcąc hegemonii jednego mocarstwa w Europie, grali przeciw wzmocnieniu Francji, ale bez wzmacniania Niemiec. Nie mogli zgodzić się na włączenie Austrii czy Sudetów do Rzeszy. Powiększenia Niemiec nikt by nie zniósł. Mogli jednak przeciwdziałać ich „nadmiernemu" pomniejszaniu i robili to kosztem Polski – głównego sojusznika Francji. Zasada historyczna, zastosowana wobec Rzeczypospolitej, wiodłaby do dalszego osłabiania Niemiec w wyniku powrotu Polski na zachodzie do granic z 1772 roku z dodatkiem Górnego Śląska i Mazur. Zastosowano więc zasadę etniczną, odmawiając Polsce Gdańska i Piły oraz północnej Warmii i organizując plebiscyty na Śląsku, w południowej Warmii i na Mazurach. Użycie tej samej zasady wobec Czech doprowadziłoby do powiększenia Niemiec, więc w odniesieniu do ziem czeskich przyjęto zasadę historyczną, co z kolei wiodło do konfliktu z Polską o Śląsk Cieszyński. Londyn w obawie przed hegemonią francuską zwalczał dążenia polskie, traktując je jako wzmocnienie pozycji Francji. Paryż zaś popierał każdego, kto miał jakiekolwiek pretensje terytorialne wobec Niemiec.

W 1919 roku ententa wygrała z Niemcami „konkurs" na obrońcę narodów środkowoeuropejskich przed bolszewizmem, Polska zaś na głównego alianta Francji i filar porządku wersalskiego na Wschodzie. W tym drugim konkursie wzięły udział cztery państwa: „biała" Rosja jako faworyt, Polska jako *second best solution*, Czechosłowa-

eprasa.pl ec1b7d5698

cja (niezniszczona działaniami wojennymi i z silnym przemysłem zbrojeniowym po Austro-Węgrzech), oraz Ukraina – najsłabsza i najszybciej wyeliminowana z gry. Klęska „białej" Rosji wyprowadziła Moskwę z grona sojuszników Zachodu i na jej miejsce wprowadziła Polskę.

Wysiłek narodów środkowoeuropejskich spleciony z interesami mocarstw rozstrzygnął o kształcie porządku wersalskiego w naszej części Europy. Jego beneficjentami była Polska, Czechosłowacja, Rumunia i państwa bałtyckie, wrogami Niemcy, Rosja Sowiecka i odstające od nich potencjałem, głęboko skrzywdzone Węgry. Największymi przegranymi byli zaś Ukraińcy i Białorusini.

Dr hab. Przemysław Żurawski vel Grajewski, prof. Uniwersytetu Łódzkiego jest politologiem, wykładowcą akademickim i publicystą. Od 2014 roku członek rady programowej Prawa i Sprawiedliwości, a w 2015 roku był członkiem Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie Andrzeju Dudzie. Zasiadał również w gabinecie politycznym ministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego.

eprasa.pl ec1b7d5698

Semipałatyńsk
Sprawy nieludzkie

Wojciech Górecki

Wokół epicentrum przyszłego wybuchu wytyczano okrąg i cały obszar dzielono na sektory w taki sposób, w jaki dzieli się tort. W poszczególnych sektorach umieszczano: zwierzęta, samochody, samoloty, przeróżną wojskową technikę. Wznoszono budynki, schrony, wieże. Powstawały nawet próbne stacje metra. Celem było zbadanie, jak to wszystko wytrzyma falę uderzeniową.

Normalne jak u noworodka nogi, ręce – stopy i dłonie po pięć paluszków – tułów. Siusiak. Tylko głowa nie z tego świata, tkwi w tułowiu niczym śruba w kołku rozporowym. Jakby ktoś wepchnął ją tam na siłę. Od tego nacisku – domniemanego, choć niewyobrażalnego – usta wydęło na prawo i lewo, a nos spłaszczył się do rozmiaru pryszcza. Nad tym niby nosem ulokowało się samotne, pozbawione powieki oko.

Cyklop. Cyklopi osesek.

Stwory ze średniowiecznych imaginariów miały się rodzić właśnie tutaj, na bezkresach Azji, za siedmioma górami i niejednym morzem. I rodziły się. W drugiej połowie XX wieku.

Rodzą się do dziś.

Muzeum potworów

Zanurzony w formalinie cyklopek stoi obok setki innych eksponatów w laboratorium katedry anatomii Państwowego Uniwersytetu Medycznego miasta Semeja, dawnego Semipałatyńska. Okoliczni mówią o tym miejscu „muzeum potworków". Ale żadnego muzeum nie ma, tylko jedna sala, w której przyszli medycy oglądają wypreparowane tkanki i organy. Bo cyklopek czy sąsiadujący z nim niemowlak z monstrualnym wodogłowiem to wyjątki, zaś na półkach dominują słoiki z nierozpoznawalnymi dla laika wycinkami serca czy żołądka. Studenci uczą się, co z ludzkim ciałem robi promieniowanie jonizujące, oraz jak przejawia się popromienna choroba.

Wejścia na uczelnię strzegą mięśniaki w obcisłych uniformach, konkretna ochrona, żadne tam leśne dziadki, z którymi zawsze się dogadasz, żadne portierki w trwałej, łase na komplement i czekoladkę. Turystów tu nie wpuszczają, a na wywiad trzeba

eprasa.pl ec1b7d5698

się umawiać przez ministerstwo, co może potrwać. Jesteśmy jednak na Wschodzie, niebawem okazuje się, że w katedrze anatomii pracuje szwagier znajomej – i co prawda dziś nie da rady, mamy delegację, za to jutro bez problemu, bądźcie tylko na dziesiątą, nie spóźnijcie się, bo potem są tam wykłady. I pamiętajcie, żadnych zdjęć. Nic nie poradzę, że na Wschodzie naprawdę tak to działa.

Semipałatyński cyklop przyszedł na świat niedługo po pierwszej próbie radzieckiej bomby atomowej, przeprowadzonej 29 sierpnia 1949 roku. Coś źle obliczono albo wiatr powiał nie tam gdzie zwykle i radioaktywny obłok przekroczył granice poligonu. Pierwszy, najbardziej jadowity opad pokrył wsie, których nie ewakuowano. Dziecko żyło króciutko. Przynajmniej się nie męczyło.

Gdy w okolicy zaczęła wzrastać liczba przypadków anemii, nowotworów, deformacji ciała i chorób psychicznych, nikt się nie przejął. Władze tłumaczyły to niewłaściwą dietą (za mało warzyw i owoców), brakiem higieny i surowym klimatem. Pierwsze wyrywkowe badania na przylegających do poligonu terenach zarządzono dopiero w 1957 roku. Wtedy też otwarto w Semipałatyńsku tajną poliklinikę, którą nazwano dla niepoznaki Poradnią Brucelozy nr 4.

Jak tłumaczył w wywiadach Borys Gusiew, wieloletni szef placówki – działa ona do dziś, teraz pod nazwą Instytutu Medycyny Radiacyjnej i Ekologii – nikogo tam nie leczono, nikomu nie udzielano pomocy. Nie taki był cel. Obserwowano tylko postępy choroby, aby dzięki tej wiedzy Związek Radziecki jeszcze lepiej przygotował się do przyszłej wojny.

Wkrótce wyodrębniono zespół patologicznych zmian towarzyszących napromieniowaniu i wystawieniu na skażenie nuklearne – sąsiedzi poligonu latami pili zatrutą wodę, wypasali na pokrytych radioaktywnym pyłem pastwiskach krowy i barany, a potem jedli ich mięso. A niby co mieli pić i jeść? Nową jednostkę chorobową nazwano syndromem kajnarskim, bo u ludzi ze wsi Kajnar została zdiagnozowana po raz pierwszy.

W miejscowości, która u schyłku Związku Radzieckiego liczyła pięć tysięcy mieszkańców, nie było rodziny, w której ktoś nie zmarłby na raka, w tym na tak rzadkie jego odmiany, jak nowotwór języka, oczu czy małżowiny usznej. Dziewięć na dziesięć osób cierpiało na immunopatię. Na każde sto dzieci czworo, pięcioro rodziło się z uszkodzeniami centralnego układu nerwowego. Pod koniec XX wieku w Kajnarze żyło już tylko dwa tysiące czterysta osób, a dziesięć lat później – niespełna tysiąc dziewięćset. Nowszych danych brak.

Chyba najgorsza jest przypadkowość. Nie wiadomo, kto z napromieniowanych zachoruje, a kto nie – i dlaczego (mówimy, rzecz jasna, o względnie małych dawkach, przy większych choroba i śmierć są nieuniknione). Da się wyliczyć, ile ofiar pochłonie wybuch jądrowy, ale nie można ich wskazać. Dziesięciokrotny wzrost zachorowań

eprasa.pl ec1b7d5698

na nowotwory tarczycy, odnotowany u dzieci na Ukrainie i Białorusi w drugiej połowie lat osiemdziesiątych XX wieku to skutek awarii elektrowni w Czarnobylu, nie sposób jednak stwierdzić, za które konkretnie przypadki odpowiada feralny reaktor. Bo rak tarczycy zdarzał się u ukraińskich dzieci już wcześniej.

„Owa anonimowość czy też statystyczność tragicznych następstw doświadczeń jądrowych i termojądrowych stwarza specyficzną sytuację psychologiczną, w której różni ludzie czują się rozmaicie" – pisał Andriej Sacharow. Uczony, jeden z ojców chrzestnych radzieckiej bomby wodorowej (pierwsza próba odbyła się na semipałatyńskim poligonie 12 sierpnia 1953 roku), czuł się z tym coraz gorzej. Stopniowo oddalał się od linii partii i komunistycznej ortodoksji, aż w końcu przeszedł na drugą stronę i został dysydentem. Działalność na rzecz obrony praw człowieka przyniosła mu – twórcy broni masowej zagłady – Pokojową Nagrodę Nobla. Ale Igor Kurczatow, który od strony naukowej kierował programem nuklearnym Związku Radzieckiego, myślał inaczej. W ostatnim publicznym wystąpieniu powiedział: „Jestem szczęśliwy, że urodziłem się w Rosji i że poświęciłem swoje życie nauce atomowej wielkiego Kraju Rad. Wierzę głęboko i wiem na pewno, że nasz naród, nasze władze wykorzystają jej osiągnięcia jedynie dla dobra ludzkości".

Pierwsze z tych zdań wyryto na poświęconej Kurczatowowi tablicy znajdującej się w kazachskim Narodowym Centrum Jądrowym, utworzonym na miejscu dawnej siedziby kierownictwa poligonu.

Pojedyncza śmierć jest tragedią, śmierć milionów – statystyką.

Co jeszcze trzeba wiedzieć?

To, że przy promieniowaniu jonizującym nie ma pojęcia dawki bezpiecznej. Nie ma progu, poniżej którego prawdopodobieństwo wystąpienia skutków biologicznych byłoby równe zeru. Jeśli zmniejszymy dawkę, zmniejszy się liczba porażonych, ale nie stopień porażenia tych, na których wypadło. Zmniejszając dawkę stukrotnie i jednocześnie zwiększając stukrotnie liczbę napromieniowanych, nie wpłyniemy na liczbę ofiar – będzie ich tyle samo.

To, że nie ma miejsca wystarczająco oddalonego, by być bezpiecznym – po wybuchu w atmosferze, nad ziemią albo na jej powierzchni, radioaktywne opady rozprzestrzeniają się na całą półkulę (w 1963 roku podpisano układ o zakazie takich prób, odtąd dokonywano ich w wydrążonych w ziemi studniach i sztolniach).

To, że dla promieniowania nie istnieje bariera czasu. Przez uszkodzone – i dziedziczone – DNA może razić pokolenia, które się jeszcze nie urodziły.

„Pora nam odkryć nieodkryte tajemnice, które spoczywają niczym w skarbonce i nie przynoszą żadnego pożytku" – śpiewał w napisanej w 1964 roku piosence *Marsz studentów fizyków* Włodzimierz Wysocki. „My wypuścimy dżina z butelki na wolność!".

Wypuścili.

eprasa.pl ec1b7d5698

Piękna katastrofa

Dziurawa droga z Semeja do miasta Kurczatow biegnie wzdłuż Irtyszu. Na ostatnim odcinku – skrajem poligonu. Poligon zajmował obszar małego państwa, rozciągał się na niemal 200 kilometrów z północy na południe i na około 150 kilometrów – z zachodu na wschód.

Po drodze – pagórkowaty step, niska roślinność. Konie, barany, ptaki. Sielanka.

Kate Brown, profesor historii na Uniwersytecie Maryland, w książce *Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne* zauważyła: „Na ogół jest tak, że kiedy patrzysz na katastrofę ekologiczną, to o tym wiesz. Katastrofy w widoczny i wyczuwalny sposób burzą naturalny porządek. Kojarzą się ze smrodem, dymem oraz paskudnymi szramami na krajobrazie. Tymczasem z tym sympatycznym strumykiem [Tieczą na południowym Uralu – przyp. W.G.] wszystko było w jak najlepszym porządku. Powietrze pachniało rześko. Nad wodą śmigały jaskółki. Robiło się gorąco i ogarnęła mnie chęć przeciągnięcia stopą po gładkich kamieniach na dnie rzeki, jakby przywoływała mnie jakaś syrena. Nie było ogrodzenia ani znaków ostrzegawczych, które by mnie przed tym powstrzymywały. Musiałam sama sobie przypomnieć, że stoję nad najbardziej napromieniowaną rzeką świata. Nigdy nie widziałam bardziej urodziwej i kuszącej katastrofy, mniej zasługującej na to miano".

Zupełnie jak w *Piosence o końcu świata* Czesława Miłosza: „W dzień końca świata/ Pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji,/ Rybak naprawia błyszczącą sieć. (…) A którzy czekali błyskawic i gromów,/ Są zawiedzeni. (…) Innego końca świata nie będzie,/ Innego końca świata nie będzie".

Dlaczego wybrano północno-wschodni Kazachstan i Semipałatyńsk? Bo to miejsce odległe i słabo zaludnione, ale jednocześnie łatwo dostępne. Nie tak daleko stąd do Karagandy, Nowosybirska, Omska. Bo teren jest urozmaicony, co pozwala zobaczyć, jakie będą skutki wybuchu na równinie, przedgórzu i w niewysokich górach.

Bo to nie Rosja?

Atomowe mocarstwa często lokowały poligony na obszarach podbitych, skolonizowanych. Tam, gdzie mieszkały mniejszości, autochtoni, krajowcy. Stany Zjednoczone – na ziemiach Indian. Australia – Aborygenów. Chiny – w Regionie Autonomicznym Sinciang-Ujgur. A Związek Radziecki – w Kazachstanie (rzeczka Tiecza, o której pisze Kate Brown, przepływa z kolei przez ziemie Tatarów i Baszkirów). Pochodzący z tych stron kazachski poeta i filozof Abaj (żył w latach 1845–1904) pisał: „Kiedy odejdę, zielone rodzinne pola opustoszeją… Przyroda i ludzkie serca… są tylko przemijaniem".

Julij Chariton, trzeci obok Kurczatowa i Sacharowa akuszer radzieckiego atomu (na jego cześć stopione po wybuchu bryłki ziemi nazwano charitończykami), do

eprasa.pl ec1b7d5698

końca życia bronił tej lokalizacji. A żył długo, doczekał pierestrojki, oficjalnego zamknięcia poligonu w 1991 roku (ostatnią próbę przeprowadzono dwa lata wcześniej) i rozpadu Związku Radzieckiego. I zdania nie zmienił.

Jak wyglądała próba? Wokół epicentrum przyszłego wybuchu wytyczano okrąg i cały obszar dzielono na sektory w taki sposób, w jaki dzieli się tort. W poszczególnych sektorach umieszczano: zwierzęta, samochody, samoloty, przeróżną wojskową technikę. Wznoszono budynki, schrony, wieże. Powstawały nawet próbne stacje metra. Celem było zbadanie, jak to wszystko wytrzyma falę uderzeniową. Jak zachowa się w ekstremalnej temperaturze.

Uczeni, dowódcy wojskowi i przedstawiciele partyjnego kierownictwa obserwowali wybuchy ze specjalnie zbudowanych pomostów. Tak jedną z prób wspominał Sacharow: „Tym razem, kierując się opisem przebiegu prób w amerykańskiej »Czarnej Księdze«, nie włożyłem ciemnych okularów (po zdjęciu ich jest się tak oślepionym, że nic nie można zobaczyć, a w okularach widać źle). Zamiast tego stanąłem plecami do centrum wybuchu, odwracając się gwałtownie, gdy budynek i horyzont rozświetlił błysk eksplozji. Zobaczyłem szybko rozprzestrzeniający się nad widnokręgiem oślepiający, biało-żółty krąg, który w ułamku sekundy stał się pomarańczowy, a potem jasnoczerwony. Dotknąwszy linii horyzontu, spłaszczył się od spodu. Potem wszystko zasnuły wzbijające się kłęby pyłu, z których zaczęła się wyłaniać ogromna, wzburzona, szarawa chmura z purpurowymi, ognistymi refleksami na powierzchni. Pomiędzy chmurą a kłębiącym się pyłem zaczął się tworzyć trzonek grzyba atomowego. (…) Niebo przecinały w różnych kierunkach linie fal uderzeniowych, z których wyłaniały się mlecznobiałe płaszczyzny, układające się w formę stożków, w zadziwiający sposób dopełniających obraz grzyba. Jeszcze wcześniej poczułem na policzkach ciepło, jak od rozgrzanego pieca – i to na mrozie, w odległości wielu dziesiątków kilometrów od centrum wybuchu. Cała ta feeria odbywała się w absolutnej ciszy. Upłynęło kilka minut. Nagle w oddali, na rozciągającym się przed nami aż po horyzont polu, pojawił się ślad fali uderzeniowej. Szła na nas z dużą prędkością, gnąc do ziemi ostowate badyle. Rzuciłem komendę: – Skaczemy! – I pierwszy zeskoczyłem z pomostu".

Po pierwszej próbie bomby wodorowej Sacharow, okutany w ochronny kombinezon, pojechał z wojskowymi na miejsce eksplozji: „Nagle samochody gwałtownie zahamowały obok orła z opalonymi skrzydłami. Próbował poderwać się do lotu, ale nie mógł. Patrzył zmętniałymi, być może oślepłymi oczami. Jeden z oficerów wyszedł z samochodu i dobił nieszczęsnego ptaka silnym kopnięciem, skracając jego męczarnie. Jak mi mówiono, przy każdej próbie giną tysiące ptaków, które podrywają się przy wybuchu, ale potem padają, poparzone i oślepłe. (…) Grunt pokrywała w tym miejscu czarna, szklista, stopiona warstewka, chrzęszcząca pod nogami".

eprasa.pl ec1b7d5698

Ludzi zwykle ewakuowano. Na terenie poligonu żyło 30 tysięcy osób, ale wywożono też mieszkańców wsi położonych dalej. Najczęściej pozwalano im wracać już po kilku dniach, kiedy promieniowanie było wciąż bardzo wysokie. Raz w jednej z wiosek pozostawiono na czas wybuchu czterdziestu młodych mężczyzn. Nie wiadomo, czy był to przypadek. W ciągu paru następnych miesięcy trzydziestu dziewięciu z nich zmarło.

Przez czterdzieści lat funkcjonowania poligonu przeprowadzono na nim około pięciuset prób jądrowych. Szacuje się, że napromieniowanych zostało półtora miliona ludzi.

Matka Boska w domu Berii

Symulację wybuchu można zobaczyć w muzeum poligonu na terenie Narodowego Centrum Jądrowego w mieście Kurczatow. Mają tam działający pulpit sterowniczy (lampki się świecą, zegary czuwają w gotowości), z którego odpalano pierwsze ładunki (potrzebne były dwa klucze, jeden miał dowódca poligonu, drugi – uczony odpowiadający za projekt). Ebonitowy telefon łączył ze Stalinem (można podnieść słuchawkę i zrobić sobie zdjęcie). Naciskamy przycisk i na makiecie pola doświadczalnego zapala się lampka symbolizująca bombę.

„Nie mogłem nie uświadamiać sobie – wspominał Sacharow – jak strasznymi, nieludzkimi sprawami się zajmujemy. Ale przecież dopiero co zakończyła się wojna – równie nieludzka, W tamtej wojnie nie byłem żołnierzem, jednakże czułem się nim w tej, naukowo-technicznej. (…) Z czasem dowiedzieliśmy się lub sami doszliśmy do takich pojęć, jak równowaga strategiczna, wzajemne zastraszenie termojądrowe itp. Również i teraz myślę, że w tych globalnych ideach rzeczywiście tkwi jakieś (być może nie w pełni przekonywające) intelektualne usprawiedliwienie wytworzenia broni termojądrowej i naszego w tym udziału. Wówczas odczuwaliśmy to wszystko raczej emocjonalnie. Potężna, niszcząca siła, ogromny trud, konieczny do jej uzyskania, środki zabierane wynędzniałemu, głodującemu po wojnie krajowi, ofiary ludzkie w szkodliwych dla zdrowia i życia zakładach i katorżniczych obozach pracy przymusowej – wszystko to nasilało poczucie tragizmu, zmuszające do myślenia i pracowania w taki sposób, by wszystkie te ofiary (traktowane jako nieuniknione) nie poszły na marne".

Bo gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Żeby dostać się do Narodowego Centrum Jądrowego, trzeba wyrobić przepustkę, ale wjazd do Kurczatowa jest swobodny. Nielicznych gości wita tablica z napisem: „Od narodowej tragedii do narodowej dumy". To reklama Centrum, pracującego teraz nad „pokojowym atomem".

eprasa.pl ec1b7d5698

Miasto, które założono w 1947 roku, długo było tajne i zamknięte, otoczone zasiekami i drutem kolczastym. Najpierw nazywało się: Moskwa 400. Tak adresowano listy.

– Działała moskiewska szkoła numer 20, która wydawała absolwentom moskiewskie świadectwa. Nauczyciele też byli z Moskwy – opowiada Chamit Kairżanow, który przyjechał tu w 1974 roku, kiedy reżim tajności nieco zelżał. Był wuefistą, specjalizował się w siatkówce. Teraz jest na emeryturze i dorabia jako przewodnik.

– Szkoła numer 21 znajdowała się nieopodal, w Czaganie, miasteczku zbudowanym dla obsługi lotniska – ciągnie. – A moskiewskie szkoły 19 i 22 były normalnie w Moskwie.

Długo nie było cmentarza. Skoro miasto oficjalnie nie istniało, to nikt nie mógł tu przecież ani żyć, ani umrzeć. Ciała zmarłych zabierano do miejsc, z których pochodzili.

Kiedy dociągnięto bocznicę kolejową, ostatnią stację nazwano po prostu: Krańcowa. Tak też zaczęto z czasem nazywać całe miasto – Stacja Krańcowa (*Stancija Koniecznaja*). Na mapach spotykało się również nazwę Moldary – od kazachskiej wioski, która istniała wcześniej w tym miejscu. Potem był jeszcze Semipałatyńsk 21, wreszcie patronem miasta został wybitny fizyk.

Poza Centrum wiele do zwiedzania nie ma: główny plac, otoczony z trzech stron piętrowymi, socrealistycznymi gmachami urzędów (w jednym z nich przez jakiś czas mieszkał i pracował Kurczatow). Pomnik Kurczatowa pośrodku placu. Zapuszczony bulwar nad Irtyszem. Z tego bulwaru obserwował rzekę Sacharow: „Miasteczko, w którym się rozlokowaliśmy, znajdowało się nad samym brzegiem Irtyszu. W połowie listopada zobaczyłem po raz pierwszy spływ kry, zjawisko normalne dla rzek syberyjskich płynących z południa na północ, dla mnie jednak, który spędziłem całe życie w europejskiej części kraju, zadziwiająco piękne, nowe, urzekające widowisko! Ciemne wody Irtyszu z tysiącami zawirowań, zataczając zakola, niosły na północ mlecznoniebieskie tafle, zderzając je ze sobą i piętrząc. Chciało się godzinami w to wpatrywać, do bólu oczu i zawrotów głowy. Przyroda objawiała swoją pierwotną potęgę, wobec której wszystko, co jest dziełem człowieka, wydaje się nędzną imitacją".

W sierpniu 1949 roku w stojącym nieopodal domku dowódcy poligonu zatrzymał się Beria. Ławrientij Pawłowicz, który był w tym czasie wicepremierem ZSRR i marszałkiem, osobiście nadzorował budowę radzieckiej bomby atomowej. Przyjechał zobaczyć pierwszą próbę. Przywiózł ze sobą dwie listy, na których widniały te same nazwiska uczonych. Pierwsza obejmowała nominowanych do najwyższych państwowych oznaczeń i miał ją podpisać, jeśli próba się powiedzie. Na drugiej znaleźli się skazani na rozstrzelanie zdrajcy i sabotażyści.

Dziś budyneczek zdobi kopułka z prawosławnym krzyżem. W środku ulokowała się cerkiew, poświęcona Matce Boskiej Kazańskiej.

eprasa.pl ec1b7d5698

Widmo

Miasto miało obsługiwać poligon, najważniejsze były laboratoria i koszary. Ale z czasem Kurczatow obrósł infrastrukturą, pojawiły się szpital, dom kultury i drobne zakłady z branży niezbrojeniowej.

– Ludzie żyli jak pączki w maśle – wspomina Kairżanow. – Zaopatrzenie było moskiewskie.

Kazachów można było policzyć na palcach. Dzieci Kairżanowów nie mówiły po kazachsku.

– Bo w szkole wszystko było po rosyjsku, a kolegami byli sami Rosjanie – mówi przewodnik. – Ale wnuk zna już język. Też oprowadza wycieczki, tyle że po samym poligonie (do miejsca pierwszej próby jest stąd w linii prostej 45 kilometrów). Pracuje w Narodowym Centrum Jądrowym.

Po upadku Związku Radzieckiego i zamknięciu poligonu ponad dwudziestotysięczna ludność zmniejszyła się o połowę. Wyjechali wojskowi, lekarze, część kadry naukowej. Po kilku–kilkunastu latach w to miejsce zaczęli ściągać Kazachowie, także zza granicy, przyciągały ich tanie mieszkania i nowe miejsca pracy. Dzisiaj stanowią ponad połowę mieszkańców (odsetek Rosjan spadł do niespełna 40 procent). Postawili już pierwszy meczet.

Czagan nie miał szans się odrodzić. W samym mieście, leżącym w bok od trasy Kurczatow–Semej, nie mieszka już chyba nikt, w najlepszym razie ktoś został w tych paru domkach rozrzuconych chaotycznie po okolicy. Większość – czyli personel lotniczej bazy wojskowej wraz z rodzinami – wyjechała do Rosji, a pozostali przenieśli się na drugą stronę szosy, byle dalej od tych ruin. W 2009 roku odnotowano 725 osób: 361 mężczyzn i 364 kobiety.

W chwili największego rozkwitu Czagan liczył 12 tysięcy mieszkańców i też był ściśle tajny i zamknięty, a nazywał się – Semipałatyńsk 4. Tutejszy pas startowy o długości 4 kilometrów i betonowej nawierzchni mógł przyjmować wszystkie samoloty świata – było to zapasowe lotnisko dla kosmicznego wahadłowca Buran. Na co dzień stacjonowała tu dywizja strategicznych bombowców dalekiego zasięgu.

Czagan budowano kilka lat, od 1954 do 1961 roku, a zniszczono w kilka tygodni. Po wyjeździe bazy szturm na miasto przypuścili szabrownicy, ale nie amatorzy, zainteresowani klamkami, klozetami, parapetami czy inną drobnicą, ale zawodowcy z ciężkim sprzętem, nastawieni na hurt. Wywieźli wszystko oprócz ścian: framugi, poręcze z klatek schodowych, balkonowe balustrady. Z ziemi wykopali rury, przewody, instalacje. Złom sprzedali do Chin. (Wkrótce po zamknięciu poligonu złomiarze zaatakowali sztolnie, w których dokonywano podziemnych prób jądrowych, i rozebrali konstrukcje pozostawione na powierzchni. Nikt nie wie, ile skażonego

eprasa.pl ec1b7d5698

metalu wywieźli i ilu z nich przypłaciło to życiem. Dziś teren jest gorzej lub lepiej pilnowany, a sztolnie zaczopowano betonem).

Czagan wygląda tak, jakby nigdy nie istniał. Nie sposób wyobrazić sobie, że kiedyś toczyło się tu życie.

– W ostatnim czasie ktoś zaczął kupować w Czaganie ziemię – dzieli się świeżą plotką semipałatyński dziennikarz. – Mówią, że w Kurczatowie powstanie elektrownia atomowa. Jeśli tak, to cały ten teren zostanie znów zamknięty, a państwo wykupi prywatne działki za dobre pieniądze.

Ósme pokolenie

Pierestrojka miała w Kazachstanie kolor zieleni. Do pierwszych masowych wystąpień doszło wprawdzie na tle politycznym – w grudniu 1986 roku tysiące ludzi wyszły na ulice Ałmaty w proteście przeciwko zastąpieniu Kazacha Rosjaninem na stanowisku pierwszego sekretarza partii – ale potem motorem zmian stali się ekolodzy z ruchu Nevada-Semipałatyńsk, żądający zaprzestania prób jądrowych na całym świecie. Prezydent Nursułtan Nazarbajew zamknął semipałatyński poligon na kilka miesięcy przed rozpadem Związku Radzieckiego.

O przeszłości przypomina park na wyspie na Irtyszu. Jest tam kamień z epicentrum wybuchu w Hiroszimie oraz kompozycja, która nazywa się „silniejsze od śmierci": pod stylizowanym atomowym grzybem, wyciętym w ogromnej steli, przysiadła tuląca dziecko kobieta. W przyszłości na wyspie ma powstać antyatomowe i antywojenne muzeum. Powinien znaleźć się tam dział historii mówionej.

Historyk Ajgiul Nurabajewa:

– Sąsiedzi mają syna z zespołem Downa, dziewiętnastolatka, takiego wesołego, przylepnego. Wychowują go normalnie. Czy mają żal do władzy radzieckiej za poligon? Nie bardzo. Tak się zdarzyło i już.

Prawosławny katecheta Witalij Jawkin:

– Moja nauczycielka od matematyki jako dziecko obserwowała wybuch z jakiegoś dachu. Ciągle o tym opowiadała. Dożyła ładnego wieku, ale miała z pięćdziesiąt chorób.

Strażnik z Muzeum Historyczno-Krajoznawczego:

– Kolega dostał powołanie do wojska. Zabrali go do Moskwy, a potem wysłali dokądś samolotem. Nie mówili dokąd. Okazało się, że w rodzinne strony, na poligon do Kazachstanu. Zorientował się po trawach na stepie. Znał się na tym, bo pochodził ze wsi. Oczywiście już dawno nie żyje.

Dziennikarz:

– Pisałem o pladze samobójstw młodych mężczyzn. Powodem była impotencja.

eprasa.pl ec1b7d5698

Historyk Ajgiul Nurabajewa boi się, że będzie gorzej:

– Z badań przeprowadzonych tu przez Japończyków wynika, że najbardziej ucierpi ósme pokolenie. To w ich genach wszystko się podobno skumuluje. Na razie mamy dopiero trzecie.

Wkrótce pojawi się czwarte.

Prace cytowane:

Kate Brown, Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne*, tłum. Tomasz Bieroń, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016.*

Andriej Sacharow, Wspomnienia*, t. 1, tłum. Danuta Ulicka, Wydawnictwo Pomost, Warszawa 1991.*

Wojciech Górecki jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, pisarzem, reporterem i stałym współpracownikiem „Nowej Europy Wschodniej". W latach 2002–2007 był pierwszym sekretarzem, a następnie radcą w Ambasadzie RP w Baku. Był ekspertem misji Unii Europejskiej badającej okoliczności wojny w Gruzji w 2008 roku. W 2011 roku został finalistą Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego oraz otrzymał nominację do Nagrody Literackiej Nike. W 2013 roku otrzymał Nagrodę im. Beaty Pawlak. Autor między innymi książek: *Planeta Kaukaz* (Warszawa 2002, Wołowiec 2010 i 2017), *Toast za przodków* (Wołowiec 2010 i 2017) oraz *Abchazja* (Wołowiec 2013 i 2017). Ostatnio nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się jego książka *Buran. Kirgiz wraca na koń* (Wołowiec 2018).

eprasa.pl ec1b7d5698

Trudny powrót, trudne przyjęcie

Piotr Pogorzelski

Coraz więcej obywateli Kazachstanu polskiego pochodzenia interesuje się możliwością repatriacji do Polski. Część nie ukrywa, że chodzi przede wszystkim o poprawę swojego stanu posiadania, a większość dopiero ujawnia polską tożsamość.

Repatriacja jest długiem Polski wobec osób, które znalazły się w Kazachstanie w latach trzydziestych zeszłego wieku tylko ze względu na swoje pochodzenie etniczne. Sam proces wiąże się jednak z wieloma niebezpieczeństwami zarówno dla samych repatriantów, jak i dla kraju, do którego przyjeżdżają. Nie oznacza to, że trzeba całkowicie przekreślać ten projekt, warto jednak wiedzieć, na czym się stoi.

Nie sprzyja temu budowanie mitu Polaka z Kazachstanu, który siedzi wraz z rodziną gdzieś w zaśnieżonej chatce na stepie, najlepiej przy świeczce albo słabej żarówce, i modli się po polsku o szybki powrót do swojej ojczyzny. Rozmawia z dziećmi po polsku, obchodzi Boże Narodzenie i Wielkanoc, według czystych kanonów z początku XX wieku. Dzieci posyła do obcych im językowo szkół, a sam męczy się w pracy z obcymi kulturowo Kazachami i Rosjanami. Rzeczywistość jest całkowicie inna, choćby z tego powodu, że na stepach Kazachstanu przeżyły już co najmniej trzy pokolenia. W ciągu około osiemdziesięciu lat doszło do wielu małżeństw mieszanych, a polityka wynaradawiania i walki z religijnością prowadzona przez radzieckie władze spowodowała asymilację miejscowych Polaków i niemal całkowite „stopienie się" ich z innymi słowiańskimi narodami tam zamieszkującymi.

Modlą się jeszcze po polsku

Przez dziesięć dni września 2018 roku objechałem wraz z ekspertami fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie kilka miejscowości północnej części Kazachstanu, gdzie rozmawialiśmy z osobami zainteresowanymi repatriacją, miejscowymi działaczami i księżmi. Wniosek właściwie jest jeden, tak jak napisałem na początku: repatriacja jest bardzo dużym wyzwaniem nie tylko dla osób wyjeżdżających do Polski, ale także dla samych polskich władz i społeczeństwa.

eprasa.pl ec1b7d5698



Piotr Pogorzelski

Oziornoje to nie tylko bita droga, ale także chatki z niewielkimi oknami, sprawiające wrażenie, jakby były zbudowane z dykty. Psy przywiązuje się tutaj nie w obejściu, a przed nim. Po wsi chodzą krowy, kozy, kaczki, kury. Wszystkie jakimś cudem znajdują później drogę do swojego domu.

Osoby, znające język polski, które poznałem w ciągu dziesięciu dni, można policzyć na palcach dwóch rąk. Nie biorąc pod uwagę studentów o polskich korzeniach uczących się w Polsce. Paradoksalnie wiele osób uważających się za Polaków dość sprawnie posługuje się językiem kraju, z którego zostali wysiedleni, czyli radzieckiej Ukrainy. I to wbrew temu, że Kijów w przeciwieństwie do Warszawy nie inwestuje w nauczanie języka ukraińskiego za granicą. Oczywiście jest to rezultat radzieckiej polityki, w wyniku której język polski był prześladowany w stopniu o wiele większym niż ukraiński. Za to od wielu lat w Kazachstanie niemal w każdej miejscowości, gdzie mieszkają osoby polskiego pochodzenia, są nauczyciele z Polski, a efekty są co najmniej mizerne. Działacze i nauczyciele twierdzą, że to brak motywacji sprawia, że uczniowie słabo się uczą. Potencjalna repatriacja ma być właśnie tym bodźcem.

Narzekanie na Kościół katolicki, że msze nie są już odprawiane po polsku, jest co najmniej nie na miejscu. Tak, zdarzają się starsze osoby w Kazachstanie, które uważają, że Jezus i Matka Boska byli Polakami (usłyszane kilkukrotnie z ust duchownych), ale to nie znaczy, że trzeba tych ludzi w tym przekonaniu utwierdzać. Kościół nie jest także instytucją państwa polskiego, nawet jeśli z jego pomocy korzysta (najczęściej przy inicjatywach skierowanych do całej miejscowej społeczności, nie tylko

eprasa.pl ec1b7d5698

katolików). Księża, choć często sami przyjechali z Polski i odczuwają pewien obowiązek wobec swojego narodu, rezygnują z nabożeństw po polsku, zastępując je mszami po rosyjsku. Czasem modlitwy są odmawiane po polsku, ale już kazanie, czytania czy ogłoszenia są po rosyjsku, czasem po ukraińsku ponieważ wierni te najważniejsze części nabożeństwa muszą rozumieć. I nie ma znaczenia, że część z nich ma korzenie polskie.

Repatriacja jest długiem, który powinniśmy spłacić Polakom w Kazachstanie, którzy nie z własnej winy znaleźli się kilka tysięcy kilometrów od ojczyzny. Ale jest też wielkim wyzwaniem.

Jednak problem, przed którym stoją sami potencjalni repatrianci, tak naprawdę jest o wiele poważniejszy niż tylko znajomość języka, która z naszej perspektywy wydaje się kluczowa. To w Polsce narodowość jest utożsamiana z językiem. W państwach powstałych po rozpadzie Związku Radzieckiego nie jest to oczywiste. Poważniejszym problemem jest brak tożsamości bądź jej nieokreśloność. Często nawet ludzie proszący o repatriację, wypełniając dokumenty, gubią się, czy są Polakami, Rosjanami czy może Ukraińcami albo Białorusinami. Sytuację utrudnia duża liczba małżeństw mieszanych. Miejscowym nie wydaje się egzotyczne, że na spotkanie w Jasnej Polanie jeden z uczestników podjechał autem z zatkniętą za kierownicą flagą Rosji.

Polak, czyli banderowiec

Repatriacja to często poszukiwanie własnej tożsamości. Ludzie, którzy przez lata byli obywatelami radzieckimi i często zapomnieli o swojej polskości, teraz zaczynają jej szukać. Nie odnajdują się ani w Rosji, ani w Kazachstanie. Liczą na to, że uda im się odnaleźć w Polsce. Sześćdziesięciopięcioletnia kobieta na jednym ze spotkań w mniejszej miejscowości zamieszkanej przez Polaków tłumaczy:

– My w Rosji nie jesteśmy u siebie. Tam jest mentalność inna, i oni nas mają za Kazachów. Zaś tutaj w Kazachstanie utożsamiają nas z Rosjanami, ale ci Rosjanie tu są inni niż tam, w Rosji.

Mówię, że prawdopodobnie w Polsce będą ich brać za Ukraińców albo Rosjan. Ciężko wzdycha. Syn jednego z działaczy mieszkający od kilku lat na Śląsku już to odczuł na własnej skórze, gdy został zwyzywany przez pijanego mężczyznę od „banderowców". „Ale ja jestem z Kazachstanu" – tłumaczył. „Dla mnie wszyscy jesteście Ukraińcami" – usłyszał w odpowiedzi.

Nie jest to jednostkowy przypadek. Repatrianci z Kazachstanu, którzy od lat są w Polsce, wielokrotnie mówią o tym, że byli wyzywani od „ruskich" i kazano im się zabierać tam, skąd przyjechali. Jeżeli zwiększy się liczba przyjezdnych, wzrośnie

eprasa.pl ec1b7d5698

także liczba tego rodzaju przypadków. Dlatego warto byłoby, aby politycy odeszli od ksenofobicznej retoryki, a zwykłym mieszkańcom trzeba by przybliżyć tragiczne losy Polaków w Związku Radzieckim i wytłumaczyć, że panujący tam system był o wiele bardziej represyjny niż ten, który był w PRL, a zachowanie języka czy wiary było często heroicznym czynem.

Bardzo dużym wyzwaniem będzie także podejście potencjalnych repatriantów do historii. Pracujący w Kazachstanie nauczyciele wielokrotnie się skarżyli, że muszą walczyć z radziecką wizją historii, szczególnie jeśli chodzi o II wojnę światową. Dla większości kazachskich Polaków rozpoczęła się ona w 1941 roku, a nie w roku 1939. Nie mówiąc już o kompletnej niewiedzy o sojuszu Stalina i Hitlera, który trwał przez pierwsze dwa lata wojny. Nie dotyczy to tylko Polaków, ale także innych nacji. Pokazuje to historia opowiedziana o repatriantach, którzy znaleźli się już dawno w Niemczech. Na przykład chłopiec z Kazachstanu o niemieckich korzeniach na lekcji, już w Niemczech, pytany o to, kto wygrał wojnę, odpowiada z dumą: my.

Jeśli nie do Niemiec, to chociaż do Polski

Narracja o przeszłości to tylko jeden z problemów. Polacy w Kazachstanie oglądają głównie rosyjskie media, zatem także ich poglądy na współczesną politykę międzynarodową są odbiciem bynajmniej nie tego, jak o świecie myśli Warszawa, a raczej tego, jak widzi go Moskwa. Można jedynie liczyć na to, że po repatriacji szybko zmienią swoje poglądy, choć przykład Niemiec świadczy raczej o czymś innym. Ci, którzy przyjechali tam w latach dziewięćdziesiątych XX wieku z terenów byłego Związku Radzieckiego, są cały czas chłonnymi odbiorcami rosyjskiej propagandy i jako tacy są bardzo łatwi do wykorzystania w celu destabilizacji sytuacji w Niemczech. Przykład: sprawa pochodzącej z Rosji Lizy z początku 2016 roku, która jakoby miała zostać zgwałcona przez imigrantów. Rosyjskie media oraz władze nakręciły antyimigracyjną nagonkę, właśnie wykorzystując mniejszość „rosyjską" w Niemczech.

Dodatkowym problemem jest pojawienie się wielu „polaków" (pisanych małą literą) w samym Kazachstanie. Działacze tamtejszych organizacji polonijnych przyznają, że od czasu nowelizacji ustawy o repatriacji pojawiło się wiele osób przekonujących, że mają polskie korzenie.

– Komu nie udało się zostać Niemcem, teraz jest Polakiem – mówiła jedna z uczestniczek spotkania z ekspertami fundacji.

Skąd tak duże zainteresowanie? Ponieważ repatriacja to często po prostu ucieczka przed biedą. Jeżeli ktoś zdecyduje się na wyjazd do Astany czy innego większego miasta, to nikt finansowo takiego kroku nie wesprze. Co innego repatriacja, która łączy się z pewnym wsparciem materialnym.

eprasa.pl ec1b7d5698



Piotr Pogorzelski

W Temirtau są też nowoczesne obiekty, na przykład remontowane muzeum pierwszego prezydenta i znajdujący się przed nim pomnik hutników.

Oziornoje, gdzie mieszka wielu Polaków, położone jest w stepie i, co wyjątkowe, jak wskazuje nazwa – nad przepięknym jeziorem. We wsi nie ma dróg asfaltowych, są tylko bite, piaszczyste. Nie ma normalnej drogi dojazdowej, to znaczy jest, ale w takim stanie, że szybciej jest dotrzeć bitym szlakiem przez step.

– Droga miała być, dali pieniądze, ale ktoś je ukradł i drogi nie zbudowano – żalą się miejscowi.

Skala złodziejstwa urzędników w Kazachstanie jest czasem przerażająca. Podobną historię usłyszałem kilkaset kilometrów na południe, między Temirtau a Karagandą. Tam też nagle znikły pieniądze i budowę nowej trasy zawieszono w połowie. Nawet na Ukrainie, która dla wielu Polaków wydaje się symbolem korupcji, takiego złodziejstwa nie ma. Przyzwoitość nakazuje choć trochę oddać miejscowej ludności. Otkat, czyli korupcyjny procent, w Kazachstanie to nie 10 procent, 20 procent czy nawet 50 procent, a czasem po prostu 100 procent.

Oziornoje to nie tylko bita droga, ale także chatki z niewielkimi oknami sprawiające wrażenie, jakby były zbudowane z dykty. Psy przywiązuje się tutaj nie w obejściu, a przed nim. Po wsi chodzą krowy, kozy, kaczki i kury. Wszystkie jakimś cudem znajdują później drogę do swojego domu.

eprasa.pl ec1b7d5698



Piotr Pogorzelski

Nursułtan Nazarbajew pracował przez cztery lata w kombinacie hutniczym w Temirtau. Tutaj wziął ślub i urodziły się jego dwie córki – Dariga i Dinara. Zapewne szef państwa w czasie ostatniej wizyty nie zauważył, jak obecnie ten zakład zatruwa miasto.

Oziornoje tak naprawdę niczym się nie wyróżnia spośród setek innych kazachskich wsi. A nawet miast, w których też są dzielnice pozbawione dróg, a tam, gdzie drogi są, przypominają szwajcarski ser ponadgryzany z każdej strony przez pazernych urzędników. W stuosiemdziesięciotysięcznym Temirtau niemal w samym centrum stoją domy, w których nie ma bieżącej wody i kanalizacji, choć są otoczone blokami. Ze względu na skażenie gleby woda ze studni nie nadaje się do picia, trzeba ją dowozić. To zdarza się nawet na przedmieściach opływającej bogactwem, szczególnie w porównaniu z resztą kraju, Astany. Tam też bywa, że nie ma wody, kanalizacji i nie da się dojechać ani dojść do nowych domów, bo trzeba przejechać albo przejść przez ścieki. Taka sytuacja panuje od lat.

Racjonalnie i bez patosu

Do słabo rozwiniętej sfery komunalnej w Kazachstanie dochodzi brak możliwości awansu. Wydaje się, że państwo to przechodzi obecnie podobny etap, jaki przechodziła Ukraina czy w o wiele mniejszym stopniu Białoruś. Dwadzieścia siedem lat po upadku Związku Radzieckiego kraje te krystalizują się narodowo i samookreślają.

eprasa.pl ec1b7d5698

Obecnie, żeby zajmować wyższe stanowisko w Kazachstanie, trzeba znać język kazachski, bo rosyjski już nie wystarczy. Miejscowi Polacy rzadko się go uczą, zresztą podobnie jak inne słowiańskie narody tam zamieszkałe.

– I jeszcze teraz Kazachowie chcą przejść na łacinkę! – mówiła z oburzeniem kobieta, która przyszła na spotkanie o repatriacji. Nie przypomniałem, że język polski przecież też jest zapisywany tym alfabetem…

Te wszystkie czynniki sprawiają, że wielu potencjalnych repatriantów nie ukrywa, że ich wyjazd ma podłoże ekonomiczne, i rozważają przeprowadzki do innych krajów, na przykład do Rosji, ale jednak Polska oprócz wsparcia finansowego, które daje, to także pewien prestiż: prawdziwy Zachód, prawdziwa Europa. „No i mamy korzenie polskie" – dodają na końcu.

W Polsce narodowość jest utożsamiana z językiem. W byłym Związku Radzieckim nie jest to oczywiste.

Repatriacja to też możliwość nie tylko odzyskania tożsamości, ale też ludzkiej podmiotowości.

– Tu są takie fabryki lub kopalnie, gdzie ludzie pracują w strasznych warunkach, najpierw tracą zęby, a później mężczyźni stają się impotentami – tłumaczy mi jeden z mieszkańców Temirtau, gdy zauważam się, że tamtejsza huta, w której karierę rozpoczynał obecny prezydent Nursułtan Nazarbajew, zatruwa całe miasto, a nikt z tym nic nie robi.

Kombinat jest tutaj największym przedsiębiorstwem, kominy tego zakładu widać niemal z każdego miejsca w mieście, czasem czuć także zapach. Średnia pensja pracowników huty wynosi około 70 tysięcy tenge, czyli 700 złotych. Ludzie starają się o tę pracę: kombinat ich karmi i niszczy. Zimą spadł czarny śnieg, zanieczyszczenia z powietrza znalazły się na ziemi. Ludzie pisali SOS na śniegu. Nikt nie przyszedł z pomocą. Zbierano podpisy pod petycją do Stowarzyszenia Organizacji Ekologicznych Kazachstanu. Na jego czele stoi Alija Nazarbajewa, córka prezydenta. W inny sposób nikt nie walczy o swoje prawa. Nic dziwnego, jeśli władze duszą każdy protest w zarodku.

W Temirtau są też nowoczesne obiekty, na przykład remontowane muzeum pierwszego prezydenta. I znajdujący się przed nim pomnik hutników. Nursułtan Nazarbajew pracował w kombinacie hutniczym przez cztery lata. Tutaj wziął ślub i urodziły się jego dwie córki – Dariga i Dinara. Zapewne szef państwa w czasie ostatniej wizyty nie zauważył, jak obecnie zakład zatruwa miasto. Przed każdym jego przyjazdem dokądkolwiek władze odpowiednio przygotowują trasę, którą przemieszcza się prezydent. W Karagandzie na przykład namalowano pasy na drogach (zeszły po tygodniu, dwóch), a rozwalające się chaty przykryto banerami z reklamą nowych bloków.

eprasa.pl ec1b7d5698

Władze stawiają na duże miasta, ich rozwój jest wspierany przez rządzących. Tygodnik „Karawan" pisze, że Szymkent, który przekroczył milion mieszkańców, od razu stracił ten status, bo centrum obwodu przeniesiono do Turkiestanu i urzędnicy musieli na hura opuścić swoje domy. Decyzja ma właśnie stymulować rozwój Turkiestanu. Zresztą każdy obwód ma podarować coś tej miejscowości. Nawet jeśli sam nie ma pieniędzy.

Wieś i małe miejscowości wymierają. Trzytysięczne Czkałowo pełne jest opuszczonych, a czasem nawet już zniszczonych przez czas domów. Na tablicy ogłoszeń ktoś sprzedaje budynek mieszkalny, a ktoś sklep. Ludzie wyjeżdżają, część do większych miast, część do Rosji. Ci, którzy mogą – do Polski.

Polacy w Kazachstanie oglądają głównie rosyjskie media, a ich poglądy są odbiciem tego, jak o świecie myśli Moskwa.

Repatriacja jest długiem, który powinniśmy spłacić Polakom w Kazachstanie, którzy nie z własnej winy znaleźli się kilka tysięcy kilometrów od ojczyzny. Podejście do całego procesu powinno być jednak o wiele bardziej racjonalne i wyważone. Zbyt dużo tu patriotycznego patosu, a zbyt mało racjonalnych rozwiązań, które pomogłyby zarówno repatriantom, którzy wybiorą przyjazd do Polski, jak i samym Polakom, którzy prędzej czy później zetkną się z przybyszami ze Wschodu. I jedni, i drudzy, jak coraz częściej można usłyszeć w Warszawie, i to nawet od wykształconych osób, zapewne nie będą się czuć komfortowo.

Piotr Pogorzelski jest dziennikarzem i redaktorem Polskiego Radia.
Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej".

eprasa.pl ec1b7d5698

Cyrk, prawda i stan wojenny

Tekst i zdjęcia Magdalena Chodownik

Wprowadzenie stanu wojennego wywołało na Ukrainie wiele pytań i podejrzeń. Obrady Rady Najwyższej, która ostatecznie głosowała za jego przyjęciem, oglądano w przyfrontowych telewizorach jak mecz piłkarski wysokiej ligi. Tyle że tu mało kto chciał, żeby Poroszenko zdobył gola.

Przed wejściem do amfiteatru w Domu Kultury gromada dzieci. Jakiś chłopiec ustawia się w kolejce po watę cukrową, a dziewczynka po popcorn. W kuluarach przebiega kolorowy klaun, diwa, kilku tancerzy w kolorowych przebraniach. Ci na razie przegrywają konkurencję o popularność ze smakołykami. Do czasu, bo zaraz rozpocznie się spektakl. Bilety bezpłatnie wydawał oddział onkologiczny, który współorganizuje imprezę. Nikt ich nie sprawdza. Przy drzwiach wejściowych do sali stoi za to wielki karton na datki – na małych pacjentów szpitala. Ludzie chętnie wrzucają do niego pieniądze, choć tu, w Myroniwśkyj, 8 kilometrów od linii frontu, zazwyczaj przeliczają dokładnie każdą kopiejkę przed jej wydaniem.

Dziś jednak nikt nie szczędzi sobie radości. Rodzice i dzieci oglądają kolorowy spektakl z wypiekami na twarzach. Najmłodsi skaczą w fotelach, komentują głośno, wybiegają ze swoich siedzeń aż pod scenę. I dobrze, że w przyfrontowych wioskach można zobaczyć uśmiechnięte mimo wszystko twarze. Choć przez chwilę. Bo w nocy znów będzie głośno – będą zasypiać przy odgłosach wystrzałów i spadających pocisków.

Konflikt na Morzu Azowskim

Jest 27 listopada 2018 roku. Wczoraj Najwyższa Rada przyjęła pomysł prezydenta Petra Poroszenki o wprowadzeniu stanu wojennego w części Ukrainy. Jutro uchwała wejdzie w życie. Dziś mogą się od politycznych zawirowań na moment wyłączyć.

Spór między Rosją a Ukrainą o terytoria wodne nasila się od dłuższego czasu. Kijów zarzuca Moskwie blokady ekonomiczne, które uderzają w gospodarkę kraju – według Ukraińców, kontrolująca statki płynące do ukraińskich brzegów Rosja utrudnia im ruch. Ma to robić przez wydłużanie procedur sprawdzających. Te z kolei mają zniechęcać do obierania kursów na porty w Ukrainie przez przewoźników, którzy narażani są na ogromne koszty, jeśli przyjdzie im czekać z dostawą na morzu.

eprasa.pl ec1b7d5698

W niedzielę 25 listopada 2018 roku spór przerodził się w konflikt. Wtedy to rosyjska flota zaatakowała ukraińskie okręty wojskowe, które płynęły przez Cieśninę Kerczeńską z Odessy do Mariupola. Rosjanie podpłynęli do ukraińskich jednostek, dwóch kutrów rakietowych i holownika, taranując i uszkadzając jedną z nich. Zablokowany został też szlak wodny, który tamtędy wiedzie – Federacja Rosyjska ustawiła w poprzek niego swoje statki. Ukraińcy zaczęli zawracać. Z początku incydent wyglądał na prowokację, ale po paru godzinach poinformowano, że za ukraińskimi okrętami podążają rosyjskie, a napięcie między stronami nie gaśnie. Rosjanie zażądali, by ukraińskie jednostki się zatrzymały, a kiedy te nie wypełniły żądania – wysłano za nimi rosyjski helikopter bojowy i otworzono ogień. W przeprowadzonym ataku ukraińskie jednostki wraz z dwudziestoczteroosobową załogą zostały przejęte przez rosyjskie FSB. Sześciu żołnierzy Ukrainy zostało rannych, w tym dwóch ciężko.

Nikt tak naprawdę nie rozumie, co się wydarzyło i czemu ma służyć wprowadzony stan wojenny. Padają nowe pytania, rodzą się spekulacje.

W związku z wydarzeniami prezydent Poroszenko zwołał posiedzenie w trybie pilnym i jeszcze tej samej nocy zebrała się Rada Bezpieczeństwa i Obrony Narodowej Ukrainy. Podczas obrad ogłosił plan wprowadzenia stanu wojennego w całym kraju, formowania koalicji przeciwko Rosji oraz stanowczo potępił zachowanie Rosjan, określając wydarzenia „atakiem agresji", który miał doprowadzić do eskalacji konfliktu na Morzu Azowskim.

W odpowiedzi na oskarżenia, strona rosyjska oświadczyła, że według nich zdarzenie było prowokacją zaplanowaną przez Kijów. Utrzymują, że ukraińskie okręty złamały prawo morskie i nielegalnie naruszyły granice wód terytorialnych Federacji Rosyjskiej.

Mobilizacja

Sasza, jeden z żołnierzy ukraińskich, jeszcze kilka dni temu pakował walizki.

– Jadę do domu! – mówił z radością, planując kolejne miesiące z rodziną. Kończyło się sześć miesięcy stacjonowania przy linii rozgraniczenia. – Trzeba się dziećmi zająć, syna wychować, bo jeszcze mały jest, żonie pomóc.

Żołnierz miał wyjechać z frontu do domu dokładnie dzień po atakach na Morzu Azowskim. Nie wyjechał. Kiedy prezydent Ukrainy zwoływał spotkanie w trybie pilnym i kiedy zaraz potem zaczął mówić o wprowadzeniu stanu wojennego, Sasza wiedział już, że jego plany wzięły w łeb. Zadzwonił do żony i przeprosił. Bo co mu pozostało? Może jeszcze trochę żalu.

eprasa.pl ec1b7d5698



Życie na linii frontu jest niekiedy niezwykle kontrastowe. Chociaż odgłosy wojny jeszcze nie ustały, a pociski wciąż padają w niedalekich od ludności cywilnej odległościach, nie przeszkadza to, by choć po części wrócić życiu normalność. Na zdjęciu dwie młode dziewczyny, robiące selfie w barze w Popasnej.

Wojna trwa już pięć lat, a rząd ukraiński po raz pierwszy wprowadza stan wojenny w części kraju. Rada Najwyższa właśnie podjęła decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego na Ukrainie. Na ulicach widać pojazdy wojskowe. Ich obecność była zauważalna jeszcze przed wydarzeniami na Morzu Azowskim. Tego dnia można było dostrzec ich jednak nieco więcej.







Ruiny szpitala psychiatrycznego w Siemianówce, zniszczonego podczas walk między siłami Ukrainy a separatystycznymi oddziałami ze wschodniej części kraju.



Starsza kobieta w autobusie, który przejeżdża przez punkt kontrolny w okolicach Bahmutu. Tak zwane check pointy rozstawione wzdłuż linii rozgraniczenia stanowią dziś stały element przyfrontowej rzeczywistości.



Nadpalony rysunek ukraińskiego czołgu z podpisem „Ukraina". Takie obrazki rysowane przez dzieci są przekazywane żołnierzom przez wolontariuszy do miejsca przebywania wojsk przy linii rozgraniczenia.



Obstrzelana cerkiew w okolicach lotniska w Doniecku. Po obu stronach linii rozgraniczenia przez minione pięć lat dokonano wielkich szkód i zadano wiele cierpień.



Mural w Doniecku przedstawiający żołnierza tak zwanej Donieckiej Republiki Ludowej, który w towarzystwie białego gołębia, symbolizującego pokój, trzyma na rękach dziecko. Kult dobrych żołnierzy, którzy opiekują się i ochraniają ludność Donieckiej Republiki Ludowej, jest tu powszechny.

W dzień po zebraniu Rady Bezpieczeństwa Marina praktycznie nie wychodzi z domu. Wynurza się tylko na klatkę zapalić papierosa, w szlafroku, z twarzą zapuchniętą od płaczu. Jej partner jest żołnierzem. Dopiero co wrócił na przepustkę do domu i już został z niej zawrócony. Dostał trzy dni na ponowne stawienie się w jednostce. Marina obawia się najgorszego: że ukochany już nie wróci z frontu. Boi się i płacze. Bo stan wojenny przywołał w ludziach wspomnienia z najtrudniejszych lat wojny: bombardowań, czołgów, świstów pocisków, zbiegania do piwnic, modlitw oraz ogromnej niepewności i strachu.

– A jak się znowu zacznie? – pyta retorycznie.

Mieszkańcy miasta Myroniwśkyj, oddalonego od linii frontu jedynie o 8 kilometrów, oraz okolic do dziś żyją w ciągłym zagrożeniu. Żaden stan wojenny nie musi im o tym przypominać.

Dima pojechał do Zaporoża na komisję wojskową. Podobnie jak część mężczyzn na Ukrainie, dostał wezwanie. Wyboru nie miał. Tyle że od czasu wyjazdu ślad po Dimie zaginął. Nie wiadomo, co się stało – może postanowił porzucić wszystko i zacząć nowe życie, może popił i się zawieruszył, a może od razu włożono mu na nogi kamasze i odprawiono na front. Nikt nic nie wie. W małej miejscowości niedaleko Torećka, z której pochodzi, ludzie spekulują. Bo lubią. Bo muszą oprzeć swoje myślenie i życie na jakichś faktach. Mieć jakiś pewnik. A jak nie znają prawdy, to sobie ją wymyślą. Byle była, bo jest potrzebna, bo daje poczucie stabilności. W tym mętliku zmian i niejasności wymyślona rzeczywistość ma dla nich nawet jakąś sensowniejszą rację bytu. Bo zakłada ich logikę. Bo na wojnie sobie najłatwiej uwierzyć.

Po dwóch stronach barykady

Wprowadzenie stanu wojennego wywołało na Ukrainie wiele pytań i podejrzeń. Obrady Rady Najwyższej, która ostatecznie głosowała za jego przyjęciem, oglądano w przyfrontowych telewizorach jak mecz piłkarski wysokiej ligi. Tyle że tu mało kto chciał, żeby Poroszenko zdobył gola. I niby udało się go strzelić, ale nie była to kwestia wybitnej techniki. Jego początkowy plan wprowadzenia stanu wojennego na całej Ukrainie na sześćdziesiąt dni nie zdobył przychylności polityków. Ostatecznie przegłosowano wersję trzydziestodniową i tylko w wybranych okręgach, które sąsiadują z Rosją, tak zwanymi Ługańską Republiką Ludową, Doniecką Republiką Ludową, Naddniestrzem oraz w tych z dostępem do morza i na samym morzu.

Zbliżają się wybory, a prezydent Poroszenko nie cieszy się wysokim poparciem. I kiedy opadły pierwsze emocje, ludzie zaczęli dostrzegać w reakcji Poroszenki na

eprasa.pl ec1b7d5698

wydarzenia na Morzu Azowskim próbę zaspokojenia jego własnych potrzeb politycznych.

– Chce się pokazać jako silny obrońca Ukrainy – kwituje Ołeh, mieszkaniec wsi Trojićke leżącej na linii rozgraniczenia. – A jak dochodził do władzy, obiecywał, że od razu zakończy wojnę. A teraz co? Zapomniał? Czy boi się o swoje stanowisko? Nie wiem, na kim to ma zrobić wrażenie, ale na nas nie zrobi…

Inni nie wychodzą w swoich rozważaniach poza własne podwórka, o które ponownie zaczęli się bać.

– I co? Znowu nam żołnierze będą mieszkać w domach czy zabierać samochody, jak na początku wojny? – zastanawia się Natalia z Łuhańske, również leżącego niemal na linii frontu. Opowiada, jak wojskowi wprowadzili się kiedyś do sąsiadki. Akurat jej nie było, ale nikomu to nie przeszkadzało – weszli i zamieszkali. Obawy cywilów zależą właściwie najbardziej od ich doświadczenia z obcowania z żołnierzami. Im było ono lepsze, tym mniejszy jest strach. Bo bywało, że wojskowi stawali się dla lokalnej ludności wsparciem, bywało, że spotykało ich od nich wiele przykrości. Ale póki co, dla żyjących przy froncie cywilów nic się nie zmienia. Może na ulicach mijają więcej pojazdów wojskowych, choć z przyzwyczajenia nawet nie zwracają już na nie uwagi.

Stan wojenny przywołał w ludziach wspomnienia z najtrudniejszych lat wojny – bombardowań, czołgów, świstów pocisków.

W Doniecku nawet też coś słyszeli o stanie wojennym na Ukrainie, choć bardziej o tym, że na jego fali zabroniono wpuszczania mężczyzn w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat z rosyjskim obywatelstwem. Większość mieszkańców uważa całe zamieszanie za prowokację, która ma służyć trwającej równolegle wojnie informacyjnej oraz mobilizowaniu elektoratu prezydenta Poroszenki.

Stanem wojennym nie przejmują się wcale.

– Nie zaczęli częściej strzelać, jest tak samo, jak i było – mówi Gala, mieszkanka Doniecka, uznawanego za stolicę tak zwanej Donieckiej Republiki Ludowej. – No i czym się przejmować? My w DNR żyjemy nieustannie w stanie wojennym. Dobrze, że przesunęli godzinę policyjną z dwudziestej na dwudziestą trzecią. I widać, da się. A Ukraina się przebudziła nagle, że już piąty rok trwa wojna…

Szpital niepotrzebny

Gdy w Kijowie padają decyzje o wprowadzeniu stanu wojennego, ludzie w przyfrontowych wioskach i miastach wciąż zastanawiają się, co dalej z nimi będzie. Spekulują, wspominają po cichu, żeby nie wywołać złego. I choć to właśnie tu, na

eprasa.pl ec1b7d5698

ich posesjach, najdotkliwiej realizuje się wielka polityka, oni starają się zachować spokój. Na tyle, na ile się da.

– Gdy zaczęła się wojna, ludzie przychodzili do nas, szukając bezpiecznego schronienia w piwnicach szpitala. W czasie najsilniejszych walk mieszkaliśmy tam razem miesiąc. Pielęgniarki wychodziły opatrywać rannych, a pozostali czekali, aż sytuacja się uspokoi – mówi Olga Nikolejewna Lipowaja, zarządzająca mironowskim szpitalem.

Mieszkańcy miasta Myroniwśkyj, oddalonego od linii frontu jedynie 8 kilometrów, oraz okolic do dziś żyją w ciągłym zagrożeniu. Stan wojenny nie musi im o tym przypominać. Odgłosy wystrzałów i ostrzałów są tu na porządku dziennym. Gdy mieszkańcy zasypiają, gdy odprowadzają dzieci do szkoły, gdy kupują chleb na kolację.

W maju ubiegłego roku salwa pocisków uderzyła w pobliską wioskę Trojićke. Jeden z nich spadł prosto na dom. Zginęły dwie osoby – ojciec i młodszy syn. Matka i starszy syn ocaleli, choć sprowadzenie do nich pomocy medycznej było problemem. Ośrodki odpowiedzialne za wysyłanie ambulansów (numer alarmowy 103) niechętnie kierują pracowników do „czerwonej zony", czyli miejsc położonych blisko linii frontu. A brak możliwości opatrzenia ran, szczególnie tych poważnych, jest ryzykowaniem życia miejscowej ludności.

Budynki szpitala w Myroniwśkyj też ucierpiały podczas wojny. Część z nich popadła w ruinę, część natomiast, dzięki pomocy międzynarodowych organizacji humanitarnych, udało się doprowadzić do stanu użytkowania. Dziś, kiedy słowo wojna znów zaczyna głośniej brzęczeć w uszach, a sytuacja stała się jeszcze bardziej niezrozumiała, cywilny szpital przyfrontowy ma po części zostać zlikwidowany, a personel medyczny oddelegowany do pracy w Switłodarśku.

– Nikt się nami nie przejmuje. Widać nie jesteśmy tu potrzebni… – kwituje sytuację jeden z mieszkańców. – A my jakoś tu musimy żyć. Tylko jak?

Nikt tak naprawdę nie rozumie, co się wydarzyło i czemu ma służyć wprowadzony stan wojenny. Padają nowe pytania, rodzą się nowe spekulacje.

– Przecież nas tu przy froncie i tak przed niczym nie ostrzeże. Nawet jakby jutro znów się miał zacząć obstrzał, to dowiemy się dopiero, jak zobaczymy latające przez ulice pociski… – stwierdza Natalia.

Magdalena Chodownik jest dziennikarką i fotoreporterką. Członkini Kolektywu Reporterskiego i Hacks Hackers Warsaw.

eprasa.pl ec1b7d5698

Mostar: prawdziwi Ikarowie skaczą na główkę

Aleksandra Zdeb

Mająca prawie pięćset lat tradycja skoków ze Starego Mostu, na przekór wszelkim próbom kulturo- i miastobójstwa, do jakich doszło w Mostarze, urosła do rangi symbolu. Tak jak i miasto wraz z jego mostem.

Najbardziej imponujący jest skok na głowę. Dech zapiera moment zero: skoczek na ułamek sekundy zamiera w powietrzu, przybierając kształt szybującej jaskółki. Ta trudna technika, uznawana powszechnie za prawdziwie męską, dostępna jest tylko najzdolniejszym i najwytrwalszym. Przed nią do opanowania jest łatwiejszy styl – na nogi. Ten zaczyna się od kroku w powietrzu. Po przekroczeniu barierki zabezpieczającej most w jednej chwili jest się na jego krawędzi, a w następnej, rozpościerając szeroko ramiona i podkurczając nogi na kształt kołyski, leci się już w dół.

Nie do końca jednak wiadomo, co tak naprawdę symbolizują skoki, które wykonuje się od pół tysiąca lat. Wielu chciałoby widzieć w tym bośniacko-hercegowińską tożsamość, wielokulturowość i pojednanie. W rzeczywistości to symbole wydmuszki pośród dominującej apatii, zniechęcenia i konfliktu, który wciąż trwa.

Historia wielokulturowością pisana

Tradycja skoków jest równie stara, jak sam most, który został wybudowany w połowie XVI wieku na prośbę mieszkańców zmęczonych chybotliwością i niestabilnością dotychczasowych drewnianych konstrukcji.

– Tak też zrodził się zwyczaj skakania z mostu, jeden z najpiękniejszych w całej Bośni, któremu nie wolno pozwolić zaniknąć. Wszystko zaczęło się w małym domku pełniącym funkcje strażnicy – czardaku, który góruje nad mostem. To tu dobijali targu bogaci handlarze, którzy, jak to bogacze, dawali młodym chłopcom drobne pieniądze. Tak pojawił się pomysł, że aby dostać pieniądze, należy najpierw skoczyć z mostu. Również dziś skok za darmo uważany jest za pechowy – opowiada Admir Delić, jeden z bardziej utytułowanych skoczków.

Przychylny mieszkańcom Bośni i Hercegowiny sułtan Sulejman Wielki zlecił wykonanie projektu nowego mostu uczniowi samego Mimara Sinana – stambulskiemu

eprasa.pl ec1b7d5698

architektowi Hajrudinowi, który, jak głosi legenda, własną głową ręczył, że piękny łuk nie runie do przepływającej pod nim Neretwy. Po dziewięciu latach budowy zawisł on nad szmaragdowymi wodami lodowatej rzeki, jakby na przekór górskiemu żywiołowi. Połyskującej w mostarskim słońcu perełki architektury osmańskiej nie sposób jednak przyporządkować do żadnego stylu – tak bardzo odcisnęła na niej swoje piętno specyfika bośniackiej natury i nacji zamieszkujących te tereny.

Nowy most dał miastu nie tylko nazwę, która pochodzi od jego strażników, ale również nowe życie – w ciągu stuleci rozwijający się Mostar stał się domem dla przedstawicieli czterech religii: katolików, muzułmanów, prawosławnych i żydów. Z czasem na tożsamości religijnej została nadbudowana narodowa. Dziś miasto jest postrzegane jako kulturowa stolica bośniackich Chorwatów, ale było również jednym z centrów oporu i narodowego rozwoju Serbów i Muzułmanów (pisanych wielką literą jako narodowość, choć dziś wielu preferuje określenie Boszniak). Przepływająca przez miasto Neretwa zdefiniowała nie tylko miejską kulturę, ale i topografię – brzeg zachodni był zamieszkany w głównej mierze przez Chorwatów, a wschodni przez Muzułmanów. Do utrwalenia podziałów przyczynił się jednak napływ mieszkańców z okolicznych wsi.

Gdy w 1995 roku wojna się skończyła, z Mostaru i jego wielokulturowej natury nie zostało prawie nic.

– To ludność wiejska była zawsze bardziej nacjonalistyczna, żyła w monoreligijnych wioskach i nie znała miejskiej kultury opartej na wielokulturowości. A to właśnie seljaci (wieśniacy) dominują dziś w mieście, zmieniając zupełnie jego charakter – opowiadają starzy mieszkańcy.

Po II wojnie światowej, dzięki potężnym inwestycjom w lokalny przemysł, miasto stało się żywą wizytówką naczelnego hasła komunistycznej Jugosławii: „braterstwo i jedność". Z relatywnie wysokim (10–15 procent) odsetkiem osób określających się jako Jugosłowianie imponowało również największą liczbą etnicznie mieszanych małżeństw w całym państwie. No i skakali wszyscy. Bo, jak wyjaśnia Admir:

– Nie jest się prawdziwym mostarianinem, jeżeli się nie skoczyło z mostu.

Dominujące obecnie podziały religijno-narodowe zostały zresztą po II wojnie światowej skrzętnie zamiecione pod dywan. Państwo, promując sekularyzację, nie darzyło instytucji religijnych specjalną sympatią, a wszelkie oznaki nacjonalizmu były surowo karane. – Jedna z lokalnych legend mówi o tym, jak Vlado Šegrt, sławny komendant partyzancki i narodowy bohater, rozwiązał konflikt w czasie spotkania lokalnych władz, gdzie dyskutowano rolę i zasługi poszczególnych brzegów Neretwy w czasie II wojny światowej. Vlado wstał, rąbnął pięścią w stół i powiedział: „Tak nie można, towarzysze, jest jeden brzeg!" – opowiada z widoczną nostalgią jeden z mieszkańców.

eprasa.pl ec1b7d5698

Świat się rozpada

Jeszcze latem 1992 roku, dla uczczenia obrony miasta przed serbskim agresorem, dwóch chłopców skoczyło razem z mostu – jeden z bośniacko-hercegowińską, a drugi chorwacką flagą w ręce. Wtedy most wciąż łączył. Jednak konflikt lat 1992–1995, a w zasadzie dwie wojny, które przetoczyły się wówczas przez miasto, zniszczyły ten wielokulturowy obraz. Wskutek pierwszej pomiędzy Jugosłowiańską Armią Narodową (a więc głównie Serbami) a połączonymi siłami chorwacko-muzułmańskimi zniszczone zostały wszystkie mostarskie mosty, jednak Stary Most przetrwał. Wtedy Chorwaci i Muzułmanie byli jeszcze w stanie współpracować. Druga wojna toczyła się między siłami chorwackimi a bośniackimi, w większości Muzułmanami. Wówczas, w ramach działań prowadzonych głównie przez HVO – Chorwacką Radę Obrony (oficjalną formację militarną parapaństwa Chorwackiej Republiki Herceg-Bośni), miasto wyczyszczono etnicznie: dominująca zachodnia strona stała się chorwacka, a wschodnia, dziś zapomniana i zdewastowana, muzułmańska.

Dzisiejsza Bośnia i Hercegowina to z pewnością jedyne państwo na świecie, w którym skok do wody z wysokości stał się deklaracją polityczną.

To właśnie tej drugiej wojny – chorwacko-muzułmańskiej – „Stary", jak pieszczotliwie nazywają most mieszkańcy, nie przetrwał. 9 listopada 1993 roku został zbombardowany przez HVO. Szesnastowieczne cudo architektury, dla dwudziestowiecznych agresorów stanowiące „cel o znaczeniu wojennym", w ciągu doby zostało zamienione w kupę gruzu. Nie tylko po to, by odciąć Muzułmanów od jakiejkolwiek pomocy, ale przede wszystkim, by złamać w nich ducha i wolę walki. Dla wielu most był miejscem, w którym spędzili swoje dzieciństwo, młodość, a nawet starość – niemym świadkiem pierwszych pocałunków i kłótni z ukochanymi. Wskutek chorwackich działań Mostar stał się miejscem *urbicidu*, celowego zabijania miasta, gdy eksterminacji podlega nie tylko ludność, ale i jej kultura, widoczna między innymi w architekturze, a jego największą ofiarą okazał się Stary Most.

Narcyzm niewielkich różnic *ad absurdum*

Gdy w 1995 roku wojna się skończyła, z Mostaru i jego wielokulturowej natury nie zostało prawie nic. Sterczące pręty, smętnie zwisające kamienie i licha kładka pełniąca funkcję mostu uosabiały to, co stało się z całym miastem podzielonym na dwie zwaśnione części. Strach, nieufność i nienawiść pokryły cały region jak nie-

eprasa.pl ec1b7d5698



Mieszkańcy mówią, że w Mostarze się nie żyje, a jedynie egzystuje. Nie ma komu walczyć o zmianę, rządzą układy i zależności, a miasto przejęły dwie główne partie polityczne – pat polityczny trwa od lat.

widzialna bańka, która nie pozwalała ani na powrót tych, którzy z miasta wyjechali lub zostali wyrzuceni, ani na odbudowę przedwojennego życia.

Wszystko to działo się – paradoksalnie – pod czujnym okiem wspólnoty międzynarodowej, która do Bośni wyjątkowo nie ma szczęścia. Kraj do dziś ma charakter paraprotektoratu i trudno szukać miejsca, w którym Unia Europejska skompromitowałaby się bardziej niż w Mostarze. Przez dwa lata zewnętrznego zarządu, do końca 1996 roku, udało się wprowadzić swobodę poruszania się i zlikwidować fizyczne bariery. Jak podkreśla były burmistrz Safet Oručvić:

– Szukając łatwych oznak sukcesu, inwestowano w monoetniczną infrastrukturę i instytucje, tylko pogłębiając podziały. Zamiast na pojednaniu i przepracowaniu wojennej traumy, skupiono się na odbudowie budynków: widocznym na pierwszy rzut oka symbolu sukcesu i powojennego odrodzenia.

Ukoronowaniem tej strategii było uroczyste oddanie do użytku nowego „Starego" w lipcu 2004 roku – chciano, by po wojnie miasto i jego most stały się przykładem dla całego państwa. Biały łuk miał spajać nie tylko dwa brzegi, ale też dwie nacje, a dzień oddania odbudowanego mostu do użytku czczono jako dzień zwycięstwa współżycia nad czystkami.

– Jakie ma znaczenie most, co to miał łączyć, a nie dzielić, w porównaniu z hiszpańskimi inwestycjami w elektrownię wodną napływającymi poprzez nielegalne struktury Herceg-Bośni czy zagranicznymi inwestycjami w fabrykę aluminium w czysto chorwackim, zachodnim Mostarze? – pyta z goryczą jeden w mieszkańców.

eprasa.pl ec1b7d5698



Aleksandra Zdeb

Z mostu, wspaniałego zabytku kultury osmańskiej, kiedyś się po prostu skakało. Dziś wszystko zostało upolitycznione i zetnizowane – nad Klubem Skoczków powiewa flaga powszechnie uważana za narodowoboszniacką, a Chorwaci nie skaczą.

eprasa.pl ec1b7d5698

Niezależnie od liczby symbolicznych gestów, zainwestowanych setek milionów dolarów i dyskursu nakierowanego przeciwko podziałom, powojenna codzienność pokazała, że tylko oddzielne instytucje odziedziczone po chorwackim parapaństwie z okresu wojny i finansowane przez główną partię chorwacką HDZ oraz samą Chorwację jako tako działały. W rezultacie dominują one w mieście do dziś.

– Zaraz po wojnie istniały odrębne urzędy, burmistrzowie i siły porządkowe. Od 2004 roku administracja jest zjednoczona, ale nie ma to żadnego znaczenia. To prąd, woda, telefony i telewizja, a więc usługi dzielą dziś miasto – opowiada Mustafa, jeden z pracowników lokalnej administracji.

Wbrew politycznym zawieruchom tradycja skoków ze Starego Mostu i odbywający się corocznie w lipcu konkurs przetrwały wojenne niepokoje.

To, z usług którego dostawcy można skorzystać, jest zdefiniowane przez miejsce, w którym się mieszka. Tym sposobem po jednej stronie Chorwaci mają wodę, prąd i internet chorwacki, a Muzułmanie, po drugiej, muzułmański. Są dwa dworce autobusowe i uniwersytety. Tylko szkoła muzyczna jest jedna.

– Mój syn chodzi na stronę muzułmańską do szkoły muzycznej, nie mamy innego wyjścia, ale nie chce pani wiedzieć, jakich piosenek go tam uczą. Jednak codzienne życie to życie, trzeba sobie jakoś radzić – opowiada jeden z przedstawicieli chorwackiej skrajnej prawicy.

Choć w tym jednym przypadku życie zmusza do przekraczania granic i podziałów, sytuacja w mieście w najbliższej przyszłości raczej się nie zmieni. Od 2008 roku nie odbyły się tu wybory do rady miasta, ponieważ nie udało się przeprowadzić narzuconej przez sąd konstytucyjny zmiany lokalnego prawa wyborczego. W rezultacie rządzi sam burmistrz. Ten sam od 2004 roku.

– Przynajmniej niekompetentni politycy nie podejmują szalonych decyzji. To stagnacja: taka jak w całym państwie, a możliwości dawno się wyczerpały – twierdzi Mustafa.

Dlatego mieszkańcy mówią, że w Mostarze się nie żyje, a jedynie egzystuje. Nie ma kto walczyć o zmianę, rządzą układy i zależności, a miasto przejęły dwie główne partie polityczne – pat polityczny trwa od lat.

Duch nacjonalizmu krąży nad miastem

Wbrew politycznym zawieruchom tradycja skoków ze Starego Mostu, a także odbywający się corocznie w lipcu konkurs przetrwały wojenne niepokoje. O tym, że dla mostarian skok oznacza coś więcej niż sport ekstremalny, świadczy fakt, że

eprasa.pl ec1b7d5698

skakano zarówno pod ostrzałem moździerzy, jak i wówczas, gdy biały murowany łuk łączący brzegi Neretwy zastąpiła drewniana kładka. Dziś skoczkowie związani z Klubem Skoczków za skok dla publiki również pobierają opłatę – 25 euro zbierane do małej czapeczki jest ich wynagrodzeniem za pokaz kunsztu, który doskonalą całe życie. Dla wszystkich jest oczywiste, że skaczą tylko mężczyźni. Wyczyn jest tak imponujący, że wielu turystów też chce skoczyć.

– Chętni płacą nie tylko za skok, ale i za trening. Za 25 euro zostają członkami klubu, co daje im coś na kształt licencji na skakanie, jeżeli wrócą do Mostaru. Techniki uczymy ich z juniorskiej trampoliny, która ma 10 metrów – jeżeli nie są w stanie opanować podstaw, nie są wpuszczani na most. Jest zbyt niebezpiecznie – kontynuuje Admir.

Przyjezdni skaczą, by się sprawdzić i zdobyć wakacyjne wspomnienie. Ekstremalne, bo woda ma zaledwie kilka stopni, most 24 metry wysokości, a od ciężaru historii i znaczeń, które go spowijają, nie sposób uciec.

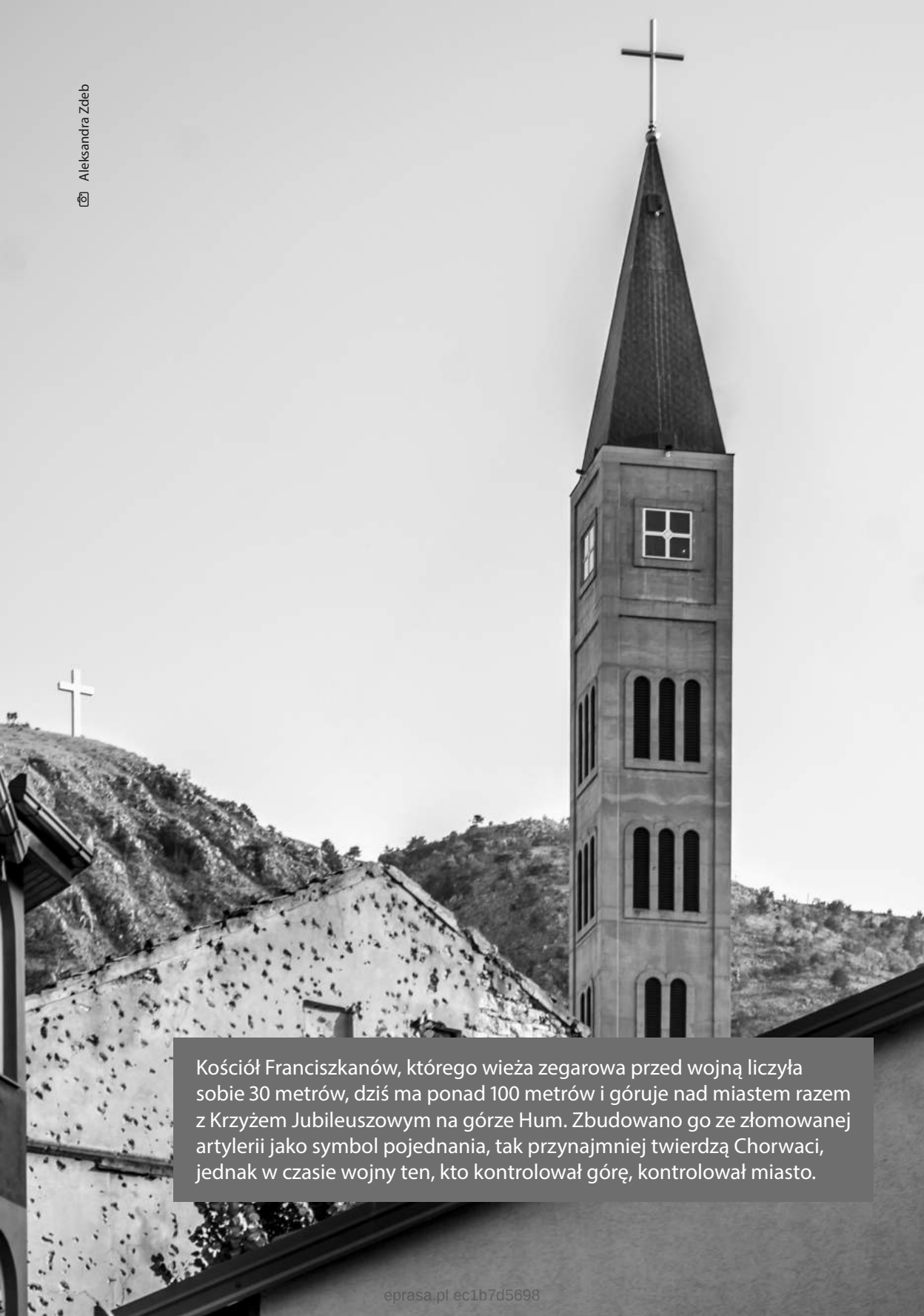
W Mostarze się nie żyje, a jedynie egzystuje. Nie ma kto walczyć o zmianę, rządzą układy i zależności.

Most jest zresztą tylko jednym z przykładów walki na symbole, do jakiej dochodzi w przestrzeni publicznej Mostaru, która została zagarnięta przez historię i jej artefakty. Flagi, ulice, budynki, instytucje, świątynie i monumenty są dziś opatrzone etnicznym przedrostkiem. Kościół Franciszkanów, którego wieża zegarowa przed wojną liczyła sobie 30 metrów, dziś ma ponad 100 metrów i góruje nad miastem razem z Krzyżem Jubileuszowym na górze Hum. Zbudowano go ze złomowanej artylerii jako symbol pojednania, tak przynajmniej twierdzą Chorwaci, jednak w czasie wojny ten, kto kontrolował górę, kontrolował miasto. Krzyż, widoczny z każdego punktu w mieście, poniekąd zagarnia całą dolinę i jest solą w oku jego niekatolickich mieszkańców. Z drugiej strony, o ile Chorwaci wydają się przedkładać wielkość nad ilość, o tyle Muzułmanie próbują nadrabiać liczbą meczetów – w latach osiemdziesiątych XX wieku było ich szesnaście, dziś jest trzydzieści osiem.

Skok polityczny

Z mostu, zwanego w historii „Nowy", „Sułtana Sulejmana", „Wielki", a w końcu „Stary", wspaniałego zabytku kultury osmańskiej, kiedyś się po prostu skakało. Dziś wszystko zostało upolitycznione i zetnizowane – nad Klubem Skoczków powiewa flaga powszechnie uważana za narodowoboszniacką, a Chorwaci nie skaczą. Choć w historii skoków wiele wielkich imion było chorwackich, a Admir zapewnia, że

eprasa.pl ec1b7d5698



Aleksandra Zdeb

Kościół Franciszkanów, którego wieża zegarowa przed wojną liczyła sobie 30 metrów, dziś ma ponad 100 metrów i góruje nad miastem razem z Krzyżem Jubileuszowym na górze Hum. Zbudowano go ze złomowanej artylerii jako symbol pojednania, tak przynajmniej twierdzą Chorwaci, jednak w czasie wojny ten, kto kontrolował górę, kontrolował miasto.

eprasa.pl ec1b7d5698

każdy może skoczyć – skoczkowie nie bawią się przecież polityką, mieszkańcy zachodniego brzegu uparcie twierdzą, że nie czują się tam mile widziani. Nie biorą również udziału w obchodach upamiętniających zburzenie „Starego" – chorwaccy urzędnicy, próbując nagiąć historię i pamięć w imię przyszłości i pojednania, celebrują tylko rocznice jego odbudowy.

Dzisiejsza Bośnia i Hercegowina to z pewnością jedyne państwo na świecie, w którym skok do wody z wysokości stał się deklaracją polityczną, most zamiast łączyć – dzieli, a miasto trwa, bo trudno powiedzieć, by żyło, niewidzialnymi granicami i historią. Tą dawniejszą, jugosłowiańską, i nowszą – wojenną.

Aleksandra Zdeb jest doktorantką Centre of Southeast European Studies na Uniwersytecie w Gracu oraz analityczką w projekcie na Queen's Univerity w Belfaście. Zajmuje się kwestiami podzielonych miast, zarządzaniem konfliktami etnicznymi, a także przestrzenią pojugosłowiańską.

eprasa.pl ec1b7d5698

Destalinizacja, restalinizacja, dialog

Z Kubą Snopkiem, architektem i badaczem architektury, rozmawia Paulina Siegień

PAULINA SIEGIEŃ: Wśród osób interesujących się architekturą jesteś w Rosji i na Ukrainie popularny i ceniony. Dlaczego Europa Wschodnia?

KUBA SNOPEK: W 2010 roku pracowałem w Danii, w uznanym, a właściwie topowym biurze architektonicznym Bjarke Ingels Group. W biurze była biblioteka, gdzie znalazłem książkę o radzieckiej awangardzie. Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się to banalne, bo wszyscy architekci, którzy są zafascynowani rosyjską architekturą, są zafascynowani radziecką awangardą. To portal, przez który się wchodzi do tamtego świata. Tyle że sto lat temu architekci awangardy ukształtowali dyskurs o architekturze w taki sposób, że do dzisiaj jego echa są słyszalne. Szczególnie zafascynował mnie architekt Iwan Leonidow, co znowu trąci banałem, bo jest pewnie najlepszym z awangardowych architektów. Ale miałem jeszcze drugiego idola – to był Rem Koolhaas, czyli być może ostatni żyjący architekt awangardowy. I wtedy, w 2010 roku okazało się, że Koolhaas otwiera szkołę w Moskwie, nie kryjąc, że będzie to związane w jakiś sposób z badaniami awangardy. Więc oczywiście podniosłem rękę, że chcę, że lecę.

Rem Koolhaas założył w Moskwie Strietkę. To jedno z słów, które niemal zawsze padają w Rosji w dyskusjach o przestrzeni miejskiej. Co to właściwie jest Strietka?

Strietka to taki parasol, pod którym kryje się wiele rzeczy, które czasem są wewnętrznie sprzeczne. Dwa główne filary Strietki to program edukacyjny i konsulting. Programem edukacyjnym zajmuje się Instytut Mediów, Architektury i Designu „Strietka", który ukończyłem i w którym przez cztery lata pracowałem, a konsultingiem zajmuje się firma konsultingowa KB „Strietka". Program edukacyjny Instytutu był w dużym stopniu krytyczny wobec tego, co się dzieje w architekturze i oparty na poszukiwaniu nowych rozwiązań. Pracowałem tam nad wieloma projektami badawczymi, na przykład razem ze studentami badaliśmy mikrorajony, czyli blokowiska, ale też prowadziliśmy badania dotyczące dacz. W Rosji jest 40 milionów dacz! Z jednej strony prawie wszyscy mieszkają w blokach, ale z drugiej strony bardzo duży odsetek ludzi ma działki i dostęp do przyrody. Odbyliśmy też wielką wyprawę Wołgą szlakiem nadwołżańskich miast, by zrozu-

eprasa.pl ec1b7d5698

mieć, jak można naprawić rzekę, która została zniszczona w latach pięćdziesiątych XX wieku. Takich tematów badawczych było wiele, były one świeże i pozycjonowały się w reakcji do dziedzictwa komunizmu. Ale też do tego, co się dzieje dzisiaj.

Praca w Moskwie Cię wciągnęła.

W 2010 roku Moskwa była takim miejscem, gdzie wszystko się mogło zdarzyć. To było miasto w trakcie transformacji i jeszcze nie do końca było wiadomo, w którą stronę ta transformacja przestrzeni pójdzie. Była nadzieja, że może to będzie architektura krytyczna, w sprzeciwie wobec głównego nurtu architektury deweloperskiej, czyli architektury opartej na zysku.

W ramach studiów w Striełce zająłem się drugą awangardą, czyli architekturą, która zaczęła się w czasach chruszczowowskiej odwilży. Myślę, że druga awangarda jest wciąż niezrozumiana. Moda na późny modernizm ogranicza się do form, do brutalizmu, do tego, co można wrzucić na Instagram. Natomiast istotą drugiej awangardy jest coś zupełnie innego. Reforma Nikity Chruszczowa polegała na tym, by zapewnić ludziom mieszkania. Pełna industrializacja procesu produkcji domów mieszkalnych doprowadziła do tego, że udało się zażegnać kryzys mieszkaniowy. Swoje poszukiwania badawcze podsumowałem w książce Bielajewo. Zabytek przyszłości, która została wydana w trzech językach. Zaproponowałem w tej książce, by moskiewskie Bielajewo, czyli osiedle, które nie prezentuje żadnej architektonicznej unikatowości, wpisać na listę UNESCO. Bo jest unikatowe, ale w sensie kulturowym. Chciałem w ten sposób sprowokować do namysłu nad dziedzictwem drugiej awangardy.

Mówisz o tym atrakcyjnym językiem: druga awangarda, późny modernizm. A chyba dla większości osób w Polsce, zresztą nie tylko, to są po prostu brzydkie, szare albo niestety ostatnio coraz częściej wściekle kolorowe blokowiska. A zaryzykuję stwierdzenie, że radzieckie blokowiska są jeszcze brzydsze.

W książce pisałem o tym, że chruszczowki są oczywiście brzydkie, za to każdemu zapewniły mieszkanie, ale nie tylko, bo dały też przestrzeń publiczną, dostęp do zieleni, światła i powietrza. Dzisiaj zapominamy, że modernistyczna architektura i planowanie przestrzenne opierały się na postulatach dotyczących higieny. Teraz skupiamy się na kompozycji, zamiast myśleć o higienie. Stąd na przykład problem smogu – przestaliśmy myśleć o higienie, zależy nam na tym, by miasta były ładne i przynosiły zysk.

W Polsce architekturę, która została nam po komunizmie, ocenia się generalnie źle i mam wrażenie, że ludzie po cichu marzą, by te wszystkie blokowiska wyburzyć, aby na ich miejsce pojawiły się przytulne kwartały kamienic. A o czym marzą Rosjanie, kiedy patrzą na swoje osiedla?

eprasa.pl ec1b7d5698

Spojrzenie na to, co się dzieje w Rosji w sprawach miejskich, daje ciekawą perspektywę, bo wszystkie procesy rozgrywające się u nas albo w Europie Zachodniej tam odbywają się w sposób najbardziej ekstremalny. Zawsze tak było. Francuzi wymyślili prefabrykowane budynki, ale dopiero Chruszczow wprowadził takie ramy prawne, że zabudowano nimi cały Związek Radziecki i jeszcze parę innych krajów. W sposób absolutnie ekstremalny dostosowano i program edukacji, i przemysł, i organizację biur architektonicznych do tego, by jak najszybciej budować. Tak samo jest teraz: pomysły, które pojawiły się gdzieś na Zachodzie, są zaszczepiane w Rosji, ale przybierają o wiele bardziej radykalne formy. Moskiewska renowacja jest dobrym przykładem.

Przyszła administracja Moskwy i powiedziała: burzymy.

Dokładnie, bo tak zwany program renowacji wbrew nazwie nie jest wcale programem renowacji, tylko skokiem na *real estate*, czyli działki. W modernizmie zagospodarowanie przestrzeni miało kluczowe znaczenie. Przestrzeń pozwalała dać powietrze i światło mieszkaniom. Budynki były rozstawiane szerzej, żeby zapewnić dostęp do tych, zdawałoby się, podstawowych dóbr.

A dzisiaj ziemia jest głównie źródłem zysku, zresztą każda powierzchnia w mieście, nie tylko pozioma, ale też pionowa. Renowacja oznacza, że 1,7 miliona ludzi w Moskwie – czyli mniej więcej tyle, ilu mieszkańców liczy Warszawa – zostanie zmuszonych do przesiedlenia się do nowych mieszkań. W gorszej lokalizacji, w wyższych budynkach, na osiedlach o większej intensywności zabudowy, a więc o większej gęstości zaludnienia.

Po publikacji książki zarzucano mi, że przecież ta architektura jest moralnie nie do zaakceptowania, że się moralnie zestarzała. Że to po prostu niski standard, że w tym się nie da mieszkać, że to jest brzydkie, że normy izolacyjne, że to trzeba natychmiast wyburzyć. W akcie prawnym, który zarządził „renowację", jest mowa właśnie o tym, że ta architektura moralnie się zestarzała. I nagle okazało się, że ten argument wzbudza u ludzi pusty śmiech. To dobry argument, kiedy teoretycznie mówimy o jakimś tam blokowisku, ale kiedy mówimy o swoim domu, o miejscu, w którym mieszkamy i jesteśmy zmuszani je opuścić, to kwestia estetyki przestaje być najważniejsza.

W Polsce trudno sobie wyobrazić taką skalę ingerencji w przestrzeń, gdzie mieszkają ludzie.

Mnie ten program poraża właśnie dlatego, że można to zrobić. Że można rzeczywiście zamachnąć się na własność olbrzymiej liczby ludzi. Ale też ciekawe jest to, co z tego wyniknie później. Renowacja wywołuje protesty, ludzie się integrują wokół tego problemu. Mam nawet cichą nadzieję, że sprawa renowacji wywołała jakąś polityczną zmianę, bo tutaj już nie jesteśmy na poziomie frazesów, na poziomie tego, że jest ładnie albo brzydko, że wolimy, żeby była Europa, a nie Związek

eprasa.pl ec1b7d5698

Radziecki. Teraz jesteśmy na poziomie tego, że to jest mój dom. To jest zupełnie inny poziom dyskusji, który o wiele mocniej włącza ludzi w działalność polityczną. Organizowane są protesty przeciw deweloperom, ludzie łączą się, tworzą grupy, dyskutują – to wszystko jest działaniem politycznym.

Jeśli pominąć skalę moskiewskiej renowacji i leżący u jej podstaw nieuczciwy zamysł, to jednak coraz częściej podnoszona jest kwestia stanu technicznego blokowisk. Czy one przetrwają kolejne pięćdziesiąt lat?

Architektura prefabrykowana rozprzestrzeniła się na jedną szóstą globu i nie można powiedzieć o każdym bloku tego samego. W jak złym stanie były bloki w Marzahn w Berlinie, jeśli płyty, z których były zbudowane, zostały zdemontowane i wysłane do Petersburga, żeby tam wybudować nowe bloki? Reinier de Graaf pisze o tym w swojej nowej książce. Bloków jest na świecie tak dużo, że mogą się zdarzyć takie, których stan techniczny jest bardzo słaby, ale mogą być też takie, których stan techniczny jest fantastyczny.

Przez rosyjskie miasta od kilku lat przechodzi fala rewitalizacji, mówi się o niej błagoustrojstwo, albo kształtowanie komfortowego środowiska miejskiego. Czy to od Striełki poszedł ten miejski impuls, czy raczej Striełka dobrze wpisała się w pewien trend dyskusji o tym, jak rosyjskie miasta, z ich radzieckim dziedzictwem, przez prawie trzy dekady psute przez dziki kapitalizm, powinny wyglądać?

Przez ostatnie kilka lat mam przywilej pracy w kilku krajach, zrobiłem duży projekt badawczy w Polsce, przez cztery lata pracowałem w instytucie w Moskwie. W tej chwili pracuję nad dwoma projektami na Ukrainie, trochę miałem do czynienia z Gruzją. Mam porównanie, jak to wygląda w różnych miejscach. Wydaje mi się, że istnieje coś takiego jak duch czasów, pewien ogólnoświatowy *Zeitgeist*. Na całym znanym mi świecie dyskurs o miastach idzie w podobną stronę. W skrócie: modernistyczne pomysły zostają wyeliminowane, następuje zagęszczenie miast, zmieniają się środki transportu. To się generalnie dzieje wszędzie. Z drugiej strony jest lokalny *Zeitgeist* na przestrzeni poradzieckiej, czy szerzej postkomunistycznej.

Nawet gdyby Striełka nie powstała, to dyskusja o tym, co zrobić z tym, co pozostało po komunizmie, i tak by się toczyła. Striełka zręcznie złapała ten wiatr w swój żagiel. Jeżeli na Zachodzie reakcja na modernizm jest dosyć miękka, dlatego że postmodernizm się przecież narodził i wyewoluował na Zachodzie, to w przypadku przestrzeni poradzieckiej ta reakcja jest o wiele bardziej gwałtowna. Dlatego, że modernizm był tam o wiele bardziej radykalny i trwał dłużej, bo praktycznie do rozpadu Związku Radzieckiego. Wiele procesów na całym terytorium postkomunistycznym jest podobnych. Na przykład liberalizacja gospodarcza, która nastąpiła w latach

eprasa.pl ec1b7d5698



Mikrorajon (blokowisko) Bielajewo w Moskwie nie prezentuje żadnej architektonicznej unikatowości, ale jest unikatowe w sensie kulturowym.

dziewięćdziesiątych poprzedniego wieku sprawiła, że rosną metropolie, ale wyludniają się mniejsze miasta. Są jednak też różnice pomiędzy tym, jak te procesy zachodzą w różnych krajach.

Jakie?

Na Ukrainie trwa proces dekomunizacji dotyczący też przestrzeni i architektury. Obecnie jest to w zasadzie główny nurt, który dotyczy spadku po komunizmie, ale moim zdaniem, to nie jest określenie precyzyjne. Należałoby raczej mówić o destalinizacji, bo to, co staje się obiektem krytyki, to właśnie polityka doby stalinowskiej, która przybrała także pewną formę architektoniczną. W Polsce destalinizacja również ma miejsce, chociaż także nazywa się ją dekomunizacją i moim zdaniem jest to termin błędny. Nikt chyba nie chce wyburzyć Ursynowa, rozmawiamy raczej o takich obiektach jak Pałac Kultury. Zresztą ciekawsze od dyskusji o Pałacu Kultury jest to, co już się wydarzyło, czyli powrót do modernistycznej estetyki wieżowca Prudentialu na placu Powstańców Warszawy, który został po wojnie zsocrealizowany i teraz wrócił do swojej modernistycznej formy. Destalinizacja zadziałała.

eprasa.pl ec1b7d5698

Z kolei w Rosji, w jakiś miękki sposób, nie bardzo wyraźnie, ale zachodzi proces odwrotny, czyli restalinizacja. Oczywiście nie polega to na tym, że nagle wszyscy zaczynają uważać, że Stalin był super, ale na przykład w architekturze widać powrót stalinowskich „wysotek". Ciekawy przykład to nowy biurowiec Orużejnyj Biznes-Centr w Moskwie. Stało się z nim to samo co z budynkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czyli jedną z tak zwanych siedmiu sióstr Stalina. Już po ukończeniu budowy – budynek rosyjskiego MSZ powstał z płaskim dachem – Stalin dorysował mu wieżyczkę i w ten sposób przekształcił go w typowy radziecki ziggurat. Podobnie wieżowiec przy obwodnicy Sadowej. Parę lat temu został otwarty jako budynek z płaskim dachem, a potem została dodana wieżyczka. To właśnie te dwa trendy, różne dla różnych krajów poradzieckich – destalinizacja i restalinizacja, określiłbym jako najważniejsze tendencje w dyskursie o architekturze i przestrzeni na tym obszarze.

Rozmawiamy w Kijowie, więc zapytam: czy da się w ogóle zdestalinizować Chreszczatyk?

Ja bym raczej zapytał: po co? Ikonoklazm jest najprostszą formą dyskusji z przeszłością i można na pewno znaleźć lepsze. Na Ukrainie pierwsza pomajdanowa fala burzenia pomników Lenina była zrozumiała, co do tego nikt nie ma wątpliwości. W przypadku architektury trzeba szukać innych rozwiązań. Byłem inicjatorem projektu „Scena" w Dnieprze (byłym Dniepropietrowsku) – rewitalizacji stalinowskiego amfiteatru w parku. Teatr rozumiany jako dyscyplina sztuki bardzo się zmienił od lat trzydziestych XX wieku, kiedy powstał ten stalinowski amfiteatr. W międzyczasie zostały zniesione granice między publicznością i aktorem, powstały bardziej abstrakcyjne formy teatralne. A teatr stalinowski był niezwykle prosty. Hierarchiczna struktura, zrozumiałe przedstawienia, propaganda, teatr masowy. By przezwyciężyć ten ciężar gatunkowy, najważniejsze jest zrozumienie, czym to miejsce było wcześniej i jak działało.

Naszym celem była polemika z tym hierarchicznym kształtem teatru. Postanowiliśmy stworzyć scenę, która będzie taką radykalną interwencją od dołu. Współpracowaliśmy z lokalnym NGO, zorganizowaliśmy crowdfunding i crowdsourcing. Zebraliśmy grupę ludzi z różnych wspólnot w Dnieprze, którzy przychodzili i pomagali budować. W ten sposób udało nam się stworzyć oddolnie strukturę niebędącą ani teatrem, ani sceną, ale czymś bardzo umownym. Jest obiektem, które pozwala się zebrać, coś razem zrobić. A ze względu na to, że dużo ludzi budowało razem, to poczuli oni pewną więź emocjonalną z tym miejscem. Ukuliśmy taki slogan, że Scena to miejsce, gdzie każdy może zorganizować własny spektakl. Stworzyliśmy bardzo prosty mechanizm obsługi Sceny i przez dwa miesiące w ubiegłym roku zostało zorganizowanych oddolnie sześćdziesiąt wydarzeń. To nowy model, który stoi

eprasa.pl ec1b7d5698

w absolutnym kontraście do hierarchicznej struktury, która tam była wcześniej. Projekt dostał wyróżnienie w konkursie na najlepszą przestrzeń publiczną w Europie, European Prize for Urban Public Space, a teraz został nominowany do nagrody Miesa van der Rohe, czyli najważniejszej europejskiej nagrody architektonicznej. Myślę, że to dobry przykład tego, jak prowadzić dyskusję z przeszłością.

Czy to jest droga, którą będzie podążać Ukraina, by przezwyciężyć radzieckie formy architektoniczne? Jeśli tak, to ta dyskusja z przeszłością będzie musiała przybrać masowy charakter.

Najważniejsze, by architekci, którzy będą ją prowadzić, byli wyposażeni w krytyczne narzędzia oglądu rzeczywistości. Obecnie w Charkowie współtworzę program edukacyjny nowej szkoły architektury. To projekt, który zrywa ze starymi metodami kształcenia architektów. Dziś różnica między rzeczywistością a rzeczywistością edukacyjną jest tak duża, że trzeba program napisać od nowa.

W tej chwili robimy projekt ze studentami pierwszego roku. Ich zadaniem jest interwencja w budynku charkowskiej poczty, który został wybudowany sto lat temu. To niesamowity, awangardowy budynek. Projekt zaczął się od badań. Co to jest poczta? Jak się zmieniła? Komu służy? Jak zmieniły się procesy technologiczne, logistyka? Okazało się, że zmieniło się wszystko, że żaden z elementów wyjściowych dzisiaj nie działa tak samo jak sto lat temu. Teraz zadaniem studentów jest narysowanie rzutu tej poczty w skali 1 do 50, w wyniku czego powstanie obraz o wymiarach 2 na 5 metrów. Mają na nim odwzorować wszystko, co jest w środku. To przykład jednej z zasad, którą wprowadziliśmy – nie ma projektów typu tabula rasa, gdzie student po prostu wymyśla nowy budynek. Najpierw trzeba narysować to, co jest, przestudiować, zrozumieć procesy, które w tym miejscu zachodzą. Dopiero potem można dać odpowiedź w odpowiedniej formie. Estetyka jest oczywiście bardzo ważna, ale istotniejszy jest dla nas dialog. Nie lubię pojęcia kontekstualizm ani mówienia o „wpisywaniu się". W Charkowie uczymy studentów, że nowa forma powinna być w dialogu ze starą.

Inna ważna zasada to praca grupowa. Wszystkie projekty w Charkowskiej Szkole Architektury będziemy wykonywać w grupie, a potem także we współpracy z zewnętrznymi ekspertami. Współpraca jest istotą zawodu architekta, nie da się kształtować przestrzeni w pojedynkę.

Czyli Ukraina powinna iść do przodu, prowadząc krytyczny dialog z formami z przeszłości?

Wydaje mi się, że możliwości takiego dialogu na Ukrainie są nieograniczone. Chociażby dlatego, że jest krajem bardzo zróżnicowanym. Duże ukraińskie miasta bardzo się od siebie różnią, każde prezentuje inną jakość. Sam mocno trzymam za Ukrainę kciuki: po Majdanie pojawia się tutaj mnóstwo nowych inicjatyw,

eprasa.pl ec1b7d5698

świeżych pomysłów. Mnie współczesna Ukraina mocno inspiruje ze względu na zachodzącą w niej tu i teraz zmianę.

W tym kontekście jeszcze ciekawszy jest Charków. Jest doskonałym miejscem, by kształcić nowych architektów, bo zmienia się jeszcze silniej niż inne miasta postkomunistyczne. W Charkowie transformacja dotyka wszystkich kluczowych sfer: demografii, ekonomii, edukacji. Tutaj jest większa szansa uchwycenia i zrozumienia zachodzących obecnie w postsocjalistycznej Europie procesów niż w miejscach, które zastygły w jakimś konkretnym momencie i są zadowolone z siebie. Brak satysfakcji ze stanu obecnego powoduje ciągłe poszukiwania. Frustracja to dobry materiał do tworzenia czegoś nowego. A architekci są kształceni do tego, żeby projektować przyszłość.

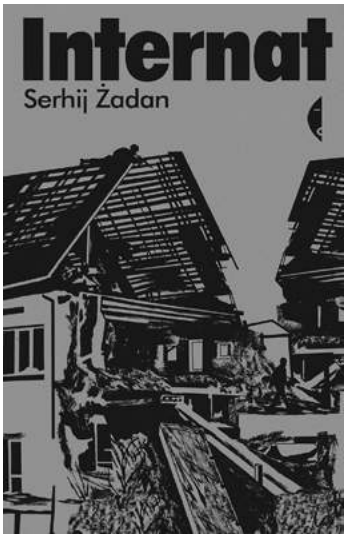
Kuba Snopek jest urbanistą i badaczem architektury. Ukończył studia na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej oraz w moskiewskim Instytucie Striełka. Jest autorem książki *Bielajewo. Zabytek przyszłości* (Warszawa 2014) i współautorem (z Izabelą Cichońską i Karoliną Poperą) pracy o budowie kościołów w komunistycznej Polsce *Architektura VII dnia*.

eprasa.pl ec1b7d5698

Internat (fragment)

Serhij Żadan

W waszym kraju uczyć historii, to jak łowić ryby: nigdy nie wiesz, co wyciągniesz. Chociaż mi się podoba ta wasza miłość do historii – mówi Peter, wyciąga nowego papierosa, znów pstryka zippem – prezentujemy fragment najnowszej powieści Serhija Żadana *Internat*, która ukaże się 20 lutego nakładem Wydawnictwa Czarne.



Pasza przysiada się do Petera, skądś od razu pojawia się ryba i alkohol w plastikowych kubkach. Peter nonszalancko chwyta kubek i nawet stuka w czyjś plastikowy i jednorazowy. Jednorazowe poskrzypywanie plastiku, jednorazowe wlewanie alkoholu do gardła. Peter energicznie zatrzymuje swój kubek w powietrzu, potem ledwie zauważalnym ruchem wylewa jego zawartość pod stół na zimną kamienną podłogę. Następnie wyciąga z niewielkiej ledwie zauważalnej kieszeni równie niewielką butelkę obciągniętą brązową skórą, odkręca i nalewa sobie z niej coś smacznego. Paszy nie proponuje – Pasza chwyta wargami kubek, wlewa w siebie gorzką palącą wilgoć miejscowej produkcji, zanosi się kaszlem, ktoś wsuwa mu prosto do ust kawałek ryby i Pasza starannie ją przeżuwa, zabijając zapach żenionego alkoholu martwym zapachem ryby. Peter patrzy na to wszystko z lepkim uważnym obrzydzeniem, przy czym nie wiadomo, co właściwie to obrzydzenie wywołuje – Pasza czy ryba. Ale Peter szybko bierze się w garść i znów się uśmiecha, i krzyczy coś w tłum, odpowiadając na czyjeś pytanie, i komentuje coś zasłyszanego przy sąsiednim stoliku. Pije swoje i zabiera się za Paszę.

– Czym się pan zajmuje? – pyta.

Pasza waha się, w jakim języku ma odpowiedzieć. W końcu odpowiada po rosyjsku.

– Jestem nauczycielem – mówi krótko.

– Aha! – śmieje się Peter.

Grzebie w kieszeni, wyciąga po kolei dwie paczki papierosów – nierozpieczętowaną, z tanimi mocnymi, i napoczętą, z lightami prawie bez nikotyny. Tanie chowa

eprasa.pl ec1b7d5698

z powrotem, natomiast wyciąga dwa lighty, jednego podaje Paszy. Pasza odmawia, Peter ostrożnie chowa niepotrzebnego papierosa do napoczętej paczki, a drugiego niedbale chwyta wargami, wyciąga z niewidocznej kieszeni nowiutkie zippo, kciukiem lewej dłoni umiejętnie otwiera przykrywkę, podpala, chowa zapalniczkę z powrotem do kieszeni, zaciąga się. Tak boleśnie mruży oczy, łapie się na tej myśli Pasza, jakby palił samosieję.

– A gdzie pana uczniowie? – pyta go Peter, wypuszczając dym, przez co jego głos brzmi zachryple i ufnie.

– Na feriach – wyjaśnia Pasza.

Peter energicznie kiwa głową.

– Aha – mówi – na feriach. Szkołę właśnie wymyślono dla wakacji i ferii – mówi. – Ja na ferie zawsze jeździłem ze starym na ryby.

– Nad rzekę? – uściśla Pasza.

– Nad ocean – mówi Peter.

– Nad jaki ocean?

– Nad Spokojny.

Pasza nie wie, co odpowiedzieć.

– Dokąd chciał pan jechać? – pyta Peter, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Do miasta. – Pasza nerwowo kręci się na krześle. Peter mówi tak przyjacielsko, że od razu przestajesz mu ufać.

– Aha – znów cieszy się Peter. – Sprawy do załatwienia?

– Sprawy – zgadza się Pasza po zastanowieniu. – Siostrzeniec w internacie. Chcę go zabrać. Na wolne dni.

– Widzę, że wy tutaj codziennie macie wolne.

Pasza myśli, że lepiej będzie to przemilczeć.

– Może innym razem zabiorę – dodaje, po chwili milczenia.

– Aha – przytakuje mu Peter – za jakieś dwa miesiące.

– Czemu za dwa? – nie rozumie Pasza.

– No, zanim ustabilizuje się nowa linia frontu, zanim założą posterunek i przejście – wyjaśnia Peter. – Dlaczego pan go wcześniej nie zabrał, skoro są ferie? Co pan, wiadomości nie czyta?

– Nie czytam – szczerze odpowiada Pasza.

– Ja też nie czytam – przyznaje się Peter. – Ja je piszę – dodaje po odrobinę za krótkiej pauzie i roześmiawszy się, wypuszcza na wszystkie strony tytoniowy dym.

– I co robić? – pyta zagubiony Pasza. – On ma problemy ze zdrowiem, boję się o niego.

– Teraz niech go pan zabierze – radzi mu Peter, uśmiechając się – oni jeszcze kilka dni będą stamtąd wychodzić – pokazuje na żołnierzy wokół – oni wszyscy teraz nie

eprasa.pl ec1b7d5698

mają na pana czasu. W mieście władza się zmienia. Kto wie, co będzie z internatem. Nowej władzy – kiwa głową w stronę, gdzie jego zdaniem powinna być teraz nowa władza – nie do internatów. Będą czyścić miasto po waszych.

To jego „po waszych" drażni Paszę, ale powstrzymuje się, nie zaprzecza.

– Tam chyba strzelają? – obawia się Pasza.

– Tym bardziej – zgadza się Peter. – Tym bardziej. Nie chciałbym spędzać ferii pod ostrzałem artyleryjskim.

Pasza myśli gorączkowo. Nie może wymyślić nic lepszego, niż zadzwonić do starego. Wyciąga nokię, wybiera numer.

– I zasięg też za jakieś dwa miesiące będzie – komentuje Peter. – I to jeśli wasza władza się postara. – Peter znów akcentuje słowo „wasza". – Do tej pory się nie starała.

Pasza patrzy na ekran – faktycznie, nie ma zasięgu. Chociaż jeszcze wczoraj w nocy wszystko było w normie.

– Specjalnie zagłuszają – wyjaśnia Peter – żeby wasi – pokazuje wokół – nie wiedzieli, jaka jest sytuacja. Nikt nic nie wie, nikt nikomu nie ufa. Średniowiecze – dodaje i starannie kiepuje do połowy wypalonego papierosa w popielniczce zrobionej z puszki po piwie. – Nie uczy pan czasem historii? – Patrzy uszczypliwie na Paszę.

– Nie – odpowiada Pasza – nie historii.

– Słusznie – chwali go z jakiegoś powodu Peter – w waszym kraju uczyć historii, to jak łowić ryby: nigdy nie wiesz, co wyciągniesz. Chociaż mi się podoba ta wasza miłość do historii – mówi Peter, wyciąga nowego papierosa, znów pstryka zippem, znów wypuszcza dym w sufit – słusznie-słusznie, radźcie sobie, kopcie, zuchy. Wie pan, co ja bym wam poradził – ciągnie Peter, odchylając się na oparcie krzesła i zaciskając papierosa między dwoma palcami, a Pasza go słucha, aż zauważa, jak do sali wpada czterech wojskowych, ich twarze są wyjątkowo ciemne, ruchy ciężkie i nerwowe, a oczy mają czerwone od złości i dymu, obrzucają spojrzeniami wnętrze i dokładnie, bezbłędnie, od razu wyławiają spomiędzy żołnierzy dwóch cywilów – Paszę i Petera – i ruszają w ich stronę, nieubłaganie omijając stoły. I przy stołach nagle zauważają ten ruch, i rozmowy cichną, patrzą za tymi czterema, którzy suną do nich, wszyscy zamierają i się naprężają, tylko Peter tak jest zachwycony opowieścią, że niczego nie zauważa, siedzi plecami do sali, przygląda się Paszy przez pasma dymu i mówi z takimi poważnymi pauzami, jakby sam przysłuchiwał się własnemu głosowi.

– Ja bym wam radził ostrożnie podchodzić do historii. Wie pan, historia to taka rzecz… – milknie na chwilę, dobierając w głowie jakieś mądre słowa, i nagle zauważa ogólną ciszę, i patrzy na Paszę bardzo uważnie, i Pasza nie może pojąć, czego on od niego chce, aż dociera do niego, że on – Peter – patrzy w jego okulary i widzi w nich odbicie tych czterech, którzy nawisają nad jego plecami, i przez jakąś chwilę panika przebiega mu po twarzy, nerwowo opada i unosi się kącik ust i żyła na szyi

eprasa.pl ec1b7d5698

drga od mimowolnego pragnienia, żeby się odwrócić, Peter jednak umiejętnie bierze się w garść i zaciąga się, elegancko wypuszcza w powietrze dym i kończy – … której nikt nie ma prawa nam odebrać!

– A wy co za jedni? – mówi mu prosto w potylicę pierwszy. Pasza z przestrachem przygląda się jego buciorom – ze zniszczonymi czubami, z przylepioną do nich zeszłoroczną trawą – równie zniszczonym nakolannikom, ciężkim bocznym kieszeniom pełnym czegoś ostrego i żelaznego, kałachowi, który trzyma na rękach jak niemowlę, co nijak nie zaśnie, kamizelce z kilkoma zapasowymi magazynkami, kawałkom kolorowej taśmy na rękawach, a przede wszystkim – nożowi, który sterczy ze specjalnej kieszeni w okolicy serca, z czarną rękojeścią i głębokimi w niej nacięciami. Pasza mimowolnie zaczyna przeliczać te nacięcia, ale żołnierz powtarza:

– A wy co za jedni?

Drugi i trzeci stoją po obu stronach, żeby odciąć możliwe drogi ucieczki. Chociaż jaka tu może być ucieczka? – myśli Pasza w rozpaczy. Jaka ucieczka? Czwarty wygląda pierwszemu zza ramienia i patrzy z taką podejrzliwością, że Pasza aż zdejmuje okulary, niby żeby przetrzeć, a naprawdę – żeby tego wszystkiego nie widzieć. A Peter ogląda się w kierunku głosu z beztroskim uśmiechem.

– Prasa – mówi i wkłada rękę do głębokiej kieszeni, oczywiście, żeby wyciągnąć legitymację, i wszyscy czterej się napinają, ale Peter już wyjmuje rękę i podaje im konieczne papiery. – Wszystko w porządku – stara się mówić lekko i prosto – prasa. Tu mam legitymację.

Pierwszy bierze legitymację i nie zaglądając do niej, przekazuje za plecy czwartemu. Hans, mówi, sprawdź. Hans bierze i uważnie wodzi czerwonymi przemarzniętymi palcami z czarną ziemią pod paznokciami po papierze. Peter, uśmiechając się, wyciąga ręce, jakby mówił: oddawaj, mamy tu ciekawą rozmowę, nie przeszkadzajcie. I Hans, zawahawszy się, już wyciąga do niego rękę z dokumentami. Nagle zatrzymuje ruch i jeszcze raz patrzy w papiery.

– A granicę, kiedy przekroczyłeś? – pyta niespodziewanie.

– Miesiąc temu – mówi Peter po chwili milczenia.

– Mhm – nieszczególnie wierzy mu Hans. – Już od jesieni cię tu widuję.

– Dobrze już – wyzywająco odpowiada mu Peter.

– Mówię ci – równie wyzywająco mówi Hans, oddając legitymację pierwszemu. Ten w milczeniu patrzy na Petera.

– Posłuchajcie – mówi Peter, wstając, przez co wszyscy czterej znów się napinają. – Jesienią też tu byłem. Tu macie paszport, tam są wszystkie pieczątki.

Wyciąga paszport i podaje pierwszemu. Pierwszy w milczeniu przekazuje paszport za plecy, sam nie spuszcza z Petera wzroku. Ten usiłuje się uspokoić, sięga do kieszeni, przez co wszyscy kolejny raz się napinają, i wyciąga papierosy.

eprasa.pl ec1b7d5698

– Zapalicie? – pyta, przeskakując oczami z jednego na drugiego.

Ale wszyscy milczą. A Hans, przekartkowawszy paszport, podaje pierwszemu, nachyla się i mówi mu coś na ucho. Pierwszy kiwa i oddaje dokumenty Peterowi.

– W czym problem? – pyta Peter z udawanym zaniepokojeniem.

Pierwszy wojskowy długo milczy, patrząc na Petera, a kiedy ten nie wytrzymuje i odwraca wzrok, mówi:

– Problem w tym – mówi – że ktoś tu strzela z ucha. Czyli przekazuje informacje. I najwyraźniej to ktoś z cywilów.

– Dlaczego cywilów? – uśmiecha się Peter.

– Dlatego że wszystkich innych znamy – odpowiada mu wojskowy. – Ktoś donosi. Nie wiesz kto? – pyta nagle Petera.

I wtedy wszyscy czterej stają dookoła niego. Ten blednie.

– Nie – mówi – nie wiem.

– Na pewno? – dopytuje się wojskowy.

– Na pewno – odpowiada bez wahania Peter.

– No dobrze – mówi na to wojskowy. – Możesz iść – pozwala Peterowi i nagle odwraca się do Paszy. Teraz ty.

Pasza zakłopotany zakłada na nos okulary i grzebie w kieszeniach, znajduje dowód, oddaje pierwszemu. Ale czuje, że to nie wystarczy, że trzeba jakoś ich przekonać, dać do zrozumienia, że wszystko w porządku, żadnych problemów z nim, Paszą, nie ma.

– Jestem z nim – mówi gorączkowo, odwracając się w stronę Petera.

I nagle zauważa, że Petera już nie ma, że ten zdążył zniknąć, rozpłynął się w powietrzu, zapominając zabrać ze stołu nieotwartą paczkę mocnych papierosów.

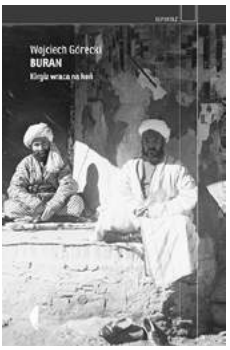
Przełożył Michał Petryk

Serhij Żadan jest poetą, pisarzem i tłumaczem z języka niemieckiego. Laureatem wielu nagród, między innymi Nagrody Literackiej Europy Środkowej „Angelus" 2015 za powieść *Mezopotamia*, nagrody Mosty Berlina oraz Nagrody im. Josepha Conrada. Jego książki przetłumaczono na szesnaście języków. W Polsce ukazały się jego tomiki wierszy *Historia kultury początku stulecia, Drohobycz* i *Etiopia* oraz sześć powieści: *Big Mac*, *Depeche Mode*, *Anarchy in the UKR, Hymn demokratycznej młodzieży, Woroszyłowgrad* i *Mezopotamia*. Mieszka w Charkowie.

eprasa.pl ec1b7d5698

Recenzje

Zrozumieć Azję



Wojciech Górecki, *Buran. Kirgiz wsiada na koń*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018

Żałuję, że zgodziłem się napisać recenzję książki Wojciecha Góreckiego. Powinienem był odmówić. Nie tylko dlatego, że to książka, która – podobnie zresztą jak wszystkie jego publikacje, recenzji nie wymaga. Ale też dlatego, że uczeń nie powinien recenzować nauczyciela. Ponad szesnaście lat temu jednym tchem przeczytałem *Planetę Kaukaz*, która stała się dla mnie jedną z kaukaskich biblii. Nie mogłem przypuszczać, gdy jako student stażysta w Ośrodku Studiów Wschodnich prosiłem jej autora o autograf, że staniemy się wkrótce kolegami po fachu. Wojtek uczył mnie Kaukazu, opowiadał anegdoty ze swoich podróży, przekazywał adresy, kontakty i rady dotyczące poruszania się w tamtejszym świecie. Jak więc z takim bagażem pisać mam recenzję jego książki? Ale cóż, słowo się rzekło…

Pierwsze kilka stron – zdziwienie. Jak to? To jednak będzie o Kaukazie? Przecież *Abchazja* miała być pożegnaniem z nim. Czytasz i – choć ciekawi się Dagny Przybyszewska i opowieść o proormiańskim poecie z Azerbejdżanu – nie do końca rozumiesz zamysł autora. Kaukaski *update*? Zaborcza miłość, która nie pozwala się uwolnić? Potem raptowne tąpnięcie i translokacja w inny świat. Kilka tysięcy kilometrów na wschód. I tam nie ma już nic kaukaskiego. Żadnych porównań, żadnych odniesień (poza informacją o niechlubnych czynach Ormian po bitwie pod Geok Tepe, które do dziś pokutują w postrzeganiu ich przez Turkmenów).

Byłem w „stanach" kilkukrotnie. Ale najpierw, podobnie jak Górecki, zjeździłem Kaukaz wzdłuż i wszerz. Przesiąkłem Kaukazem. I zawsze kiedy jechałem później do Azji, nie mogłem uciec od porównań. Że coś jest tam odmienne niż na Kaukazie, a coś innego podobne lub takie same. Że Turkmeni to, ale Ormianie tamto. I tak dalej. Dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że to droga donikąd. Że tak się nie powinno. Że przykładanie tej samej miary do regionów o innej historii, kulturze i mentalności nie ma sensu. Że w taki sposób nie da się zrozumieć żadnego kraju. To tak, jakby Francuz lub Amerykanin porównywał ciągle Finlandię i Polskę. Przecież oba państwa

eprasa.pl ec1b7d5698

mniej więcej tyle samo czasu były pod rosyjskim panowaniem. Górecki tego uniknął. Po kaukaskim wstępie skupił się na Azji. Może właśnie po to potrzebna była ta nieprzystająca do reszty rozbiegówka?

Tytułując książkę tak, a nie inaczej, Górecki jednoznacznie nawiązuje do Ryszarda Kapuścińskiego, podróżującego po sowieckich republikach Azji Centralnej w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, a jednocześnie – podobnie zresztą jak Kapuściński – stawia pozornie czytelną i jednoznaczną tezę. Jednym z głównych przekazów cyklu *Kirgiz schodzi z konia* była modernizacja Azji Centralnej, postęp cywilizacyjny, który dokonywał się pod rządami Sowietów (trudno nie zgodzić się z tą tezą, wystarczy bowiem spojrzeć na sąsiedni Afganistan, żeby przekonać się, jak mogłyby wyglądać środkowoazjatyckie państwa, gdyby nie sowiecka modernizacja). Logiczne wydawałoby się, że wsadzając Kirgiza z powrotem na konia, Górecki opisze proces odwrotny, czyli demodernizację i regres cywilizacyjny, który rzeczywiście ma tam miejsce. Posowiecką degrengoladę, którą my Polacy szczególnie lubimy zauważać i którą można znaleźć w niejednej polskiej książce reporterskiej. Albo wręcz przeciwnie: będzie zachwycał się powrotem tamtejszych narodów do przedrewolucyjnych tradycji, odrzucaniem sowieckiego i rosyjskiego dziedzictwa.

W *Buranie* nie ma również, co mnie szczególnie zdziwiło, bezpośrednich odwołań do Kapuścińskiego. Jeżdżenia jego śladami, porównywania miejsc, które autor *Imperium* odwiedził, ze współczesnością, odwoływania się do jego obserwacji. Można byłoby to zrobić z łatwością. Powymądrzać się trochę i pokrytykować, wpisując w modne niedawno trendy.

Co zatem znajdziemy w pierwszej „azjatyckiej" książce Góreckiego? To, czego powinniśmy szukać w każdym klasycznym reportażu – próbę opisu rzeczywistości i jej zrozumienia. Górecki, co bardzo ważne, udziela również głosu ludziom zamieszkującym i współtworzącym tę rzeczywistość, bez względu na to czy się z nimi zgadza, czy nie. Wnioski pozostawia czytelnikowi.

Opisując Turkmenistan, Tadżykistan, Kirgistan i Uzbekistan (właśnie w takiej kolejności), autor zabiera nas w podróż po czterech krajach, które niemal trzydzieści lat temu otrzymały niepodległość. Nie odzyskały, bo ani przed nastaniem władzy sowieckiej, ani przed podbojem rosyjskim nie istniały w takim kształcie jak obecny i o swoją niepodległość w żaden sposób nie walczyły. Nawet do niej nie dążyły. Uzyskały ją przypadkowo, niezależnie od siebie. Gdybyśmy cofnęli się zaledwie sto lat wstecz, to na żadnej mapie czy w wyobrażeniach mieszkańców nie znaleźlibyśmy krajów i regionów o tak brzmiących nazwach. Zobaczylibyśmy rosyjskie gubernie albo znajdujące się pod rosyjskim patronatem chanaty (Buchary, Chiwy), zamieszkane przez ludzi o bardzo skomplikowanej i niejednoznacznej tożsamości – plemiona, klany, grupy religijne, osoby identyfikujące się z poszczególnymi miastami, lokalne

eprasa.pl ec1b7d5698

dynastie. Współczesne narody oraz zamieszkane przez nie kraje (wraz z ich dzisiejszymi granicami) stworzyli Sowieci. Nie ma więc powrotu do przeszłości. Jest tworzenie zupełnie nowej rzeczywistości opartej na bazie stworzonej przez sowieckich komisarzy.

Powrotu do przedsowieckiej czy przedrosyjskiej przeszłości nie ma, ale cóż z tego, skoro dzieje się tam coś znacznie ciekawszego – tworzenie tej przeszłości. Bazując na wybiórczych wydarzeniach, postaciach historycznych, procesach, władze współczesnych państw przy pomocy tamtejszych historyków-ideologów piszą od nowa historię poszczególnych krajów, aby potem wbić ją do głów swoim rodakom. Turkmeni są więc uczeni, że ich przodkowie tworzyli największe imperia koczownicze w Azji, Tadżycy, że wywodzą się wprost od Aleksandra Macedońskiego i Ariów, a Uzbecy, że powinni być dumni z wielkiego Tamerlana. Cóż z tego, że Aleksander Macedoński, Tamerlan czy którykolwiek z kaganów tureckich przeżyłby szok poznawczy, dowiadując się o którymś z tych faktów. Ważne, aby współcześni w to uwierzyli i zidentyfikowali się z państwami, które zamieszkują. Opisy tych właśnie fascynujących procesów znajdziemy u Góreckiego, nie są one jednak zabarwione nutką orientalizmu, czego w polskiej percepcji obszaru posowieckiego ustrzec się niezmiernie trudno.

Najnudniejsza jest ostatnia część książki. Właściwie to niespecjalnie ją komuś polecam, chyba że zamierzałby pisać pracę naukową o Azji Centralnej. Jednak to właśnie ta część powoduje u mnie odruch zdjęcia czapki przed autorem. Jej tytuł brzmi *Bibliografia*. Na rynku ukazuje się całe mnóstwo zbiorów reportaży i książek podróżniczych z całego świata. I dobrze, że tak się dzieje. Szkoda tylko, że coraz większą ich liczbę można streścić słowami „Tu byłem. Adrian". Jedyne teksty źródłowe, po które sięga coraz większa liczba autorów, to Google i Wikipedia. Mało komu chce się ślęczeć nad starymi tekstami czy opracowaniami naukowców albo przesiadywać w bibliotekach. Góreckiemu wciąż się chce. Sprawia to, że wydaje książkę raz na kilka lat a nie miesięcy, ale nie znajdziemy w niej informacji niezweryfikowanej.

Jest jeszcze jedna kwestia, będąca może w oczach niektórych drobnostką, dla mnie jednak znacząca, bo świadczy o podejściu autora do swojej pracy. To nazewnictwo. Nie dziwi mnie już, choć niezmiennie drażni w polskich tekstach Khevsuretia i Borjomi, Tashkent i Kharkiv, Vladimir i Tatyana. Tak brzmiące kurioza językowe znajdziemy wszędzie – w artykułach, na stronach internetowych polskich placówek dyplomatycznych, w książkach i programach konferencji. Mam wrażenie, że nikt już na to nie zwraca uwagi. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy wkrótce zaczęli pisać Lviv albo Warsaw. Przecież to w sumie żadna różnica… Górecki nie tylko starannie podchodzi do tej kwestii, ale wyjaśnia czytelnikowi stosowane przez siebie zasady pisowni obcych nazwisk i nazw własnych. Choć

eprasa.pl ec1b7d5698

wydawać by się mogło, że to podstawowy element warsztatu dziennikarskiego, w dzisiejszym zalewie bezmyślnych anglicyzmów, warty podkreślenia.

Jednym słowem: pozostaje czekać na Kazachstan i życzyć przekładów na inne języki.

Maciej Falkowski

Jaka powinna być Polska



Radosław Sikorski, *Polska może być lepsza. Kulisy polskiej dyplomacji*, Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2018

Polityka zagraniczna należy do jednego z najistotniejszych aspektów funkcjonowania państwa i wpływa na jego międzynarodową pozycję. Jest to specyficzna sfera, w ramach której ogromną rolę odgrywa realizowana strategia i taktyka, ale też osobiste relacje oraz nieformalne rozmowy polityków i dyplomatów. Zazwyczaj jednak te złożone uwarunkowania podejmowanych decyzji pozostają kulisami dyplomacji i być może część z nich kiedyś ujrzy światło dzienne dzięki dostępowi do resortowego archiwum.

Były minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski wyprzedza jednak taką możliwość i w swojej najnowszej książce opisuje politykę zagraniczną Polski w okresie kierowania nią w obu rządach Donalda Tuska. Dzięki temu Sikorski został najdłużej urzędującym szefem resortu dyplomacji po rozpoczęciu transformacji systemowej w Polsce. Kwestię tę autor zresztą podkreśla już we wstępie. Sikorski pisze, że z racji tak długiego sprawowania funkcji ministra napisanie książki było jego „obowiązkiem", jak również próbą przekazania „wiedzy i refleksji" na temat uwarunkowań, wyzwań i realizacji polityki zagranicznej państwa polskiego w okresie 2007–2014. Jak zatem autor poradził sobie z tak postawionym zadaniem?

Książka Sikorskiego to ciekawa lektura z wielu powodów. Stanowi interesującą analizę uwarunkowań i realizacji polityki zagranicznej Polski, jednak kluczowe w tym aspekcie jest autorstwo byłego ministra spraw zagranicznych, czyli osoby kreującej i odpowiadającej za realizację tej polityki. Dzięki temu czytelnik znajdzie mnóstwo informacji na temat całkowicie nieznanych faktów dotyczących polskiej dyplomacji, procesów podejmowania poszczególnych, niezwykle istotnych dla państwa polskiego decyzji w stosunkach bilateralnych, jak również w szerszym wymiarze międzynarodowym. Z pewnością książka rzuca nowe światło na wiele ważnych wydarzeń i pozwala czytelnikowi na uzupełnienie dotychczasowej, „powszechnej" wiedzy w tym zakresie.

Układ treści i struktura książki nie są oczywiste. Wprawdzie na kartach czternastu rozdziałów Sikorski w sposób syntetyczny analizuje najważniejsze aspekty

eprasa.pl ec1b7d5698

dotyczące polityki zagranicznej i sytuacji międzynarodowej w okresie swojego urzędowania, jednak robi to w specyficzny sposób. Książka zaczyna się dość zaskakująco. Autor w pierwszym rozdziale opisuje swoją misję do Kijowa w lutym 2014 roku, w wyniku której podpisane zostało porozumienie pomiędzy ukraińską opozycją a ówczesnym prezydentem Wiktorem Janukowyczem. W kolejnych częściach Sikorski pisze o etapach swojej kariery politycznej i ministerialnej, analizuje stosunki z najważniejszymi partnerami Polski, omawia relacje w ramach Unii Europejskiej, a także w Sojuszu Północnoatlantyckim.

Oddzielną zawartością książki są natomiast rozdziały poświęcone pracy dyplomaty, a także reformom i modernizacji zarówno samej centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP, jak również sieci placówek dyplomatyczno-konsularnych. Książkę wieńczy prognoza uwarunkowań międzynarodowych i rozwoju stosunków z najważniejszymi partnerami, jak również krytyczna ocena sytuacji w Polsce i realizowanej obecnie polityki zagranicznej.

Sikorski był nietuzinkową postacią w polskim życiu publicznym, pewną siebie, z ostrym temperamentem politycznym. Wskutek tego miał sporo zwolenników, jak i zagorzałych przeciwników, również w szeregach własnego obozu politycznego. W sferze polityki Sikorski zapewne nie powiedział jednak ostatniego słowa, czego potwierdzeniem jest również wydana książka. Wspomnianą naturę Sikorskiego jako polityka czytelnik znajdzie bowiem w wielu miejscach publikacji. Autor swoje działania dyplomatyczne ubarwia bowiem epitetami odnoszącymi się do ówczesnych i bieżących sporów politycznych. Nie szczędzi ostrych komentarzy na temat obecnej sytuacji politycznej w Polsce, jak również polityki zagranicznej, którą, jak wspomniano, ocenia negatywnie. W ostatnim zdaniu końcowego rozdziału pada wręcz swego rodzaju manifest w tym zakresie, symbolicznie odnoszący się do tytułu książki: „Polska będzie lepsza niż inni wtedy, gdy będzie lepsza niż dzisiaj".

Książka Sikorskiego nie jest suchym opisem i relacją na temat minionych wydarzeń, a pełną dynamiki, ciekawą analizą dotyczącą pomysłów, strategii i taktyki polityki zagranicznej realizowanej przez autora. W narracji nakładają się dwie warstwy, które zdecydowanie należy od siebie odróżnić. Pierwsza to wspomniana niezwykle cenna wartość faktograficzna książki, dotycząca kluczowych dla polskiej polityki zagranicznej decyzji i wydarzeń. Druga natomiast to ocena polityki zagranicznej Sikorskiego ministra przez Sikorskiego autora. I w tym aspekcie zdecydowanie dominuje subiektywne podejście, z niezwykle wysoką oceną własnych dokonań i osiągnięć. Na kolejnych stronach książki czytelnik dowiaduje się, że realizowana przez ministra Sikorskiego polityka zagraniczna była praktycznie pasmem samych sukcesów. Trudno oczywiście odmówić autorowi indywidualnego prawa do takiej oceny. W wielu miej-

eprasa.pl ec1b7d5698

scach Sikorski jednak podkreśla ogromny sukces inicjatyw i działań, które chociażby z dzisiejszej perspektywy, gdy książka była pisana, można potraktować z większym dystansem.

W kilku fragmentach książki widoczny jest brak konsekwencji i pewna niespójność. Na przykład w jednym miejscu, odnosząc się do wojny gruzińsko-rosyjskiej i pobytu w tym czasie w Tbilisi, Autor pisze: „wiedziałem, że gdy Rosja raz zawróci z drogi cywilizowanego sposobu rozwiązywania konfliktów, będzie recydywa. Że jeśli użycie siły nie spotka się z realną ceną, nabierze apetytu" (s. 117). W innej zaś części uzasadnia konieczność polityki „resetu", która była realizowana w kolejnych miesiącach. Oczywiście proces ten miał miejsce we współpracy z USA i w związku z nową strategią administracji Baracka Obamy, co autor stara się przedstawić uzasadniając ówczesne uwarunkowania zbliżenia z Federacją Rosyjską.

Trudno również jednoznacznie zrozumieć, jak autor widzi kwestię „niepewności" jako taktyki w trakcie negocjacji dyplomatycznych. W wielu miejscach Sikorski pisze, że stanowi ona bardziej balast nowoczesnej, przewidywalnej i partnerskiej dyplomacji, czyniąc z tego jeden z głównych zarzutów obecnej polskiej dyplomacji. W innym miejscu książki, dotyczącym negocjacji tarczy antyrakietowej z USA, Sikorski z „niepewności" robi jednak atut, pisząc: „Udało nam się wprowadzić ich w niepewność co do naszych intencji, a to niezbędny element udanych targów" (s. 140).

W kilku fragmentach omawiane przez autora wątki przedstawione zostały w niezbyt precyzyjny sposób. Porównując struktury współpracy na wschodzie i zachodzie, Sikorski pisze o analogii Unia Europejska – Euroazjatycka Unia Gospodarcza, euro – rubel, natomiast w odniesieniu do Związku Białorusi i Rosji jako odpowiednika przedstawia Sojusz Północnoatlantycki, a nie kolektywny system bezpieczeństwa, jakim jest Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (s. 217).

W tym aspekcie zawierają się również przytaczane przez autora dane dotyczące liczby wiz wydawanych przez konsulat we Lwowie, które we wskazanym okresie przed uzyskaniem przez Ukrainę reżimu bezwizowego wynosiły „ponad dwieście tysięcy wiz rocznie" (s. 280). Oczywiście trudno jednoznacznie określić czas, jaki autor miał na myśli, pisząc o okresie przed zniesieniem wiz, jednak oficjalne dane ministerstwa mówią, że od kilku lat była to zdecydowanie wyższa liczba. Według raportów konsularnych MSZ od 2012 roku placówka we Lwowie wydawała ponad 300 tysięcy wiz rocznie, z rekordem w 2016 roku, gdy liczba wiz przekroczyła 500 tysięcy.

Pewnym mankamentem książki, którego rola będzie wzrastać wraz z upływem kolejnych lat, jest częsty brak daty przy omawianych wydarzeniach. I jeśli kluczowe procesy, spotkania na szczycie, czytelnik zainteresowany polityką międzynarodową będzie kojarzył, to już mniej znaczące decyzje lub rozmowy bilateral-

eprasa.pl ec1b7d5698

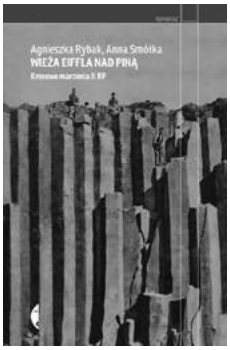
ne trudniej będzie umiejscowić w strukturze procesów politycznych i sytuacji międzynarodowej.

Książka jest napisana łatwym i przyjemnym do czytania językiem. Fakt ten wzmaga również brak literówek, których w całej książce można znaleźć zaledwie kilka, choć jedna jest dosyć przewrotna, gdy z Szimona Peresa uczyniono „rezydenta" Izraela (s. 343). Za literówkę uznać można również pomyłkę w nazwie ODHIR (s. 153), jednak przypisanie tej struktury jako agendy OECD, a nie Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie jest już zastanawiające.

Z postawionego we wstępie zadania przekazania „wiedzy i refleksji" o polskiej polityce zagranicznej Sikorski się wywiązał. Do tej kluczowej analizy dorzucił jeszcze wiele wątków *stricte* politycznych, które w podzielonej obecnie Polsce będą z pewnością rzutować na ocenę książki. Niezależnie jednak od tych podziałów, publikacja zawiera ciekawe analizy dotyczące uwarunkowań polityki zagranicznej, współczesnych stosunków międzynarodowych, geopolityki i przyszłości świata. Pod tym względem książka stanowi więc wartościową i godną rekomendacji lekturę dla wszystkich osób zainteresowanych powyższą tematyką.

Piotr Bajor

Kresy, czyli Polska A1



Agnieszka Rybak, Anna Smółka, *Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018

Kresy Wschodnie II RP w zbiorowej świadomości mają utrwalony stereotypowy wizerunek – nieco nostalgiczny, związany z tradycją szlachecko-dworkową. W opowieściach o Kresach – jeśli nie jest to rozrachunek z polityką wobec mniejszości narodowych – dominuje ton tęsknoty za rajem utraconym. A przecież po 1918 roku nie było w zasadzie za czym tęsknić – choć wschodnie województwa stanowiły wówczas większą część Polski, nie da się ukryć, że była to część zdecydowanie gorsza. Nie dość, że najbardziej zniszczona i najtrudniejsza do rządzenia, to jeszcze trudno dostępna (słynne błota Polesia!), niespokojna (działalność banderowców na Wołyniu) i odległa od centrum kraju. Ogromna większość ludzi mieszkała tam na wsi, panował wśród nich analfabetyzm, ziemię uprawiali prymitywnie. Nie przejawiali poczucia narodowej tożsamości, mówili o sobie: „tutejsi". Infrastruktura przemysłowa na Kresach niemal nie istniała, podobnie jak życie kulturalne (może wyłączywszy największe ośrodki miejskie). W takich warunkach przeprowadzano jednak prace modernizacyjne, kwitło budownictwo, powstawały fabry-

eprasa.pl ec1b7d5698

ki – Kresy nie tylko starały się gonić Polskę, goniły wręcz Zachód, obserwowały światowe trendy przemysłowe i architektoniczne. Niekiedy starania miejscowych inżynierów były dość komiczne (projektowana pińska „wieża Eiffla" miała mieć zaledwie 25 metrów wysokości i zostać zbudowana z drewna), czasem jednak słyszał o nich cały świat – jak o sukcesach polskich samolotów RWD, budowanych ze sklejki produkowanej przez rodzinną fabrykę usytuowaną pod Grodnem. Rzadko jednak się o tym pisze – książka Agnieszki Rybak i Anny Smółki wypełnia tę bolesną lukę. Autorki, które z godnym pochwały uporem przekopały się przez tony archiwów (czasem trudno dostępnych), przypominają kilka spośród zrealizowanych w dwudziestoleciu międzywojennym „kresowych marzeń" – pińską śródlądową marynarkę wojenną, szeroko zakrojoną odbudowę Brześcia, lokalną radiostację w Wilnie, modelowe osiedle robotnicze w Janowej Dolinie na Wołyniu, sanatorium w Zaleszczykach i fabrykę sklejki w Mostach. To oczywiście nie jedyne inwestycje na Kresach, ale trzeba przyznać, że wybór dokonany przez autorki jest naprawdę reprezentatywny.

Spośród opisanych „kresowych marzeń" najbardziej zdumiewającym, wręcz egzotycznym, jest chyba pińska flotylla rzeczna – wszak nie jest szeroko znany fakt, że polska Marynarka Wojenna toczyła swoje pierwsze boje (w czasie gdy Polska nie miała jeszcze dostępu do morza, a Gdynia nawet nie istniała) wśród błot Polesia. A przecież to właśnie na kresowych rzekach rozegrała się najważniejsza w dwudziestoleciu bitwa polskiej marynarki – dwunastogodzinne starcie z bolszewicką flotyllą dniestrzańską pod Czarnobylem zakończyło się zwycięstwem, które otworzyło polskim marynarzom rzeczną drogę do samego Kijowa. O ile za sukcesy pińskiej marynarki odpowiadali jej kolejni dowódcy, o tyle modernizacja Wilna była w zasadzie dziełem jednego człowieka – Witolda Hulewicza. Ten niezbyt uzdolniony poeta objawiał jednak talenty organizacyjne. Tuż po przybyciu do Wilna założył „Tygodnik Wileński" (konkurencyjny wobec prowadzonego przez Stanisława Cata-Mackiewicza „Słowa", co było pierwszym konfliktem między oboma panami – kolejne doprowadziły do rycerskiego pojedynku), sprowadził teatr kierowany przez Juliusza Osterwę oraz pełnił ważną funkcję w nowo założonej wileńskiej rozgłośni radiowej. O randze tamtejszej radiostacji niech świadczą jej współpracownicy, wśród których znajdowali się choćby Czesław Miłosz czy Konstanty Ildefons Gałczyński, znany z niedotrzymywania terminów i specyficznego podejścia do obowiązków (gdy poproszono go o komentowanie zawodów sportowych, w ciągu dwugodzinnej relacji wypowiedział ledwie trzy słowa: „Niebo jest błękitne").

Literaci często zaświadczali o renomie kresowych inwestycji. Tak było choćby z Zaleszczykami, zapyziałym miasteczkiem na rumuńskiej granicy, które dzięki warunkom klimatycznym (osławione

eprasa.pl ec1b7d5698

„pięćdziesiąt stopni w cieniu"!) i działaniom miejscowych PR-owców stało się modnym kurortem. Opiewała je w wierszach Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, bywała tam ówczesna socjeta, choćby Maria Dąbrowska ze Stanisławem Stempowskim. Zaleszczyki – zanim stały się symbolem narodowej zdrady (to tędy 17 września 1939 roku uciekali z Polski przedstawiciele rządu) – borykały się z innymi problemami. Aspirujące do miana „podolskiej Krynicy" miasteczko musiało sobie poradzić z brakiem podstawowej infrastruktury. Ten problem dzieli z Zaleszczykami wiele kresowych miast. W odbudowywanym, modernizującym się Brześciu powstaje nowoczesne osiedle urzędnicze ze wszelkimi udogodnieniami, choć na przykład kąpiel wymaga tam nie lada ekwilibrystyki: „Należy na podwórzu żeliwną, ręczną pompą wydostać wodę, zagrzać ją w kuchni, wlać do wanny lub umywalki, a po myciu wylać do betonowego dołu kloacznego. Pod dół co pewien czas zajeżdża beczkowóz. Ludzie z czerpakami na długich drągach wybierają nieczystości, wlewają je do beczki i wywożą. Tak wygląda kanalizacja po brzesku". Brzmi nieciekawie? Warto zatem przypomnieć sobie, że w tym czasie bezpośredni odpływ do studzienek miało jedynie 3 procent mieszkańców Warszawy. Wbrew pozorom kresowe miasta były w porównaniu z resztą Polski dość nowoczesne – jak choćby Janowa Dolina, której włodarze, pragnąc uczynić miejscową kopalnię bazaltu atrakcyjną dla przybywających pracowników, wybudowali osiedle robotnicze, którego nie powstydziłyby się amerykańskie miasta. Ówczesny premier Aleksander Prystor mówił o Janowej Dolinie: „Tutaj nie jest Polska B ani Polska A – ale coś więcej, to Polska A1". Cóż z tego, skoro spora część mieszkańców Janowej Doliny skończyła tragicznie, ginąc w masakrze zorganizowanej przez członków Ukraińskiej Powstańczej Armii. Przypadek Janowej Doliny jest tu emblematyczny – „kresowe marzenia", nawet te, które udało się wcielić w życie, blakły w zetknięciu z brutalną rzeczywistością tamtego czasu i miejsca.

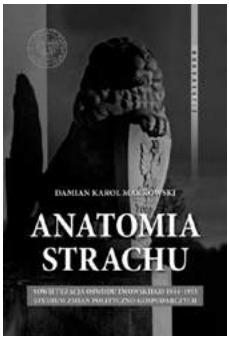
Lata świetności miejsc uwiecznionych na kartach *Wieży Eiffla nad Piną* dawno minęły. Ogromna większość spośród opisanych przez autorek inwestycji zachowała się jedynie na zdjęciach i w dokumentach z epoki. Albo zostały zniszczone w trakcie wojny, albo w latach powojennych (już na terenie Związku Radzieckiego) ulegały powolnemu, choć niejednokrotnie planowanemu rozpadowi. To w książce powracający refren: każdy rozdział kończy się opisem współczesnych poszukiwań śladów międzywojennej prosperity. I ton każdego z tych opisów jest tak samo minorowy jak w historii z Zaleszczyk: „Dawny rynek jest pustym wybetonowanym placem. Pod świerkiem ktoś postawił tabliczkę ze starym zdjęciem i z informacją: tu był ratusz. Kilka domów ze śladami dawnej urody. Tu zaskoczy krużganek, tu wieżyczka, tu zdobiony gzyms. Wyrastają gałęzie i dwa zardzewiałe kominy z dachu synagogi. Na aptece Zerygiewiczów dwie płaskorzeź-

eprasa.pl ec1b7d5698

by. Idziemy nad Dniestr. Ani śladu plaży. Bulwar? Promenada? Natura zaaranżowała je po swojemu, pozwalając krzewić się zielsku i chaszczom. Brązowa woda płynie leniwie, na pewno nie dla amatorów kąpieli. Pałac Turnauów, szary i smutny, trzyma się w ryzach resztką sił". Po dawnym prestiżowym sanatorium nie ma śladu. Z pozostałych „kresowych marzeń" także pozostało niewiele – zgoła nic.

Maciej Robert

Zagłada dawnego Lwowa



Damian Karol Markowski, *Anatomia strachu. Sowietyzacja obwodu lwowskiego 1944–1953. Studium zmian polityczno-gospodarczych*, Wydawnictwo IPN, Warszawa 2018

Lwów jest szczególnym miastem w polskiej pamięci, czego zresztą nie trzeba przypominać teraz, gdy obchodzimy stulecie walk o to miasto i wspominamy bohaterstwo orląt lwowskich. Dużo mniej wiemy o jego dalszych losach, szczególnie po 1944 roku, gdy wyjechała stamtąd zdecydowana większość polskich mieszkańców. Polski czytelnik ma wreszcie okazję uzupełnić wiedzę w tym zakresie. Pod przyciągającym uwagę tytułem ukazała się bowiem cenna monografia Damiana Karola Markowskiego o powojennej sowietyzacji obwodu lwowskiego.

W *Anatomii strachu* otrzymujemy kompleksowe omówienie sowieckiej polityki w regionie i jej konsekwencji dla mieszkańców. Wbrew dotychczasowej tendencji polskiej historiografii autor swoimi badaniami objął nie tylko samo miasto, ale cały obwód lwowski. Dzięki temu czytelnik sporo dowie się o polityce sowieckiej nie tylko wobec Polaków, ale również w stosunku do ukraińskich mieszkańców jego okolic, o czym tak naprawdę niewiele w Polsce wiemy. Skoncentrowani na swoich cierpieniach często nie dostrzegamy, że totalitaryzm w wydaniu sowieckim dotknął w nie mniejszym, jeśli nie większym nawet stopniu inne narody. Mam nadzieję, że ta książka uświadomi to wielu czytelnikom.

Autor jest wieloletnim pracownikiem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a obecnie pionu upamiętnień w Instytucie Pamięci Narodowej. Znany był dotychczas z publikacji o polskich kresach, między innymi o przebiegu operacji „Burza" na tych terenach. W swojej nowej pracy Damian Karol Markowski w dwunastu rozdziałach problemowo omawia najważniejsze zagadnienia polityki sowieckiej w regionie, a więc reaktywację władzy sowieckiej w 1944 roku, jej kadry i strukturę, zwalczanie polskiego i ukraińskiego podziemia, wysiedlenie ludności polskiej, powojenne deportacje w głąb Związku Sowieckiego oraz osiedlenia ludzi z innych regionów kraju; likwidację Cerkwi greckokatolickiej i zwalczanie Kościoła rzymskokatolickiego, powojenną przebudowę gospodarki, oświaty

eprasa.pl ec1b7d5698

i kultury, wreszcie życie codzienne w nowej rzeczywistości. Znajdziemy w książce nawet informacje o zmianach nazw lwowskich ulic. Przy okazji zasadniczego tematu autor ukazuje też szereg innych pobocznych, ale równie ważnych zagadnień, jak chociażby zbrodnie ukraińskich nacjonalistów na Polakach. Niewątpliwie książka imponuje wielością omawianych zagadnień, po których autor porusza się z dużą znajomością tematu.

Z pewnością jest to zasługa gruntownie przebadanych ukraińskich i polskich materiałów archiwalnych, szeroko wykorzystanej prasy, relacji i wspomnień oraz znajomości bogatej, wielojęzycznej literatury przedmiotu. Damian Markowski, konfrontując ze sobą te różne źródła, zza zakłamanej ówczesnej sprawozdawczości ukazuje ponurą rzeczywistość. Niektóre kwestie mogłyby zostać potraktowane bardziej szczegółowo (na przykład nie ma opisu niższych struktur podziemia ukraińskiego na omawianym terenie czy dokładniejszego wyjaśnienia, dlaczego tak wielu Ukraińców przesiedlonych z Polski trafiło do obwodu lwowskiego). Z niezrozumiałych powodów autor pominął strukturę etniczną całego obwodu, ograniczając się tylko do samej jego stolicy. Tymczasem pozwoliłoby to chociażby procentowo określić skalę zmniejszenia się polskiej ludności w wyniku napaści nacjonalistycznego podziemia ukraińskiego i powojennego wysiedlenia w całym obwodzie. W sumie jednak otrzymujemy w książce cenną syntezę olbrzymich przekształceń (demograficznych, społecznych, narodowościowych), jakich doznał obwód lwowski, dokonanych za pomocą nieodłącznego dla tego systemu terroru.

Polemizowałbym tylko z niektórymi terminami i określeniami stosowanymi przez autora. Sformułowanie „patriotyzm (szowinizm) ukraiński" sugeruje, że są to synonimiczne nazwy tego samego zjawiska, nadając tym samym patriotyzmowi ukraińskiemu zdecydowanie negatywną konotację. Wątpliwości może budzić również użycie słowa „wypędzenie" na określenie powojennego przesiedlenia ludności polskiej i żydowskiej do Polski. Autor uzasadnia to pozorną dobrowolnością wyjazdów i wprost porównuje do innych sowieckich deportacji. Może się to więc kojarzyć czytelnikowi chociażby z czterema deportacjami z czasów pierwszej okupacji sowieckiej czy wywózką Tatarów krymskich. Poza pewną publicystycznością użytego terminu zastrzeżenie budzi fakt, że Polaków nie wysiedlano siłą przy użyciu NKWD, wojska czy milicji. W dodatku akcja przesiedleńcza trwała prawie dwa lata, a nie jeden czy kilka dni, jak w wymienionych przypadkach. Oczywiście w wielu przypadkach decyzję o wyjeździe podejmowano pod presją władz sowieckich, w obliczu aresztowań i innych represji i w przekonaniu o zagrożeniu życia z powodu napaści podziemia ukraińskiego. Możemy więc mówić o tak zwanym przymusie sytuacyjnym, ale już nie o przymusie bezpośrednim. Dziwi też pewna niekonsekwencja autora. Określa bowiem odbywające się na podstawie tej samej umowy

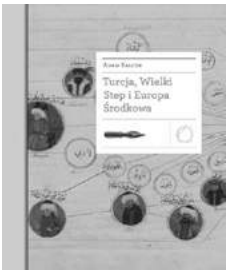
eprasa.pl ec1b7d5698

wyjazdy Ukraińców z Polski na Ukrainę Sowiecką mianem „przesiedleń", co pozwala sądzić, że miały one łagodniejszy przebieg. Tymczasem było w znacznym stopniu odwrotnie. Prawie połowę wywiezionych z Polski Ukraińców (około ćwierć miliona) wysiedliły z ich domów przymusowo oddziały polskiego wojska, o czym autor już nie wspomina. Dokonywały tego często w bardzo brutalny sposób, bijąc stawiających opór i strzelając do próbujących uciec (były ofiary śmiertelne). Jeśli więc chce się używać określenia „wypędzenie", należałoby je stosować konsekwentnie w obu przypadkach. Nie chodzi tu oczywiście o wybielanie dokonań sowieckiego reżimu, ale o trzymanie się precyzyjnych określeń, adekwatnie oddających omawiane zjawiska.

Niezależnie od tych uwag jestem przekonany, że książka Damiana Karola Markowskiego da czytelnikowi okazję zrozumieć, jak wyglądała sowietyzacja na Ukrainie i jak dogłębnie przeorała życie tamtejszych społeczności. Skłania do refleksji o tym, jakie mieliśmy szczęście, że Polska nie stała się siedemnastą republiką.

Jan Pisuliński

Tatarskie korzenie Mickiewicza



Adam Balcer, *Turcja, Wielki Step i Europa Środkowa*, Międzynarodowe Centrum Kultury Kraków, Kraków 2018

Adama Balcera nie trzeba przedstawiać czytelnikom „Nowej Europy Wschodniej". Wykładowca Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego jest autorem wielu artykułów, w których w erudycyjny i anegdotyczny sposób prezentuje dzieje Bałkanów oraz relacje historyczne Polski ze światem islamu. Właśnie nad tymi tematami ponownie pochyla się w książce *Turcja, Wielki Step i Europa Środkowa* – dygresyjnej, pełnej nieoczywistości opowieści o pograniczności regionu i sąsiedztwie z cywilizacją islamu i ludami koczowniczymi.

Książka składa się z ośmiu esejów, które można czytać jako niezależne całości. Rozpoczynamy od historycznych relacji między światem islamu a basenem Morza Bałtyckiego, przyglądamy się muzułmańskiemu obliczu Lwowa, śledzimy przyjaźń polsko-turecką w czasach nowożytnych, następnie analizujemy wpływy Wielkiego Stepu i islamu na dzieje Węgrów, Chorwatów, Rumunów i Albańczyków, książkę zamyka zaś rozdział o polskich perypetiach w Stambule. Adam Balcer sprawnie łączy te tematy, chcąc – jak podkreśla – „spojrzeć na Europę i jej dzieje nie tylko wzdłuż tradycyjnej osi

eprasa.pl ec1b7d5698

Wschód–Zachód, ale także Północ–Południe".

Autor idzie na przekór przedstawianiu przeszłości w duchu historii narodowych, huntingtonowskiego zderzeniu cywilizacji oraz antagonizmowi chrześcijańsko-muzułmańskiego. Na przykładzie historii Polaków, Węgrów oraz Chorwatów udowadnia, jak kruchy jest mit „przedmurza chrześcijańskiej Europy", a narody, których główną misją dziejową miała być walka z nawałnicą islamu, równie często współpracowały z muzułmanami w imię celów bieżącej polityki, a kulturowo czerpały od „niewiernych" całymi garściami. Osoby przywiązane do historiograficznych narracji ojczyźniano-maryjnych może tu oburzać wiele rzeczy: Mickiewicz ma tatarskie korzenie, Lwów jest równie polski, co islamski, Tatarzy stanowią znaczącą część wojsk polsko-litewskich walczących pod Grunwaldem, Rzeczpospolita Obojga Narodów i Imperium Osmańskie są państwami niemal bratnimi w zakresie stosunków i systemu funkcjonowania. Podobnie jest z historią innych narodów Europy Środkowej. Średniowieczne Węgry są państwem tworzonym przez chrześcijan, żydów, muzułmanów i pogan. Głównym wyznacznikiem tożsamości chorwackiej wcale nie jest katolicyzm, a Chorwat równie często walczy z muzułmaninem, co z nim współpracuje. Rumuńscy bojarzy z siedemnastowiecznych fresków „wyglądają identycznie jak polska szlachta, zarazem jednak przypominają tureckich bejów i tatarskich mirzów". Historii tych nie spotkamy w podręcznikach szkolnych, muzeach czy świadomości zdominowanych przez narracje narodowe.

Książka nie ogranicza się do zobrazowania wpływu świata islamu i Wielkiego Stepu na Europę Środkową, ale i oddziaływania w drugą stronę. Przywołuje sylwetki Polaków, Tatarów, Ormian, Żydów środkowoeuropejskich, którzy odgrywali kluczowe role w historii Bliskiego Wschodu oraz Kaukazu, stając się politykami, przywódcami religijnymi, osobistościami życia kulturowego. Analizując historię Europy Środkowej przez pryzmat pograniczności często zapominamy, że nie tylko czerpaliśmy garściami od sąsiadów, ale równie wiele im dawaliśmy. Adam Balcer na szczęście o tym nie zapomina.

Książka nie jest pozbawiona wad. Poważne zastrzeżenia budzi esej na temat Chorwatów. Autor nie rozróżnia podstawowego terminu związanego z obszarem Bośni. „Bośniaka" (mieszkaniec Bośni i Hercegowiny, zarówno Boszniak\Muzułmanin, Serb oraz Chorwat) nie można mylić z Boszniakiem (przedstawiciel narodu bośniackich muzułmanów, wcześniej określany jako Muzułmanin). Posługiwanie się określeniem „Bośniacy" w odniesieniu wyłącznie do muzułmańskich mieszkańców Bośni powoduje wiele niejasności w tekście. Spore wątpliwości budzi również przyjęcie przez autora chorwackiej wizji historii Bośni oraz założenia, że bośniaccy muzułmanie to Chorwaci wyznania islamskiego. Nawet jeżeli uznamy, że wizja ta jest prawdzi-

eprasa.pl ec1b7d5698

wa, nie powinno pomijać się optyki boszniackiej oraz serbskiej. Nie twierdzę, że w książce został zreprodukowany przekłamany obraz historii Bośni w duchu chorwackiej propagandy narodowej, jednak przyjęta perspektywa powoduje szereg błędów oraz uogólnień czerpiących z takiej narracji. Wskazać tu można wątpliwe twierdzenia dotyczące mniejszej akceptacji dla muzułmanów przez zwolenników jugoslawizmu niż prawaszów, ekumenizmu katolickiego na Bałkanach i zamknięcia prawosławia na islam czy braku historycznych związków Muzułmanów z Bośni z Serbami. Perspektywy serbska oraz muzułmańska\boszniacka pozwoliłaby na przywołanie pełniejszego obrazu tych stosunków, a przede wszystkim obiektywizację samego wywodu. Tego oczekiwałbym od książki, której jednym z celów jest dekonstrukcja nawarstwionych stereotypów oraz uogólnień ukształtowanych przez historiografie narodowe Europy Środkowej.

Pewne zastrzeżenia budzi też esej dotyczący Albanii, który najbardziej odstaje od ducha książki, skupiając się w największym stopniu na obecnej sytuacji tego kraju i problemach tożsamościowych Albańczyków, a nie na historii, jak w przypadku innych części publikacji. Oczywiście, traktując książkę jako zbiór esejów, a nie jednolite studium, można uznać to za całkowicie zrozumiałe. Sama konstrukcja książki powoduje także powtórzenia. Najbardziej rzucają się w oczy te same wątki dotyczące dziejów Żydów, pojawiające się w różnych rozdziałach.

Te kwestie nie umniejszają jednak faktu, że książkę czyta się z zafascynowaniem. Jakbym musiał scharakteryzować ją jednym słowem, byłoby to „nieoczywista". Zapowiedzią doświadczenia, jakie czeka nas podczas lektury, jest zamieszczona po wstępie osmańsko-turecka mapa Europy Środkowo-Wschodniej. Narody regionu, starając się ciągle udowadniać swój związek z Zachodem, Europą i chrześcijaństwem, często zapominają o cesze, która definiowała ten region – pograniczności. Przywołując mało znane wydarzenia, postaci i zjawiska historyczne, Balcer udowadnia, jak wielki wpływ miały islam oraz Wielki Step na środkowoeuropejską specyfikę. Cywilizacja, która w czasach narastającej ksenofobii wydaje się nam obca i wroga, kształtowała nas w takim samym stopniu jak świat zachodni. Równocześnie, jako wielowiekowi sąsiedzi, my kształtowaliśmy świat islamu.

Krzysztof Popek

Więzienna zemsta



Lejla i Arif Junusowie, *Iz sowietskogo łagiera w azerbejdżanskuju tiurmu*, Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, Wojnowice 2018

Lejla i Arif Junusowie to najbardziej znane małżeństwo azerbejdżańskich dysydentów. Można

eprasa.pl ec1b7d5698

śmiało powiedzieć, że przez całe życie idą ramię w ramię. Owocem ich szczęśliwego, obecnie już czterdziestoletniego pożycia małżeńskiego, jest córka Dinara, która ze względów bezpieczeństwa emigrowała do Holandii. Z racji podobnego wykształcenia – oboje są historykami ze stopniem doktora – ostatnie dekady istnienia Związku Radzieckiego małżonkowie przepracowali w Instytucie Historii Akademii Nauk Azerbejdżanu. Następnie zaangażowali się w działalność polityczną. Co prawda, Arif-bej w nieco mniejszym stopniu, bo zdecydowanie wolał pisanie (jest autorem kilku ważnych monografii traktujących o takich palących problemach w Azerbejdżanie, jak islam, migracja i wojna karabaska) od politycznych intryg. Natomiast Lejla-hanum całą swoją energię, napędzaną nienawiścią do reżimu komunistycznego, przełożyła na współtworzenie Ludowego Frontu Azerbejdżanu. Gdy początkowo opozycyjna partia przejęła władzę w Azerbejdżanie, Lejla otrzymała stanowisko w randze ministra – kierowała informacyjno-analitycznym oddziałem Ministerstwa Obrony.

Po dojściu do władzy prezydenta Ilhama Alijewa w 1995 roku Junusowie otwarcie przeszli do opozycji. Założony przez nich Instytut Pokoju i Demokracji stał się jedną z najbardziej krytycznych organizacji wobec oficjalnej azerbejdżańskiej władzy (przede wszystkim głowy państwa). Dzięki wielu kontaktom z zagranicznymi notablami małżeństwo konsekwentnie informowało społeczność międzynarodową o łamaniu praw człowieka w ich ojczyźnie. Pomagało też swoim rodakom – regularnie aktualizowane przez nich listy więźniów politycznych stały się oficjalnymi dokumentami, na mocy których europejskie instytucje naciskały na bakijskich oficjeli, wymuszając w ten sposób zwolnienie z aresztu niesprawiedliwie zatrzymanych.

Ich działalność nie kończy się jednak na prawach człowieka. Opozycjoniści postanowili wkroczyć w sferę narodowego *sacrum*: uprawiali tak zwaną dyplomację narodową – nieformalne spotkania, wymianę doświadczeń i informacji, mające na celu pokojowe rozwiązanie konfliktu karabaskiego. I właśnie pod pretekstem tej ostatniej działalności trafili do aresztu. Pod koniec lipca 2014 roku pod zarzutem zdrady narodowej i szpiegostwa na rzecz Armenii Lejla i Arif Junusowie zostali zatrzymani. Rok później sąd skazał ich odpowiednio na osiem i pół roku oraz siedem lat pozbawienia wolności za nadużycia podatkowe, prowadzenie nielegalnej działalności i fałszowanie dokumentów. W związku z fatalnym stanem zdrowia osadzonych oraz pod presją Zachodu oboje wyszli z więzienia po kilkunastu tygodniach, a w kwietniu 2017 roku wyemigrowali do Holandii.

Idea książki i jej pierwsze szkice powstały niedługo po tym, jak Junusowie znaleźli się za kratkami: Lejla-hanum w areszcie śledczym przy Ministerstwie Sprawiedliwości, a Arif-bej w areszcie śledczym Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego – najpilniej strzeżonym

eprasa.pl ec1b7d5698

więzieniu w Azerbejdżanie. We wstępie obrońcy praw człowieka wyrażają nadzieję, że ich publikacja „pomoże zrozumieć realną sytuację i perspektywy jej rozwoju nie tylko w Azerbejdżanie, ale także w byłych republikach radzieckich" (s. 8). Mam jednak poważne wątpliwości, czy udało im się zrealizować postawiony cel.

Słabość książki wynika przede wszystkim z tego, że nie ma ona jednej spójnej linii. Pierwsza jej część pióra Arifa powstała przede wszystkim na podstawie jego bezpośrednich doświadczeń – autor zaznacza, że tekst nie ma charakteru naukowego, a zatem i generalizującego, co mogłyby sugerować chociażby liczne przypisy dolne i końcowe. Osobiste doświadczenie Junusa jest zatem ważnym głosem w dyskusji o sytuacji niesprawiedliwie osadzonych w azerbejdżańskich więzieniach chociażby dlatego, że dysydent jako pierwszy otwarcie i ze szczegółami ośmielił się o tym opowiedzieć. To, że jego przeżycia odbiegają od tego, czego doznali inni azerbejdżańscy „więźniowie sumienia" (na przykład na wielokrotnie wspomnianego w książce dziennikarza Raufa Mirkadyrowa nigdy nie podniesiono ręki, a lidera opozycji Ilgara Memmedowa pobito jeden raz w ciągu pięcioipółrocznej odsiadki), że sam autor kreuje się na niezłomnego bohatera (każdy, kto niesprawiedliwie spędził w więzieniu jakiś czas, niewątpliwie jest bohaterem, tylko zapewne nie od razu się za takiego uważa), nie podważają autentyzmu świadectwa Arifa-beja. Poważnym zarzutem pod adresem autora jest jedynie etyczny aspekt zdobycia i wykorzystania przez niego niejawnych informacji. Czy oby na pewno historyk nie nadużył zaufania kilku strażników, którzy okazali mu szacunek i zdradzili szczegółowy plan budynku i inne kwestie dotyczące funkcjonowania aresztu? Wszakże ustalenie, kto w ściśle strzeżonym więzieniu rozmawiał z „wrogiem narodu" i przekazał chociażby informacje o prowadzonym w budynku monitoringu, wcale nie jest skomplikowane.

W odróżnieniu od tekstu Arifa-beja, więzienne doświadczenie Lejli Junus stanowi jedynie niewielki fragment drugiej części. Gros narracji dysydentki opiera się na wyolbrzymionym porównaniu sytuacji we współczesnym Azerbejdżanie z najbardziej totalitarnym okresem Związku Radzieckiego oraz na licznych analogiach pomiędzy autorką a Aleksandrem Sołżenicynem i Anną Achmatową (autorka jakoby skupia w sobie cechy obu postaci). W przeciwieństwie do Związku Radzieckiego współczesny Azerbejdżan musi się liczyć i liczy się ze stanowiskiem Zachodu – to właśnie dzięki staraniom międzynarodowych organizacji i licznych prominentów Junusowie, a także wielu innych dysydentów wyszło na wolność. W okresie stalinowskim ingerencja zachodnich struktur w sprawy wewnętrzne Związku Radzieckiego nie mogła mieć miejsca.

Na krytykę zasługują także inne historyczne kontradykcje, błędy merytoryczne, a miejscami zwykła ignorancja autorki. Przytoczę zaledwie kilka przykładów, bo

eprasa.pl ec1b7d5698

wszystkich nie sposób wymienić. Wspominając lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku, autorka uważa, że regionem separatystycznym Azerbejdżanu był nie tylko Karabach, ale także Nachiczewan (s. 291). Niezależne media krytykują politykę prezydenta Ilhama Alijewa i jednocześnie na Zachodzie zupełnie nie zdają sobie sprawy z „nieokiełznanego nazizmu alijewskiego reżimu" (s. 263). Objęcie władzy przez Hejdara Alijewa w 1969 roku (Junusuwa podaje tu błędny 1967 rok) to „powrót epoki stalinizmu z elementami średniowiecznych obyczajów, charakterystycznych dla wielu bliskowschodnich krajów" (s. 267). Ebulfez Elczibey został zwerbowany przez Hejdara Alijewa w 1975 roku, po to by przekazać mu władzę dwanaście lat później (Hejdar Alijew aż tak wybitnym strategiem nie był, nie mógł przewidzieć powstania niezależnego Azerbejdżanu).

Tworzenie nowej historii przez Junusową być może wynika z tego, że książka przeszyta jest złością i pogardą nie tylko wobec azerbejdżańskich elit politycznych (dokładnie dla Hejdara i Ilhama Alijewów), ale również wobec większości przeciętnych obywateli. Czytać ją więc należy ostrożnie, ale warto to zrobić z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, publikacja przypomina nam o tym, że tak blisko nas, w kraju należącym do Rady Europy, dochodzi do pogwałcenia podstawowych praw człowieka (więzienne tortury, zastraszanie i szantażowanie przez przedstawicieli państwa najbliższych, nieuczciwe procesy). Po drugie, autorzy wyjaśniają, że dzieje się tak za przyzwoleniem najbardziej wpływowych na Zachodzie instytucji i polityków.

Arzu Alijewa

Slawiści w Odessie



Odessa i Morze Czarne jako przestrzeń literacka, red. Jarosław Ławski, Natalia Maliutina, Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok–Odessa 2018

Pięć lat temu w pałacu książąt Gagarinów (dzisiaj siedziba Muzeum Literatury) odbyła się I Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Obraz Odessy w literaturach słowiańskich". Wzięło w niej udział ponad sześćdziesięciu uczonych z pięciu krajów. W 2015 roku wydano imponujący trójjęzyczny tom pokonferencyjny, obejmujący ponad tysiąc stron druku! Konferencja i tom zapoczątkowały cykl konferencji naukowych: „Odessa i Morze Czarne. Polsko-ukraińskie związki kulturowe i literackie" (kierownikami cyklu zostali profesorowie Natalia Maliutina i Jarosław Ławski). W ramach cyklu we wrześniu 2016 roku odbyła się w Odessie II Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Odessa i Morze Czarne jako przestrzeń literacka i kulturowa. Idee – konteksty – interpretacje", która zgromadziła

eprasa.pl ec1b7d5698

pięćdziesięciu badaczy z Polski, Ukrainy, Rosji, Bułgarii i Szwajcarii. Jej organizatorami były Odeski Uniwersytet im. Ilii Miecznikowa oraz Katedra Badań Filologicznych „Wschód–Zachód" Uniwersytetu w Białymstoku. Tom pokonferencyjny (oznaczony jako Studia Odeskie II), który właśnie się ukazał, liczy ponad sześćset stron sporego formatu, został starannie przygotowany (choć przydałaby się lepsza korekta językowa) i z dużym edytorskim smakiem wydany (na dodatkowe podkreślenie zasługuje interesujący i bogaty materiał ilustracyjny towarzyszący książce). Publikacja zawiera teksty w językach: polskim, ukraińskim, rosyjskim oraz angielskim i została opublikowana jako 23 tom w ramach serii wydawniczej Białostockie Kolokwia Wschodnie. Jej zadaniem jest między innymi publikowanie materiałów źródłowych i prac naukowych dotyczących szeroko rozumianego dziedzictwa europejskiego Wschodu, międzykulturowej i międzyreligijnej wymiany myśli, badaniu świadectw literackich, artystycznych, przenikających się wiar, kultur i tożsamości.

Kończąc swój krótki wstęp do tomu, jego współredaktor Jarosław Ławski napisał: „Odessa – miasto mityczne kultury światowej – ma jeszcze wiele do powiedzenia nie tylko Polakom i Ukraińcom, Żydom czy Bułgarom. Nade wszystko zdaje się ona przestrzenią symboliczną – mocno doświadczoną przez barbarzyństwo historii, wzywającą do refleksji nad znaczeniem naszego istnienia nad brzegiem wielkiego Morza, z którego barw wybierajmy raczej błękit niż czerń, nadzieję, a nie rozpacz".

Trudno w tej krótkiej recenzji omówić szczegółowo, a nawet całościowo naszkicować niezwykle bogatą zawartość treściową publikacji (prawie czterdzieści, często obszernych artykułów), podzielonej na pięć tematycznych części, które znakomicie porządkują układ treściowy książki: *Przestrzenie literackie Odessy*; *Morze Czarne: wymiar kulturowy*; *W głębi wieku XIX*; *Wiek XX: słowiańskie oblicze*; *W kręgu topiki morskiej*. Sporo tutaj interesujących, różnorodnych tekstów: obszernych artykułów przeglądowych, szkiców czy krótkich przyczynków, często przynoszących nowe i oryginalne ustalenia. Zaledwie kilka przykładów. Jacek Juszkiewicz pisze o Odessie Edmunda Chojeckiego – nikt dotąd nie analizował tego tekstu. Chojecki to barwna postać – dziennikarz, przyjaciel Cypriana Kamila Norwida, chyba najbardziej znany jako tłumacz *Rękopisu znalezionego w Saragossie* Jana Potockiego oraz redaktor i sekretarz paryskiej „Trybuny Ludów", radykalnego międzynarodowego dziennika politycznego założonego przez Adama Mickiewicza, aktywnie zaangażowany we francuskie życie literackie i dziennikarskie. W 1843 roku młody Chojecki (miał wówczas dwadzieścia jeden lat) rozpoczął swoje podróże. Pierwszą była wyprawa na Krym (w tym samym roku wybrał się tam również Józef Ignacy Kraszewski, a jego relacja o Odessie weszła do klasyki opisu Odessy i odessyjczyków), a samej Odessie Chojecki po-

eprasa.pl ec1b7d5698

święcił jeden z rozdziałów *Wspomnień z podróży* po Krymie, wydanych w 1845 roku. Opis to dość przewrotny i ironiczny, odmienny od licznych ówczesnych zachwytów nad miastem – autor widzi Odessę jako nieudolne i karykaturalne naśladownictwo miast europejskich, która jako miasto młode nie ma jeszcze wartości historycznej i nie jest godna zainteresowania. Na uwagę zasługuje też na przykład z ogromną swadą napisany esej Jarosława Ławskiego pod tytułem *Odesyci w zwierciadle własnym i cudzym*, od którego chyba powinno się rozpoczynać lekturę całego recenzowanego tomu. To, jak pisze autor, „spojrzenie autorskie, eseistyczne, oparte na tym, co jego twórca przeczytał w książkach odeskich i nieodeskich, co podsłuchał w rozmowach przyjaciół poza Ukrainą, co zobaczył w Internecie, telewizji, kinie".

Autor czyni tutaj kilka założeń: opowieści ludzi Zachodu bardzo różnią się od wyobraźni odessyjczyków o sobie. Ci, którzy nigdy nie byli w Odessie, powtarzają najczęściej najbardziej krytyczne lub najbardziej wyidealizowane opowieści o mieście, a Odessę trzeba zobaczyć, by o niej mówić, co zresztą autor eseju czyni regularnie od 2012 roku. „Najpewniej jest wiele Odess: rosyjska, ukraińska, inne… Wszystkie one spotykają się dziś w przestrzeni, którą jest Odessa położona w państwie ukraińskim. By polityczna przestrzeń w państwie przekształciła się w zadomowione miejsce w państwie, potrzeba czasu". Te kategorie Ławski zapożycza z mojej ulubionej książki Yi-Fu Tuana *Miejsce i czas* (przeł. A. Morawiński, wstęp K. Wojciechowski, Warszawa 1987).

Mimo że niewielkich rozmiarów, to bardzo interesujący jest również tekst Zbigniewa Kaźmierczaka *Sarmaci znad Morza Czarnego* – przyczynek do etnogenezy Słowian, wykorzystujący koncepcje archeologa Kazimierza Godłowskiego, odwołujący się do badań etnograficznych i językoznawczych Kazimierza Moszyńskiego oraz etnografa Ryszarda Tomickiego. Sporo miejsca poświęcono Mickiewiczowi (Małgorzata Burzka-Janik, *W drodze do źródeł bytu. Symbolika czarnomorskiej przestrzeni w „Sonetach krymskich" Adama Mickiewicza*; Urszula Kowalczyk, *Odeskie konteksty biografii i twórczości Adama Mickiewicza w pracach historycznoliterackich 2. połowy XIX wieku*; Urszula Sokólska, *Językowy obraz morza w „Sonetach krymskich" Adama Mickiewicza*), ale również znacznie mniej znanym autorom i tekstom, na przykład obrazowi świata na łamach „Odeskiego Wiestnika" w latach 1870–1873 (Natalia Maliutina); podróży Feliksa Gloeha z 1927 roku (Anna Janicka), „śladom odeskim" w twórczości moskiewskiego teatru „Kwartet I" (Grzegorz Czerwiński), powieści Aleksandra Aleksandrowicza Łukina i Dymitra Polanowskiego pt. *Spokojna Odessa* (Kazimierz Bogusz), pisarzowi i scenarzyście Dmytrowi Buzko (Tetiana Meyzerska)…

We wrześniu 2018 roku w Odessie odbyła się kolejna Międzynarodowa Konferencja Naukowa z cyklu „Odessa i Morze

eprasa.pl ec1b7d5698

Czarne. Polsko-Ukraińskie związki kulturowe", tym razem zatytułowana „Polacy w Odessie i na ukraińskim wybrzeżu Morza Czarnego. Historia – dziedzictwo – współistnienie wielokulturowej wspólnoty miasta". Warto czekać na opublikowanie drukiem jej materiałów.

Dariusz Rott

Kolejne kręgi noworosyjskiego piekła



Donbas, reż. Siergiej Łoźnica, Ukraina 2018

Siergiej Łoźnica nie daje widzowi łatwych odpowiedzi, gotowych schematów, które pozwolą mu zrozumieć świat. Pozwala obserwować rzeczywistość i każe myśleć. Tak było w przypadku reporterskiego, pełnometrażowego *Majdanu* (2014), w którym – oprócz autentycznych nagrań – ograniczył się do krótkich informacji, które pojawiały się w formie białych napisów na czarnym tle (jak w niemym kinie), w kluczowych momentach ukraińskiej rewolucji. W *Donbasie* Łoźnica podąża tym szlakiem, ale idzie dalej: odtwarza w konwencji *quasi*-reportażu życie w Noworosji, na podstawie autentycznych świadectw i nagrań z ostatnich czterech lat.

Film rozgrywa się w nienazwanym mieście okupowanego Donbasu i jego przysiółkach; nie ma głównego bohatera ani scenariusza w klasycznym rozumieniu tego pojęcia. Kamera ukazuje luźno powiązane ze sobą sceny z życia mieszkańców Donieckiej Republiki Ludowej. Pewna jest tylko pora roku – zima. Czy to pierwsza zima, przełom 2014 i 2015 roku, czy już kolejna, to właściwie bez znaczenia zarówno dla „opołczeńców", jak i dla mieszkańców. Wskazówek odnośnie do czasu nie daje też wielka polityka – w *Donbasie* Łoźnicy nie słyszeli o przyjętych właśnie w zimie, w lutym 2015 roku, drugich porozumieniach mińskich przewidujących przerwanie działań zbrojnych. Wielka polityka jest zresztą w filmie całkowicie nieobecna. Nikt nie bierze odpowiedzialności za to, co się dzieje. Prawdziwi mocodawcy pozostają nieznani. Donbas staje się w ten sposób pojęciem archetypicznym, oderwanym od miejsca i czasu.

Film Łoźnicy przedstawiany był niejednokrotnie jako groteska. Nie jest to chyba właściwe określenie. Lepiej pasuje w tym kontekście „piekło", tak jak przedstawił je w *Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego* Jacek Kaczmarski. Ludzie starają się żyć, pracują, zakładają rodziny, chcą wychować dzieci i zadbać o rodziców, ale nie jest to normalne życie: „Nam znośnie! Nam znośnie! Nam znośnie!/ Tak żyjemy niewidocznie i bezgłośnie…/ Pożyjemy i pomrzemy –/ Nie usłyszy o nas świat,/ A po śmierci wypijemy/ Za przeżytych w dobrej wierze parę lat!". *Donbas* to makabryczna groteska, farsa, która przechodzi w koszmar.

eprasa.pl ec1b7d5698



Materiał prasowy udostępniony przez serwis Against Gravity, www.againstgravity.pl

Zaczyna się dość niewinnie. W jednej z pierwszych scenek granicę Noworosji przekracza niemiecki dziennikarz wraz z lokalnym asystentem, pograniczni zatrzymują go z okrzykiem „Patrzcie zatrzymaliśmy faszystę!" i „Hitler kaput". Po dłuższych negocjacjach dają się przekonać co do szczerości intencji przyjezdnego, ale nie w pełni: „Twój dziadek na pewno był faszystą".

Wojna, którą Niemiec przyjechał opisać, ma od chwili przyjazdu charakter amorficzny, niemacalny, hybrydowy… Na pojeździe opancerzonym siedzi, zajadając kiszone ogórki, grupa bojowników o środkowoazjatyckich rysach. Na pytanie, skąd są, odpowiadają, z trudem tłumiąc śmiech: „Z tej wsi obok, właśnie z tej wsi tuż za drogą, no jak jej tam – z Gorłówki".

Nie lepiej jest, gdy pojawia się pytanie o dowódcę – każdy kolejny bojownik wskazuje wśród śmiechów na kolejnego, mówiąc: „To on jest dowódcą". Kto właściwie dowodzi, tego Niemiec nigdy się nie dowie. W końcu trafia do „Kaznodziei", który tłumaczy mu z ogniem w oczach: „Wiesz w 1945 roku pokonaliśmy faszystów w Niemczech, wyzwoliliśmy Europę, ale nie wytępiliśmy ich u siebie".

Kolejne obrazki już nie skłaniają do śmiechu. Młody biznesmen stracił samochód – terenowe mitsubishi, ale na szczęście zadzwonili do niego z siedziby lokalnej administracji DRL, że auto się znalazło i ma się po nie zgłosić. Na miejscu okazuje się, że jeśli tego dnia chciałby osobiście odebrać córkę z przedszkola, to nie ma wyjścia i musi podpisać protokół użyczenia samochodu władzom: „Przecież nie będziemy się w twojej obronie uganiać za faszystami na rowerach!". Gdy protestuje, cena rośnie – wyjdzie z noworosyjskich kazamatów, jeśli obdzwoni

eprasa.pl ec1b7d5698

przyjaciół i zbierze 150 czy 200 tysięcy dolarów. Wkrótce siedzi pod strażą w dużej salce, w której tłoczy się kilkunastu jemu podobnych nieszczęśników próbujących znaleźć naprędce dzięki krewnym i znajomym właściwą kwotę pieniędzy.

Wraz z niemieckim reporterem trafiamy do mieszkańców pogranicznych obszarów, którzy w obawie przed ostrzałem żyją w piwnicy koło swego domu, stłoczeni, po ciemku, w wilgoci. Na obdrapanych ścianach wiszą kolorowe żaróweczki – może idą święta? Część ludzi szykuje coś do jedzenia, inni z powodu trudnych warunków chorują („Ta tutaj ma 38 stopni"), ale większość po prostu tkwi w bezruchu. Dziennikarza oprowadza najpierw jeden z dorosłych mieszkańców, od którego bije beznadzieja („Patrzcie na te pęknięcia na ścianach, na ten przeciąg"). Potem zastępuje go może dziesięcioletni chłopiec – ten już przywykł: „Tu jest moje stół i krzesła, tu łóżko – ona jest chora; a tu jeszcze jeden stół". Do jednej ze starszych mieszkanek przyjeżdża luksusowym samochodem elegancko ubrana córka: „Mamo, jedź z nami. Masz dom, nie będziesz musiała nic robić – przecież gotuje Wala. Jedź z nami – co ja powiem ludziom w pracy, jak tu zostaniesz. Czemu, kurwa, chcesz żyć w tym syfie".

Matka nie reaguje, ucieka i zamyka się w jednej z piwnic. Córka, przeklinając zgromadzonych, odjeżdża. Jest sekretarką któregoś z lokalnych bossów DRL.

Film spinają w genialny sposób pierwszy i ostatni epizod, które każą raz jeszcze zastanowić się nad informacyjnym wymiarem rosyjskiej wojny hybrydowej. Pozostaje uczucie goryczy i bezsilności. To się dzieje dziś, teraz, naprawdę…? Donbas pozostaje *terra incognita*, i staje się *la tierra maldita* – ziemią przeklętą, wyjętą z czasu i przestrzeni.

Andrzej Szeptycki

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA

WROCŁAW MIASTO KRASNALI

Miasto jest szczególnie przyjazne dzieciom – mnóstwo zabawy zapewni im wizyta w Hydropolis, Humanitarium – parku rozrywki edukacyjnej, Kolejkowie – największej w Polsce makiecie kolejowej czy na licznych placach zabaw, ale najbardziej ekscytujące są zawsze poszukiwania niemal 400 krasnali rozsianych po całym mieście! Wrocławianie zaprzyjaźnili się z nimi i obecnie skrzaty są jednym z miejskich symboli. Raz w roku we wrześniu mają nawet swoje święto – Wrocławski Festiwal Krasnoludków. To prawdziwie bajkowa uroczystość, kilka dni radosnej, kolorowej fiesty, w której uczestniczą mali i duzi. Szczegółowy wykaz wrocławskich skrzatów znajduje się na stronie www.krasnale.pl.

VisitWroclaw.eu

Podróż do Wrocławia warto wcześniej zaplanować – tu nieocenioną pomocą służy Oficjalny Serwis Turystyczny Wrocławia visitwroclaw.eu, a w szczególności Informator turysty (visitwroclaw.eu/informator), który zawiera wiele praktycznych wskazówek dotyczących wizyty w mieście. Na bieżąco na nurtujące turystów pytania odpowiada także chatbot na facebookowym profilu Visit Wroclaw (@visitwro). Dużym udogodnieniem w zwiedzaniu jest także Wrocław Tourist Card, która pozwala zwiedzać najważniejsze atrakcje miasta taniej. Wrocław Tourist Card to także specjalna oferta na usługi transportowe (w tym komunikację miejską) oraz rabaty w najciekawszych punktach gastronomicznych i noclegowych we Wrocławiu.

eprasa.pl ec1b7d5698

REKLAMA



Czy wiesz, jakie miasto w Polsce zamieszkuje ponad 400 krasnali?

visitWroclaw.eu

The Official Travel Guide

W numerze między innymi:

Jeśli chodzi o USA, prezydenci, którzy byli najsilniej krytykowani przez demokratycznych aktywistów, okazali się najbardziej pomocni dla Gruzji. Mowa tutaj o George'u W. Bushu i Donaldzie Trumpie. Ten ostatni znacząco wzmocnił pomoc wojskową dla naszego kraju. Jeśli brać pod uwagę konkrety, to w ciągu dwóch lat rządów Trumpa osiągnęliśmy więcej niż przez dwie kadencje Baracka Obamy. Przyznaję, że na dłuższą metę dyskredytowanie demokratycznych instytucji jest, oczywiście, niebezpieczne i będzie miało konsekwencje dla nas wszystkich. Ale mimo problemów, z którymi zmaga się Ameryka, na linii Gruzja–USA wiedzie nam się bardzo dobrze – mówi **Tinatin Chidaszeli**, była gruzińska minister obrony.

Mateusz Kubiak: Wokół Nord Stream 2 toczy się wielopłaszczyznowa gra, której stawką są miliardy dolarów, wpływy w regionie, a także partykularne interesy poszczególnych europejskich państw. Co przy tym jasne – tam, gdzie ktoś traci, jednocześnie inny zyskuje. W rezultacie w sprawie budowy gazociągu podzielona jest nie tylko Unia Europejska jako taka, ale także sama Europa Środkowo-Wschodnia, gdzie polska lub słowacka percepcja inwestycji kontrastuje ze zgoła innym nastawieniem Czech czy Węgier.

Kolegium
Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego
we Wrocławiu

eprasa.pl ec1b7d5698